

Czasem piekło znajduje się dwa kroki od domu...

OLGA
HABER

ONI

powieść grozy

VIDEOGRAF

Spis treści

- Karta tytułowa
- Karta redakcyjna
 - 1.
 - 2.
 - 3.
 - 4.
 - 5.
 - 6.
 - 7.
 - 8.
 - 9.
 - 10.
 - 11.
 - 12.
 - 13.
 - 14.
 - 15.
 - 16.
 - 17.
 - 18.
 - 19.
 - 20.
 - 21.

- 22.
- 23.
 - 24.
- 25.
 - 26.
- 27.
 - 28.
- 29.
 - 30.
- 31.
 - 32.
- 33.
 - 34.
- 35.

OLGA
HABER

ONI

VIDEOGRAF

Redakcja

Anna Seweryn-Sakiewicz

Projekt okładki
© *Pracownia WV*

Ilustracja na okładce
© *mythja/istockphoto.com*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej
Grzegorz Bociek

Korekta
Urszula Bańcerk

Wydanie I, Chorzów 2014

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c
tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35
fax 32-348-31-25
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2014
tekst © Katarzyna Misiołek

ISBN 978-83-7835-355-3

1.

Obudził mnie jakiś zgrzyt. Dziwny metaliczny dźwięk przypominający upiorny odgłos gniecionej blachy. Usiadłam na łóżku, nasłuchując, jednak panująca w niewielkim parterowym domku cisza była wręcz wymowna — wszystko musiało mi się przyśnić. Spojrzałam na Łukasza. Spał na brzuchu, przykryty skotłowanym lnianym prześcieradłem. Pomyślałam, że to dziwne widzieć go śpiącego na ulubionym miejscu Emila... Zerknęłam w stronę okna. Czerwcową noc była parna, wilgotna. Po gwałtownej burzy, która wieczorem przeszła nad okolicą, nie było już śladu, jednak targający konarami silny wiatr rodził we mnie dziwny niepokój. Poprawiłam opadające mi na twarz włosy, przyglądając się wybrzuszonej wietrznymi podmuchami półprzezroczystej firanie. Radośnie tańczyła w świetle zbliżającego się do pełni księżyca — wolna i beztroska. Pomyślałam, że jej zazdroścę. Że pewnie długo jeszcze nie będę się tak czuła. Nie po tym, co stało się w marcu...

Wstałam, wsuwając stopy w czekające przy łóżku bambosze, i podeszłam do okna. Oparłam łokcie o parapet i wyjrzałam na zewnątrz — otulona srebrną księżycową poświatą polana za domem wydała mi się nagle dziwnie obca, jakbym widziała ją po raz pierwszy. Cofnęłam się w głąb pokoju i starając się poruszać bezszelestnie, wróciłam do łóżka. Łukasz wymamrotał w poduszkę coś, co zabrzmiało zupełnie niezrozumiale i wydał z siebie przeciągły świst. Ostatnio oboje miewamy zaskakująco dużo sennych koszmarów.

Pomyślałam o wypadku. Odgłos, który przed kilkoma minutami wyrwał mnie ze snu, musiał być jedynie uparcie powracającym wspomnieniem tamtego zdarzenia — podświadomością, która wciąż gdzieś w mojej głowie usiłowała uporać się z tamtą nocą. Wspomnienia zaatakowały nagle — jak zawsze nachalne, nieproszone, pełne dźwięków, krzyku i krwi. Druga czternaście nad ranem, w radiu smęcąca o utraconej wiosną miłości brytyjska

wokalistka. Wypadający zza zakrętu samochód. Pisk opon, omiatające przydrożne drzewa snopy reflektorów, zawrotna prędkość i dziki taniec na mokrej, zdradziecko śliskiej jezdni. Strzępy moich myśli, fragmenty wspomnień. „Jest pijany?” — panikuję, odbijając kierownicą. Ten z przeciwka zbliża się nieuchronnie, raz za razem zahaczając o mój pas. Maksymalnie zjeżdżam na pobocze, z trudem opanowując chęć gwałtownego wciśnięcia hamulca. Przy tak śliskiej nawierzchni skończyłoby się to pewnie poślizgiem... Koła chroboczą na wyzwirowanym poboczu, fala mdłości podchodzi mi do gardła. Kilka sekund później pędzący z naprzeciwka szalencie prawie się o mnie otarł. Nie widziałam nawet marki wozu — oślepiły mnie jego światła, po chwili z hukiem i dziwnym wizgiem jego samochód wpada na przydrożne drzewo, wbijając się w nie z całym impetem.

Resztę pamiętam, jak przez mgłę. Zatrzymuję się, szosa jest pusta. Mży i jest przenikliwie zimno, a od strony pobliskiego jeziora idzie gęsta mgła. Trzęsą mi się nogi; bohatersko walczę z kolejną falą mdłości. Robię niepewny krok do przodu, złodowaciałymi palcami usiłując wybrać numer pogotowia. Wbity w drzewo samochód — teraz widzę, że stare białe BMW — tkwi nieruchomy, zastygły w swoich ostatnich sekundach. Usiłuję dostrzec kierowcę. Nie wiem nawet, czy to mężczyzna, czy kobieta. W słuchawce zgłasza się znudzony, zachrypnięty głos. „Pogotowie!” — mówi. Krzyczę coś bez ładu i składu, dzwonią mi zęby. Podchodzę bliżej, chociaż wcale tego nie chcę. Na myśl o krwi, zdradzieckich odłamkach przedniej szyby i nieludzko poharatanej twarzy nieszczęsnego pirata prawie mdleję z przerażenia. Czytałam kiedyś, że obecnie szyby już się nie tłuką, czemu więc uparcie myślę o tych przeklętych odłamkach? Idę dalej, krok za krokiem, chociaż wcale nie chcę, chociaż mam ochotę dopaść swojej nowej toyoty, wcisnąć się za kierownicę i jechać, dopóki nie zobaczę pierwszych nocnych świateł mojego miasta. „Pogotowie!” — powtarza dyspozytorka, głosem, w którym nadal nie słyszę nawet cienia empatii. Bardziej poirytowanie...

Robię jeszcze jeden niepewny krok; moje zamszowe mokasyny nasiakają wodą z mokrej trawy na poboczu, po policzkach płyną łzy. A może to mżawka? Bełkoczę coś o tragicznym wypadku — język

mam dziwnie skołowaciały, jak kiedyś, po zażyciu nerwosolu. Nie mam pojęcia, czemu po zażyciu nerwosolu drętwieje mi język... Coś syczy. Myślę o ogniu. Czy wbity w drzewo samochód może się zapalić? Tłumaczę dyspozytorce, gdzie jesteśmy, usiłując podać jak najdokładniejsze wskazówki. Kobieta mówi, że karetka jest w drodze; w jej ochrypłym głosie udaje mi się w końcu uchwycić coś na kształt współczucia.

Trawa jest coraz wyższa, oprócz butów mam już mokre nogawki spodni, a lodowate zimno zdaje się przenikać mnie do szpiku kości. Wszystko wydaje się dziać w dziwnie zwolnionym tempie, chociaż wiem, że od wypadku musiały minąć co najwyżej dwie minuty. Zmuszam się, żeby przyspieszyć. Usiłuję przypomnieć sobie wszystko, czego uczyli nas na zajęciach z pierwszej pomocy, ale w głowie mam kompletną pustkę. „Ten człowiek potrzebuje twojej zimnej krwi — mówię sobie, zastanawiając się, czy w ogóle zdołam podejść bliżej. Wiem, jakie są konsekwencje nieudzielenia pomocy, jednak czy w takiej sytuacji można zmusić własne odporne ciało do posłuszeństwa? Mówią, że buzująca w żyłach adrenalina napędza do działania, jednak ja czuję jedynie paraliżujący, obłądny strach. Nogi z każdym krokiem głębiej wrastają mi w ziemię, wszystko we mnie krzyczy: „Uciekaj!”. Pierwszą rzeczą, jaką widzę, jest krew na masce — wyraźnie widoczna na białym lakierze, ciemnoczerwona i lepka. Od dziecka bałam się widoku krwi. Podobno u kobiet to znacznie rzadsze niż u mężczyzn. My — według psychologów — od urodzenia boimy się pajaków. Strach przed widokiem posoki to ponoć przypadłość typowo męska, a jednak...

Za plecami słyszę warkot silnika, chwilę później ktoś zatrzymuje się na poboczu. „Proszę pani?”. Męski głos. Obcy, chociaż dziwnie kojący. Odwracam się, siłą woli starając się uspokoić rozszalałe serce. Brnie przez wysoką trawę — szczupły, energiczny, raczej młody. „Jest pani ranna?” — pyta. Przecząco kręcąc głową, robiąc dwa kroki w jego stronę. Wykrztuszam coś o będącej w drodze karetce i razem podchodzimy do wraku. Stoi tuż obok — milczący, zszokowany, pachnący wodą kolońską o mocnej morskiej nucie. Sama się sobie dziwię, że w tej dramatycznej sytuacji zwracam uwagę na takie detale

jak jego zapach... Pośrodku chłodu marcowej nocy, mżawki i otulającej nas mgły jego obecność wydaje mi się błogosławieństwem — jawi mi się niczym te napotkane gdzieś przypadkiem anioły, podające ludziom rękę w trudnych sytuacjach. Przysuwam się bliżej, prawie stykamy się ramionami. Pyta, czy na pewno dobrze się czuję. „Tak” — szepczę, chociaż wcale nie jestem tego taka pewna. Czuję na ramieniu jego ciężką dłoń...

Dopiero po jakiejś sekundzie zdałam sobie sprawę, że to Łukasz musiał się obudzić i bezszelestnie do mnie podejść, wrywając mnie z zamyślenia.

— Cała drżysz. Chłodno ci? — zapytał z troską.

Oparłam głowę na jego ramieniu. Pachniał zwietrzałą nutką wody kolońskiej, którą kupiłam mu kilka tygodni wcześniej, i dziecięcym rumiankowym szamponem, którego ponoć używał od lat.

— Wszystko okay? — dociekał, rozmasowując moje plecy.

— Jasne. Pić mi się chce — skłamałam.

Łukasz nie wiedział o tamtym wypadku, a ja nie zamierzałam mu o nim mówić. Byliśmy razem dopiero dwa miesiące. Dwa pełne seksu, dobrej zabawy i śmiechu miesiące. Nie chciałam tego psuć opowieściami rodem z horroru, nie chciałam tej koszmarnej historii pomiędzy nami. Najśmieszniejsze było to, że w zasadzie w niczym wtedy nie zawiniłam. Czemu więc śmierć tamtego chłopaka z białego BMW stale śniła mi się po nocach? Zmarł, zanim dotarła do nas karetka. Mężczyzna, który zatrzymał się, żeby pomóc, reanimował go, dopóki nie przyjechali. Miałam jednak nieprzyjemne wrażenie, że już wtedy nie żył, a nasze wysiłki były jedynie cichym, bezsilnym krzykiem w stronę ciemnego, milczącego nieba. A może sam był sobie winny? „Pijany w dupę, bezmyślny szczeniak!” — mówię sobie czasem, przeklinając tamtą noc, tamtą drogę i cały ciąg niefortunnych zdarzeń, które przygnały mnie wtedy w tamtą okolice. Gdybym tylko posłuchała przyjaciółki i została u niej do rana... Gdybym wyjechała od Marzeny parę minut wcześniej... Gdybym powiedziała, że nie mam ochoty oglądać u niej filmu, bo muszę pracować... Gdybym...

— Duszno tu — rzucił Łukasz, stając tuż za mną.

W całkowitej ciemności dom zdawał się żyć swoim życiem.

Metalowe drzwi nowej wysokiej lodówki błyszcząły w świetle wpadającej przez okno księżycowej poświaty, stary zegar z kukułką tykał jakby głośniej niż za dnia, a zrobiony przez miejscowego stolarza drewniany stół wydawał się bardziej kanciasty. Jak gdyby nagle wszystkie te swojskie, znajome sprzęty objawiły swoją drugą, zagadkową naturę.

Otwarłam pomrukującą przyjaźnie lodówkę i wyjęłam z niej butelkę mineralnej. Przyjemnie schłodziła mi palce; miałam ochotę przyłożyć ją sobie do policzka i przez chwilę tylko stać, studząc kłębiące się we mnie emocje.

— Dla mnie cola — powiedział Łukasz, całując mnie w szyję.

Otrząsnęłam się ze wspomnień. Podałam mu puszkę i zdjęłam z niewielkiej, zawieszanej nad stołem półki dwie wysokie szklanki.

— Żartujesz? — zaśmiał się, z sykiem otwierając napój.

— No tak, ty szklanek nie używasz — mruknęłam, opierając się o zimny blat.

— Dopiero kwadrans po drugiej — powiedział, szeroko ziewając. — Pewnie znowu do rana nie będę mógł zasnąć...

„Kwadrans po drugiej nad ranem” — pomyślałam i mimowolnie się wzdrygnęłam. Dokładnie tak jak wtedy, na szosie. Prawie...

— Coś cię gryzie, czy mi się wydaje? — zapytał Łukasz.

Wpatrzona w ciemną ścianę lasu za szeroko otwartym oknem, w milczeniu dopiłam wodę. Nie mogłam uwierzyć, że sypialiśmy w tej głuszy z otwartymi na oścież oknami. W Bielsku, w którym się wychowałam, byłoby to nie do pomyślenia. To jak zaproszenie dla złodzieja, jawna prowokacja, manifestacja czystej głupoty. Jednak w tej zalesionej dziczy... Nasz dom „wieńczył” wzgórze — za tylnymi oknami była już tylko pierwsza linia lasu. Jakies sto pięćdziesiąt metrów niżej, jadąc wzdłuż pełnej kamieni, zakurzonej drogi, stała zbudowana z bali chata Maćka i Anety, naszych jedynych sąsiadów; reszta mieszkańców kisiała się w niewielkim, raczej brzydkim miasteczku w dolinie. Kilka innych domków letnich „porastało” drugą stronę zbocza — jednak tutaj wciąż było odludnie.

— Natalia? Przecież widzę, że coś cię podgryza — naciskał Łukasz.

Milczałam. Mój chłopak odgarnął mi z czoła przydługą ciemną

grzywkę i cierpliwie czekał, aż zacznę mówić. Nie chciałam jednak opowieści o tamtej nocy. Nie tutaj. Nie w miejscu, które od lat było czymś na kształt mojego ukochanego azylu. Nocny incydent na szosie był zbyt upiorny, żeby o nim wspominać tu, gdzie czułam się szczęśliwa i bezpieczna.

— Wydaje ci się. — Wysiłałam się na uśmiech. Każde kolejne kłamstwo przychodziło mi coraz łatwiej...

— Skoro tak mówisz. — Łukasz lekko wzruszył ramionami i dopiwszy swoją colę, wrzucił zgniecioną puszkę do przepelnionego kosza.

Trzasnęła jedna z zawieszonych pod sufitem drewnianych belek, gdzieś za oknem zahukał puchacz. Albo coś, co w moich uszach zdeklarowanej mieszczki na puchacza mi zabrzmiało.

— Chodźmy spać — rzucił mój facet, chwytając mnie za rękę.

„Kolejny z jego uroczych, infantylnych gestów... Emil nigdy by się na to nie zdobył” — pomyślałam, dziwnie wzruszona.

W sypialni pomimo otwartego okna było nieprzyjemnie duszno. Wyjrzałam na zewnątrz, opierając się o parapet. Łukasz objął mnie od tyłu i całując moją szyję, wyszeptał, że nie może oderwać ode mnie rąk.

— Jak ty to robisz?

— Czary? — mruknęłam, przelotnie zerkając na zarośnięty trawnik przed oknami.

Drewniany piknikowy stół, zamówiony przez Emila dwa lata wcześniej u tego samego stolarza, który urządził nam kuchnię, stał samotnie pośrodku wysokiej, dawno niekoszonej trawy. Niedbale pozasuwane, zdobne w wysokie, rzeźbione zagłówki, krzesła tkwiły dookoła niego — nieruchome jak wypalone z gliny figury terakotowych żołnierzy chińskiej armii. Porywane nagłymi podmuchami ciepłego letniego wiatru drzewa szumiały nieprzerwanie i nagle te rozkołysane pod nocnym niebem konary wydały mi się jakoś dziwnie złowieszcze. Zerknęłam w stronę lasu. Dom był już definitywnie wykończony, jednak ciągle nie mieliśmy płotu. Trawniki, zwany kiedyś przez Emila naszą prywatną polaną, kilkanaście metrów dalej przemieniał się po prostu w rozległy zagajnik.

— Czego tak wypatrujesz? — szepnął Łukasz, przygryzając płatek mojego ucha.

Na piersiach poczułam jego ciepłe, duże dłonie, na szyi gorący oddech. Nie odpowiedziałam, zresztą pewnie sama nie znałam odpowiedzi. Po prostu coś niezdefiniowanego przykuło moją uwagę. Przymknęłam oczy, dając się ponieść chwili — jego dotyk sprawił, że zapomniałam o całym świecie. Zsunął z moich ramion cienkie jak nitki spaghetti ramiączka satynowej koszulki i, błędząc coraz bardziej niecierpliwymi dłońmi po moich pośladkach, wymruczał, że nigdy nie ma mnie dość.

— Chodź — powiedział. — Może to mało oryginalne podejście do miłości, ale w łóżku zawsze jest najwygodniej.

Ostatni raz zerknęłam w stronę lasu i przeszło mi przez myśl, że w nieprzeniknionej ciemności wietrznej nocy ktoś mi się stamtąd przygląda. Czułam, że to największa bzdura, jaką mogłabym sobie uroić, ale nawet kochając się z moim facetem pośród błękitno-beżowej skotłowanej pościeli, miałam upiorne wrażenie, że ktoś lub coś nie spuszcza z nas wzroku...

Jakieś pół godziny później Łukasz zasnął i boso wymknęłam się z łóżka. Trawnik przed oknami był pusty, jednak wpatrując się w ciemną ścianę lasu, wciąż odczuwałam czyjąś dziwną, niemal magnetyczną obecność. To pulsowało w mojej głowie, mrowiło w czubkach palców, wibrowało pod moją czaszką, gdzieś na krawędzi świadomości — uparte, milczące, czujne. Przez kilka minut stałam w oknie, jak przyrośnięta do chłodnych klepek parkietu, w końcu położyłam się obok Łukasza, odganiając od siebie myśl, że jakiś tajemniczy stwór — człowiek lub zwierzę — patrzy prosto w otwarte na oścież ciemne okno naszej sypialni.

2.

Ranek wstał pogodny i, o dziwo, bezwietrzny. Jediną pamiątką po gwałtownej nocnej wichurze były niewielkie po łamane gałązki na trawniku. Zaparzyłam świeżą kawę, śmiejąc się w duchu z moich dziwnych lęków. „Nigdy nie należałam do tchórzliwych kobieciełek, czemu więc nagle doszukiwałam się w moim życiu czegoś, co brzmiało jak scena żywcem wycięta ze scenariusza nap rawdę marnego horroru?” – zastanawiałam się. Może po prostu byłam zmęczona... Przecież długie wakacje w „ Emilówce ” miały być swoistą formą terapii – zastrzykiem absolutnej wolności z dala od zgiełku miasta, nawału pracy i starych znajomych. Chciałam pozbie rać się po tamtym marcowym wypadku. Podładować akumulatory po rozstaniu z Emilem, przemyśleć sobie na spokojnie kilka spraw, odetchnąć świeżym powietrzem. Zaszycie się pośrodku zalesionego wzgórza wydało mi się idealnym sposobem na chwilowe porzucenie doty czasowej rutyny. – Jak spałaś?

Łukasz pojawił się w kuchni, kiedy mieszałam swoją kawę.

– Marnie – przyznałam zgodnie z prawdą.

Nie skomentował. Wyjął z chlebaka resztę podeschniętego tostowego chleba i zaczął przetrząsać szafki w poszukiwaniu słoika z m armoladą. Przy okazji zjadł kilka zostawionych na blacie zbożowych ciasteczek i zagryzł je słonym paluszkiem.

– Skusisz się? – zapytał z pełnymi ustami. – Będą tosty z dżemem.

– Wiesz, że staram się nie jadać śniadań.

Łukasz, pogwizdując, kręcił się po kuchni – w kąciku ust miał odrobinę truskawkowego dżemu, który wyjadał ze słoja, przygotowując tosty, dzięki czemu wyglądał jeszcze bardziej chłopięco niż zwykle. Dosypałam cukru do śmiesznie pękatego, czerwonego garnuszka, prezentu od Emila, i pomyślałam o poranku, kiedy mi go dał. Był szósty sierpnia, moje urodziny. Czytałam gazetę, kiedy Emil pojawił się w kuchni całkiem nagi, z tym śmiesznym garnuszkiem w ręku. „Dla ciebie. Żeby kawa zawsze była słodka” –

powiedział coś w tym stylu, całując mój niewielki i, umieszczony tuż nad obojczykiem pieprzyk, który szczególnie sobie upodobał. W garnuszku był jeszcze wisiołek – elegancka „łezka” z białego złota, na łańcuszku tak wątłym jak łącząca nas więź... Tamtego ranka wypiliśmy z czerwonego garnuszka pierwszą wspólną kawę i zanim wzięliśmy prysznic, kochaliśmy się w wysokiej, mokrej od porannej rosy trawie przed domem. Przypomniałam sobie, lekko się uśmiechając, jak prawie nas wtedy przyłapał jeden z robotników mających akurat „wykańczać” kuchnię, co jeszcze przez jakiś miesiąc wspominaliśmy z dużym rozbawieniem.

„Powinnam pozbyć się chociaż części tych budzących wspomnienia rzeczy” – pomyślałam. Nie miałam jednak pojęcia, jak w ogóle się za to zabrać – cały dom był pełen kojarzących mi się z Emilem drobiazgów. Doniczki, garnuszki, śmieszne figurki, które lubiliśmy przywozić z naszych wspólnych wakacji. Obrazki w ramkach, długopisy, książki, lampki, wazony, kwiaty – otaczała mnie nasza wspólna przeszłość i musiałabym zrobić gruntowny remont, żeby pozbyć się wszystkiego. Remont, na który nie bardzo było mnie stać i na który nie miałam najmniejszej ochoty. Zresztą oficjalnie domek wciąż należał do Emila, a ja nie miałam chyba prawa aż tak się szarogęścić.

– Jedziesz ze mną do miasteczka? – zapytał Łukasz, przeszukując lodówkę, najpewniej w poszukiwaniu masła.

Po tostach, wysmarowanych hurtowymi ilościami dżemu, lubił jeszcze czasem usmażyć sobie jajecznicę. Wydawało mi się to kompletnie niedorzeczne – tym bardziej że wkrajał do niej tonę szczypiorku. Szczypiorek z truskawkowym dżemem – czy może być bardziej zaskakująca kombinacja?

– Natalia?

– Sama nie wiem... – wahałam się. – Chciałabym dziś rano trochę pobiegać. Może koło południa wybiorę się pieszo?

– Dobre dwadzieścia pięć minut szybkiego marszu przez las. Masz energię, dziewczyno – mruknął Łukasz, kładąc na stole miseczkę z masłem.

Bąknęłam coś o tym, że ponoć ruch to zdrowie, i zabrałam się za

swoją kawę, smakując ją wolnymi łykami. Była przyjemnie ciepła, jednak aromat, który tak w niej kochałam, jakoś się ulotnił. Ostatnio dziwnie pogorszył mi się węch. Polipy? Stres? Bujna wyobraźnia? A może zwyczajnie zapomniałam uszczelnić opakowanie?

Łukasz krzątał się po kuchni, w samych czarnych bokserkach. Opalony, wysoki, ładnie zbudowany. Może nie nazbyt muskularny, jednak zdecydowanie męski. Szeroki w ramionach, z imponująco wyrzeźbionym, płaskim brzuchem. Wołające o fryzjerskie cięcie jasne włosy po chłopięcemu opadały mu na oczy, a urocze dołki w policzkach jeszcze bardziej go odmładzały, chociaż i bez nich nie wyglądałby na swoje dwadzieścia cztery lata. „Jak to w ogóle możliwe, że zaczęłam się spotykać z takim smarkaczem?” – zastanawiałam się, dopijając kawę. Nasz związek był przypadkiem czy próbą odreagowania po zerwaniu z Emilem? A może zadając się z dwanaście lat młodszym facetem, w banalny sposób usiłowałam podarować sobie jeszcze kilka lat młodości? W końcu Emila zostawiłam chyba z racji jego wieku. Zbliżał się do pięćdziesiątki. Spanikowałam. Zaczęłam szukać pretekstu, żeby z nim zerwać, w końcu zostawiłam go tuż przed jego urodzinami, niecałe dwa tygodnie po tamtym marcowym wypadku. Przyjął to całkiem dobrze, zupełnie jakby od dawna się tego spodziewał. Zostaliśmy przyjaciółmi, zaprosił mnie na lato do „Emilówki” – jak nazywał kupiony przez siebie cztery lata wcześniej jej dom na wzgórzu. Skorzystałam z zaproszenia – czemu nie miałabym tego zrobić? Emil był w Stanach. Dostał propozycję pracy z jednego ze szpitali w Miami i wydawał mi się tak samo odległy, jak przechadzające się gdzieś pod palącym słońcem Florydy bajkowo upierzone na różowo flamingi. Wiedziałam, że „Emilówka” najprawdopodobniej zostanie sprzedana – sama od niedawna zastanawiałam się, czyby jej nie kupić. W końcu poświęciłam naprawdę wiele czasu na jej urządzenie – Emil kupił ją w stanie surowym i cały ogro m pracy, jaki włożyliśmy w jej wykończenie, miałby pójść w niepamięć? Kochałam to miejsce, czułam się tutaj bezpiecznie. „Czemu nie miałabym sprawić sobie prezentu?” – zastanawiałam się.

Łukasz zakrztusił się pomarańczowym sokiem i śmiesznie machając

rękom a, kaszlał, dopóki mu nie przeszło. Przyglądałam mu się znad garnuszka z kawą, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że w domu, któremu Emil poświęcił tyle pracy, mój młody kochanek wydawał się zupełnie nie na miejscu. A może byłam zwyczajnie przewrażliwiona?

– Lecę! – Głos chłopaka wyrwał mnie z zamyślenia.

Pocałował mnie w przelocie, ledwie muskając moje wargi, i pomyślałam, że nasz związek jest tak samo ulotny, jak ten pocałunek. Na co innego mogła liczyć trzydziestosześcioletka? Początkiem sierpnia skończę trz ydzieści siedem lat. Jeszcze niezaawansowany wiek średni, jednak dla kobiety z całą pewnością już nie przedwiośnie...

Trzasnęły wejściowe drzwi. Chwilę później jasnoszare kombi Łukasza zniknęło z byle jak wylanego betonowego podjazdu.

Nagle przypomniałam s obie daną Emilowi obietnicę – jeszcze tego lata miałam dopilnować brukowania wyznaczonego placyku od frontu. Emil znalazł już nawet w miarę tanią ekipę i zamówił materiały. Musiałabym tylko kontrolować roboty, a – prawdę mówiąc – nie bardzo miałam ochotę z ostać nadzorczą rozwrzeszczanej, cuchnącej potem, a często-gęsto również podpitej zgrai tak zwanych fachmanów. Jednak słowo się rzekło i zdałam sobie sprawę, że powinnam chociaż dopilnować, żeby kolorowa kostka brukowa trafiła pod „ Emilówkę ”. Do tej pory le żała w jednym z magazynów pobliskiego marketu budowlanego i z tego, co słyszałam, jego właściciel zaczynał już tracić cierpliwość. Składowana tam od długich tygodni, zabierała mu cenne miejsce, a ja wciąż nie mogłam się zmobilizować, żeby zorganizować jej transport pod domek na wzgórze... Wiedziałam, że resztki cierpliwości właściciela magazynu zawdzięczam jedynie jego starej znajomości z Emilem i chociaż głupio się czułam na myśl, że nadużywam jego dobrego serca, nie potrafiłam się zebrać do kupy, żeby to w końcu załatwić. Nigdy nie miałam głowy do takich spraw, co zawsze dość dobitnie powtarzał mi Emil... „Cholera by to wzięła” – pomyślałam, wkładając do zlewu garnuszek po kawie. Odkręcając wodę, obiecałam sobie, że późnym latem dopilnuję kładzenia podjazd u i od razu poprawił mi się humor. „A kostkę chrzanić – w końcu klient nasz pan. Kupiliśmy, zapłaciliśmy,

to niech sobie jeszcze trochę leżakuje. Co prawda kostka brukowa nie wino, ale co tam” – pocieszyłam się w duchu.

W ciągu następnej godziny pobieżnie sprzątnęłam kuchnię, rozwiesiłam dwa sznury prania i przeprasowałam kilka najpotrzebniejszych ciuchów, starając się poświęcić tym czynnościom jak najmniej czasu. Nigdy nie należałam do przykładających nadmierną wagę do porządku kobiet i – szczerze mówiąc – sama już nie wiedziałam, czy była to moja wada, czy może zaleta. Przez chwilę posiedziałam na werandzie, ciesząc się najnowszym thrillerem medycznym Tess Gerritsen, w końcu przebrałam się w stary czerwono-szary podkoszulek, krótkie dżinsowe spodenki i podniszczone adidasy do biegania, pamiętające chyba jeszcze początki mojego związku z Emilem. Omiotłam wzrokiem ganek, zamknęłam za sobą frontowe drzwi i zawieszając sobie na szyi czerwoną „smycz” z kluczami od domku, niespiesznym truchtem ruszyłam w stronę lasu.

Wysoka trawa pieściła moje odsłonięte łydki; rozgrzane powietrze przyjemnie pachniało latem. Musiało być kilka minut po dziewiątej, może odrobinę później. Przyspieszyłam, wbiegając na wąską, ubitą ścieżkę pomiędzy drzewami. Teren opadał w dół, daleko, pomiędzy chaszczami migotały odległe dachy położonego w dolinie miasteczka. Biegłam, starając się nie szarżować – parę tygodni wcześniej nadwerżyłam sobie zwichniętą wcześniej kilkakrotnie kostkę. W miejscu w którym skarpa dość gwałtownie opadała, zatrzy miałam się, żeby złapać oddech, i ciaśniej spięłam gumką wysypujące się z kucyka ciemne włosy. Nad moją głową radośnie śpiewały ptaki, a miejscami prześwitujące przez rozłożyste korony drzew słońce jasnymi plamkami dawało znać o swoim istnieniu. Na „Polanę pod Świerkami” – jak nazywaliśmy ją z Emilem – dotarłam kilka minut później. Zgrzana, dziwnie zmęczona, całkowicie wyszana z formy.

– Zasiedziałaś się, dziewczyno – mruknęłam pod nosem, chwytając się pod boki.

Złapała mnie kolka. W skroniach szumiało, w uszach czułam nieprzyjemną suchość. Schyliłam się, łapczywie łapiąc powietrze, i w tym momencie dotarło do mnie, że stoję pośrodku dziwnego wypalonego w trawie kręgu o średnicy jakichś dwóch metrów i

idealnie równych, jakby obrysowanych gigantycznym cyrkiem krawędziach. Wciąż zdyszana i spocona, przykucnąłam w samym środku dziwnego znaleziska. Wypalona trawa była brzydko pożółkła, a pośrodku tajemniczego okręgu widniało coś, co wyglądało na kupkę popiołu. Pomyślałam, że zagadkowa obręcz przypomina odrobinę powstałe z owocników grzybów kręgi, zwane ponoć czarcimi kołami, i poczułam się nieswojo.

Rozejrzałam się dookoła, dziwnie podenerwowana. Śpiewające jeszcze przed chwilą nad moją głową ptactwo zamilkło, jakby w pół taktu, a panująca w lesie cisza wydała mi się wręcz nienaturalna. Zupełnie jakbym oglądała film, w którym nagle ktoś wyłączył dźwięk. Wstałam i powoli się wycofałam. Starłam się nie deptać po nadpalonej krawędzi i nie wpadać w panikę. Spojrzałam w górę – rosnące na skraju lasu wysokie sosny miały wypalone, poczerniałe wierzchołki, co w połączeniu z tajemniczym, pełnym popiołu kręgiem wyglądało szczególnie upiornie. Nie miałam pojęcia, czy takie zniszczenia mogą powstać od uderzenia pioruna, czy może stało się tutaj coś, czego nie potrafiłam nawet sobie wyobrazić. Oparłam dłonie na kolanach, wyrównując oddech. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe, z trudem przełykałam ślinę przez wyschnięte gardło. Jasność słonecznego letniego poranka nieco łagodziła całą tę niepokojącą scenę, jednak zdałam sobie sprawę, że zwyczajnie się boję.

– Panikara – powiedziałam na głos, robiąc kilka skłonów tułowia i wymachów rąk. – Panikara i strachajło – powtórzyłam, przez parę sekund biegając w miejscu.

W końcu uspokoiłam się na tyle, żeby wbiec z powrotem do lasu, kie rując się w stronę domu. Nagle dzień wydał mi się o wiele gorętszy, niż myślałam, wychodząc pobiegać. Pot spływał mi po plecach, a cienka strużka między piersiami i wilgotna, lepiąca się do czoła grzywka jasno dały mi do zrozumienia, że mam dość. Dość jogingu, dość odludnego terenu, dość wrażeń jak na jedną dobę.

Do „ Emilówki ” dotarłam po jakimś kwadransie – wyczerpana i niespokojna. Rozglądając się uważnie, obeszałam dom dookoła, jednak nie zauważyłam niczego podejrzanego. Moja czerwona toyota stała na bet onowym podjeździe, na schodkach werandy leżał thriller, który

zostawiłam tam przed wyjściem, i okulary w ciemnośliwkowych oprawkach, które czasem zakładałam do czytania. Usiadłam na stopniach przed frontowym wejściem i rozmasowałam sobie łydki. Poczucie za grożenia minęło, jednak leśny incydent mocno wytrącił mnie z równowagi. Nigdy wcześniej nie bałam się biegać tą trasą, nawet mając świadomość, że w promieniu kilkuset metrów nie ma pewnie żywego ducha. „Czego więc przestraszyłam się tego ranka aż tak, żeby zawrócić i uciec, prawie w panice dopadając domu?” – myślałam, wstając.

W przedpokoju było duszno. Zamknęłam od środka frontowe drzwi na klucz, czego nigdy nie robiłam w ciągu dnia, i poszłam prosto do łazienki. Letni prysznic przyjemnie mnie orzeźwił, je dnak nawet zamknięta w małej, utrzymanej w beżach i brązach łazience nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że dzieje się coś dziwnego. Nigdy wcześniej nie czułam się tak niespokojna w miejscu, które znałam i kochałam, nigdy wcześniej nie czułam czyjejs nachalnej, nieustannej nieobecności. Zerknęłam w stronę maleńkiego łazienkowego okna. Zielono-biała, kraciasta firanka była starannie zasunięta, paprotka na parapecie wyglądała na zadowoloną – Łukasz rano ją podlał – jakimś dość komicznym zbiegiem okoliczności osta tnio to głównie on dbał o kwiaty, które kiedyś kupił Emil. Szyba była czysta, za nią buchający zielenią fragment ściany lasu; jedynie kilka koron drzew, które mogłam dostrzec w okienku. Nic niepokojącego, a jednak...

Wzdrygnęłam się, wcierając w ciało nawilżający balsam. Przed południem zamierzałam napisać felieton do jednego z kobiecych miesięczników, z którym od paru lat współpracowałam, i chociaż pobieżnie przejrzeć końcówkę artykułu o podlaskich szeptuchach, nad którym od dłuższego czasu ślęczałam. Jednak na myśl o pozostaniu w położonym na zalesionym odludziu domu wzdłuż kręgosłupa przeszedł mi zimny dreszcz. Za oknem radośnie świeciło słońce. Ptasie trele i odległe szczekanie psa sąsiadów sprawiały wrażenie całkowitej normalności, jednak dziwny niepokój rozgościł się we mnie na dobre i bynajmniej nie zamierzał ustąpić. Włożyłam letnią sukienkę – jedną z tych upstrzonych kwiatami „łaczek” na ramiączkach, które zawsze lubił mój były facet – i w pośpiechu

wsuwając stopy w zdobione tandetnymi cekinami tani klapki, wybiegłam z domu, ruszając w stronę mojego samochodu. Jeszcze tego ranka planowałam, że dotrę do miasteczka spacerem, jednak na myśl o samotnej wyprawie przez las, poczułam rosnącą w gardle gulę.

Nagle przypomniała mi się tamta dziwna lipcowa noc sprzed roku. Nie mogłam spać, zresztą nie ja jedna. Jakiś kwadrans wcześniej Emil wymknął się na werandę, zostawiając mnie samą w dusznej sypialni. Wstałam i, otulona jedwabnym szlafrokiem, wyszłam przed dom. Oparty o drewnianą barierkę Emil wpatrywał się w ciemną ścianę lasu. „Wiem, że brzmię jak wariat, ale mam takie głupie wrażenie, że ktoś mi się stamtąd przygląda” – powiedział mi wtedy. Chwilę później obrócił wszystko w żart, jednak znając go, czułam, że zrobił to tylko ze względu na mnie. Pewnie nie chciał mnie denerwować...

Podeszłam do samochodu. Nagrzana przedpołudniowym słońcem blaszana puszka nie zachęcała do przejażdżki, jednak wolałam to niż samotne leśne spacerki. Otwierając toyotę, nie mogłam się nadziwić, czemu dopiero teraz przypomniałam sobie zagadkowe słowa Emila. Silnik zapalił od razu, co przyjąłam z ulgą. Siadając za kierownicą, miałam takie upiorne przekonanie, że auto nie zdoła ruszyć z miejsca, a ja samotnie utknę w samym środku tej zalesionej głuszy. Kilka minut później zmierzałam już w stronę pierwszych zabudowań miasteczka, a trzymająca mnie za gardło panika zniknęła z każdym mijanym kilometrem. Parkując nieopodal należącego do rodziny Łukasza zajazdu Zielony Łabędź, chciało mi się już tylko śmiać.

„Co się ze mną dzieje, na miłość boską?! – zastanawiałam się, zamykając auto. – Nigdy nie byłam rozhisteryzowaną paniusią, ale od kilku dni... Nieważne. Chyba muszę po prostu porządnie się wyspać” – pocieszyłam się w duchu.

3.

Hej, kiciu! Widzę, że jednak dałaś sobie spokój z leśnymi spacerami. – Pomagający w rozładunku ciężarówki z piwem Łukasz pomachał w moją stronę, a młody barman, od niedawna pracujący w Zielonym Łabędziu, posłał mi zaciekawione spojrzenie.

– Sorry, gdzie moje maniery – zreflektował się Łukasz, stawiając na ziemi beczkę z piwem. – Poznajcie się. Kamil od niedawna pracuje u nas za barem, a to moja dziewczyna, Natalia – powiedział, wierzchem dłoni ocierając pot z czoła.

„Dziewczyna...” – pomyślałam, dziwnie spłoszona. W ustach dwudziestoczterolatka słowo „dziewczyna” brzmiało całkiem poważnie. A może jednak nie?

– Cześć. – Kamil podał mi rękę, przy okazji omiatając wzrokiem mój dekolt.

– Zjesz coś? – zapytał Łukasz.

Wyglądał na skrajnie zmęczonego upałem i dziwnie zniechęconego do rozładunku piwa. Ale może akurat to nie było aż takie dziwne? Poprosiłam o kanapkę. Powiedział, że w kuchni są jego siostra z matką, i, pobieżnie cmokając mnie w szyję, dodał, że muszą skończyć, zanim kierowca straci cierpliwość.

Idąc w stronę tylnego wejścia do zajazdu, przypomniałam sobie o moim zostawionym w bagażniku laptopie. Zdecydowałam jednak, że najpierw coś zjem, a później po niego wrócę. Pchnęłam ciężkie metalowe drzwi na zaplecze lokalu, wchodząc do olbrzymiej, wykładanej białymi kafelkami kuchni. W środku pachniało gotującą się kapustą – pewnie w jednym ze stojących na przedpotopowej kuchence dużych garnków gotował się bigos. Zdziwiło mnie to o tyle, że było o wiele za gorąco na tego typu potrawy, ale z drugiej strony... Nie moja sprawa.

Matka Łukasza – mocno otyła, ufarbowana na bliżej nieokreślony odcień spłowiałego brązu kobieta – nie wyglądała na zachwyconą moim widokiem. Burknęła coś o czekających na zamówienie gościach

i w locie ściągając kuchenny fartuch, wyszła, zostawiając mnie sam na sam z Mirką – dziewiętnastoletnią siostrą mojego faceta. Dziewczyna obierała ziemniaki, siedząc na niskim zydlu. W świetle jarzeniówek wyglądała na trupio bladą i zmęczoną. Podkrążone oczy, wąskie usta zaciśnięte w ciekłą kreskę, przetłuszczone jasne włosy, niedbale spięte plastikową kłamarą. Zauważyłam, że wymykające się z koka kosmyki mają taki sam jasny odcień jak u Łukasza, na tym jednak podobieństwo pomiędzy rodzeństwem się kończyło. Mój facet był szczupły, o chłopcim wyrazie twarzy i wesołym usposobieniu. Jego młodsza siostra wydała mi się jakaś dziwnie toporna, jakby wyciosana w kamieniu niewprawną ręką rzeźbiarza amatora. Pomimo młodego wieku miała sporą nadwagę, opuchniętą twarz i masywny, niemal męski podbródek, który dodawał jej lat. W dodatku za każdym razem, kiedy się spotykałyśmy, sprawiała wrażenie sennej, wręcz nieobecnej duchem – nie miała w sobie za grosz energii, radości życia i rozgadania mojego Łukasza. Milcząca, ponura, wiecznie skwaszona...

Podeszłam bliżej, pytając, czy mogę jej w czymś pomóc. Zaszczyciła mnie przelotnym spojrzeniem, ale nie wyglądała na zainteresowaną.

– Bigos pomieszaj – rzuciła w końcu na odczepnego, wrzucając do garnka kolejnego obranego kartofla, który z pluskiem wpadł do wody.

Chwyciłam za wielką łyżkę i starając się nie oparzyć rozgrzaną pokrywką, którą chwyciłam bez osłony kuchennej ścierki, zabrałam się za mieszanie.

– Co u ciebie? – zapytałam, chcąc jakoś rozładować wiszące w powietrzu napięcie, jednak Mirka nie okazała się zbyt rozmowna.

– A co ma być? – mruknęła, wrzucając do garnka kolejnego ziemniaka. – Leci jakoś, byle do przodu.

– To chyba dobrze? – zaryzykowałam ni to stwierdzenie, ni to pytanie, przyglądając jej się kątem oka.

Wzruszyła pulchnymi ramionami i wiercąc się na drewnianym krzeselku, założyła nogę na nogę. Zauważyłam, że nad kostką ma marnie wykonany tatuaż w kształcie kilku splecionych kwiatów i brzydkie zadrapanie na lewej łydce.

– Wygląda na głębokie – powiedziałam, przykrywając lepiącą się od

tłuszczu pokrywką garnek z bigosem.

– Czy ja wiem... – Wzruszyła ramionami. – Czasem, zbierając jeżyny, bardziej się poharatam.

– Kiedy się tak urządziłaś? – zainteresowałam się.

– Obudziło mnie pieczenie, na prześcieradle była krew. Pewnie kot mnie załatwił, bo co by innego? Znajdź mi biały pieprz, skoro już tu jesteś – dodała.

– Kot? – zdziwiłam się, nie bardzo mogąc sobie wyobrazić atakującego śpiącą dziewczynę sierściucha.

– No mówię przecież – bąknęła, wstając. – Pierdolone ziemniaki! Że też zawsze na mnie padnie babranie się z tym wszystkim!

– Nie macie już tej młodej pomocnicy?

– A skąd! Praktykę tylko u nas miała, żadnego stałego etatu. Będą ze cztery tygodnie, jak się wyniosła. Powinnaś się cieszyć, bo panna od samego początku robiła słodkie oczy do Łukasza – stwierdziła Mirka zjadliwym tonem.

Nie skomentowałam, chociaż podejrzewałam, że dziewczyna chętnie usłyszałaby jakąś odpowiedź. Podałam jej tylko nienapoczęte opakowanie białego pieprzu i szerzej uchyliłam okno.

– Ale duchota...

– Zapowiadali burzę, wieczorem podobno ma nieźle wiać – oznajmiła Mirka, ziewając. – Bułkę sobie jakąś zrób, pewnie głodna jesteś – dodała o wiele sympatyczniejszym głosem.

Wyjęłam z lodówki pikle, dziwnie się czując – jak buszujący po obcej kuchni niezapowiedziany i nachalny intruz. Na plecach czułam wbity we mnie wzrok dziewczyny. Wzrok czujny jak u pająka obserwującego wplątaną w swoją misterną sieć muchę... Zaburczało mi w brzuchu i niemal upuściłam trzymany w ręku ząbkowany nóż.

– Tym chcesz bułkę kroić? W szufladzie są mniejsze – prychnęła Mirka.

Posłuszna jak dziecko otwarłam jedną z szuflad. Chwilę później do kuchni wszedł Łukasz w towarzystwie młodego barmana, Kamila.

– Słyszałyście już o piętnastoletniej córce tych letników z Warszawki? Tej, która dwa dni temu przepadła bez wieści? – Kamil zagaił rozmowę, zaskakująco lekkim tonem przybliżając obecnym

niepokojące szczegóły. – Podobno do tej pory tej laski nie odnaleźli, chociaż rodzice dziewczyny wyznaczili całkiem sporą nagrodę. Słyszałem, że jej starzy to para prawników czy innych ważniaków.

Wzdrygnęłam się, starając się nie myśleć o smutnym najpewniej losie nieszczęsnej nastolatki, za to Mirka bynajmniej nie wyglądała na wstrząśniętą.

– Włóczą się te wszystkie półgołe nieletnie kurwiszonki po nocach i kręcą tyłkami, to mają za swoje. – Wzruszyła ramionami i postawiła na gazie gar z obranymi przez siebie ziemniakami.

Posłałam jej zdziwione spojrzenie.

– Naprawdę tak myślisz? – Nie mogłam w to uwierzyć.

Chciała coś odpowiedzieć, kiedy do kuchni wróciła matka Łukasza, wzrokiem bazyliuszka przyglądając się trzymanej przeze mnie bułce.

– Przepraszam... Mirka powiedziała, że mogę coś zjeść – powiedziałam, dziwnie speszona pod obstrzałem jej spojrzeń.

Nie znosiła mnie od początku i to się wyczuwało. Może nawet nie powinnam się jej dziwić? W końcu jako starsza o dwanaście lat od jej Łukasza byłam raczej marną kandydatką na przyszłą synową... Nie żebyśmy kiedykolwiek myśleli o ślubie, ale ona pewnie by wolała, żeby jej ukochany synuś znalazł sobie odpowiedniejszą partię.

Ostatni raz łypnęła na trzymaną przeze mnie bułkę i zajrzała do garnka z bigosem.

– Skoro jesteś głodna... – skwitowała.

Po chwili ostentacyjnie obróciła się do mnie plecami; kolejny afront z jej strony...

„Skoro jesteś głodna...” – skrzywiłam się. Zabrzmiało to trochę, jak: „Zryj, skoro musisz”, jednak nie powiedziałam już ani słowa. Kanapka była uboga – w obecności skwaszonej matki Łukasza i jego wiecznie naburmuszonej siostry, odważyłam się jedynie cienko posmarować bułkę majonezem i rozłożyć na niej naprędce skrojonego ogórka.

– Chcesz herbatę? – Niespeszony obecnością rodziny Łukasz objął mnie w pasie, posyłając szeroki uśmiech przyglądającej się nam spode łba młodszej siostrze.

Dziewczyna posłała mu niechętne spojrzenie, jednak nie wyglądał na przejętego.

– To jak? Herbata czy coś zimnego? Mamy nawet kompot, gdybyś chciała.

– Dziękuję, pójdę już. Zostawiłam w samochodzie laptop, a muszę trochę popracować.

– Usiądź u nas, chociażby na tarasie. Otworzę ci okno, podłączysz sobie kabelek. – Łukasz najwyraźniej wciąż nie wyczuwał mojego zmieszania.

Spojrzałam w stronę jego matki, w tym samym momencie przypominając sobie, że ma na imię Genowefa. Energicznie mieszała w garze z bigosem, przyglądając mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Nie wiem, czy nie wrócę do „Emilówki” – powiedziałam cicho, za późno gryząc się w język.

W końcu nazwanie w jej obecności domu na wzgórzu „Emilówką” było niczym jawne przyznanie się do winy – nie dość, że byłam w okolicy tą obcą, miastową, to jeszcze przez lata radośnie cudzołożyłam ze swoim byłym facetem, zanim położyłam zbierne łapy na jej idealnym, młodym synu. „Może nie powinnam się dziwić, że kobita tak bardzo mnie nie znosiła?” – pomyślałam prawie rozbawiona.

– Chodź, usiądziemy na chwilę razem. Chcę ci coś powiedzieć – rzucił Łukasz, ruszając w stronę drzwi.

Na jego twarzy zauważyłam malującą się ulgę – widać spędzanie czasu z matką i siostrą nie było jego ulubionym zajęciem.

– W kuchni jesteś mi potrzebny! – warknęła pani Genowefa, jednym krótkim zdaniem skutecznie uziemiając syna.

– Zostań, pomożesz tutaj. Naprawdę muszę dziś popracować – powiedziałam, Bóg jeden wie dlaczego szepcząc.

Matka Łukasza wciąż nie spuszczała ze mnie wzroku. Jego siedząca na solidnym dębowym stole siostra, żując gumę i machając nogami w powietrzu, uśmiechała się złośliwie, jakby czekała na dalszy rozwój wydarzeń. Pewnie miała nadzieję, że jeszcze mi się dostanie... A może oceniałam ją zbyt surowo? Ruszyłam w stronę drzwi, wyjąkawszy pod nosem podziękowania za bułkę, którą – tak na marginesie – prawie się udławiłam. Ciężko się je pod obstrzałem nieprzychylnych,

matczyno-siostrzanych spojrzeń.

Łukasz wybiegł za mną i dopadł mnie w połowie drogi do samochodu.

– Nie przejmuj się moją matką, na swój sposób cię lubi. Ostatnio przeczytała nawet jeden z twoich felietonów, wyobraź sobie – powiedział z dumą w głosie.

„Bo uwierzę” – skrzywiłam się, mając jednak na tyle zdrowego rozsądku, żeby zachować tę myśl dla siebie.

– To co? Do zobaczenia wieczorem? Odezwij się po południu, może wrócimy do domu razem – zaproponował mój facet i odgarnął mi z czoła niesforny kosmyk włosów.

Do domu... Z taką łatwością przeszło mu to przez gardło. „Nasz dom”, „moja dziewczyna”, „matka cię lubi”... Panikowałam, czy naprawdę robiło się zbyt poważnie? A może to tylko rzucane na wiatr wyświechtane zwroty? Może nawet Łukasz nie zdawał sobie sprawy z tego, jak to brzmi, a ja doszukiwałam się ukrytych znaczeń tam, gdzie ich nie było? Może dla niego „dom” był tylko czterema ścianami i dachem, „dziewczyną” każda jedna panna, z którą się do tej pory umawiał, a o sympatii swojej bazylijszkowatej matki przekonywał mnie z czystej lojalności pod adresem własnej rodziny?

Łukasz wysupłał z kieszeni miętowe gumy i podał mi jedną.

– Zadzwoń – obiecałam.

Wiedziałam, że z całą pewnością wolałby, żebym popracowała na tarasie Zielonego Łabędzia, jednak nie powiedział już nawet słowa. Wsunął sobie do ust gumę, pomachał mi na pożegnanie i w milczeniu czekając, aż odjadę, zabrał się za pisanie jakiegoś SMS-a. Kiedy wycofywałam moją toyotę z pustawego o tej porze parkingu, widziałam jeszcze, jak wchodzi na zaplecze lokalu i znika za ciężkimi drzwiami. Jadąc w stronę domku na wzgórzu, pomyślałam, że miło byłoby wyskoczyć razem nad wodę, szybko jednak wyleciało mi z głowy planowanie wspólnego weekendu – miałam trochę pracy i zerową ochotę na pisanie, co od pewnego czasu coraz bardziej mnie stresowało.

4.

Zanim zabrałam się za felieton, sprawdziłam moją skrzynkę mejlową i tak jak się spodziewałam, pośrodku spamu, reklam zachwalających rzekomo cudowne środki odchudzające i informacji o szybkich kredytach, znalazłam wiadomość od Emila. „Witaj, Sikoreczko!” – zaczęłam czytać, uśmiechając się pod nosem na widok nagłówka. Kiedyś Emil uparcie tak mnie nazywał, co za każdym razem doprowadzało mnie do szału...

Od: e-mil.beynar@wp.pl

Do: mirabelka457@wp.pl

Witaj, Sikoreczko!

Wybacz moje dłuższe milczenie, ale jak się pewnie domyśliłaś, po części byłem zabiegany, a po części zafascynowany nowym miejscem. Szpital, który zaoferował mi posadę, jest olbrzymi, mieszkania jeszcze nie znalazłem – póki co zatrzymałem się u dawnego znajomego, w Coral Way, w wolnym czasie szukam czegoś własnego. Nie żeby mi było jakoś szczególnie śpieszno do wyprowadzki... Mark, mój gospodarz, niedawno ożenił się z Kolumbijką – piękną dwudziestosiemioletką, która dodatkowo fantastycznie gotuje (na wspomnienie smażonego z pikantnym kurczakiem plantana, którym mnie powitała pierwszego dnia, do tej pory cieknie mi ślinka). Miami jest piękne, olbrzymie i... męczące. Wilgotność powietrza dosłownie mnie dobija, a o tym, że oficjalnie zaczął się sezon huraganowy, wolę raczej nie myśleć. Tak jak o krokodylach. Podobno co roku w samym obrębie miasta zdarza się kilka wypadków spowodowanych ich atakiem...

Co u Ciebie? Mam nadzieję, że na dobre zaaklimatyzowałaś się w letnim domku? Pamiętaj, żeby przed pierwszymi jesiennymi chłodami sprawdzić przewody kominowe! Wiesz, że do tej pory myślałem o tym ja. Pozdrawiam, trzymaj się ciepłutko! Odezwę się niebawem, o ile nie padnę od upału, krokodylich szczęk albo jakiegoś uzbrojonego bandyty...

Wczoraj w zakupionym na stacji benzynowej przewodniku po Florydzie przeczytałem niepokojące dane na temat ich przestępczości. Ale chyba będę musiał po prostu przestać o tym myśleć, zresztą trzeba być realistą – Miami to w końcu olbrzymie miasto... Okay, see ya! – jak mawiają moi amerykańscy koledzy – i do szybkiego. Czekam na wieści z „Emilówki” – nie wiem, czy jeszcze mogę tak nazywać dom, w którym nie zostało już nic z nas dwojga? Ale nie uderzajmy w patetyczne tony...

PS Widziałem dzisiaj w porcie te olbrzymie pasażerskie wycieczkowce i od razu sobie przypomniałem, że zawsze marzyłaś o rejsie na takim „molochu”. Wyglądają naprawdę imponująco – to chyba jednak nie to samo, co wycieczka maleńkim stateczkiem po Tamizie. Pamiętasz, prawda? Okay, rozpisałem się, a muszę lecieć.

Jeszcze raz pozdrawiam!

Emil

Przez chwilę zastanawiałam się, czy odpisać mu od razu, w końcu zdecydowałam, że zrobię to wieczorem i postanowiłam z powrotem jechać do centrum. „Jeśli już muszę pracować, posiedzę wśród ludzi” – pomyślałam po jakimś kwadransie, parkując w cieniu przed jednym z pubów. Parę minut później otwarłam arkusz Worda i zabrałam się za planowany artykuł. Miałam nadzieję napisać tego dnia przynajmniej półtorej strony, ale szło mi jak po grudzie.

Pracowałam do późnego popołudnia, siedząc na niewielkiej, ocienionej bluszczem werandzie pubu Toska. Kiedy kończyłam, ruch w lokalu był niewielki – przy stoliku obok dwóch otyłych Niemców w lnianych marynarkach szwargotało coś do siebie przy piwie; jakaś zakochana parka gruchała, jedząc szarlotkę ze wspólnego talerza, a siedzące przy samej ścianie młode, opalone dziewczyny chichotały, oglądając zdjęcia w telefonie jednej z nich. Na widok zakochanych coś ścisnęło mnie w gardle. Czy to możliwe, że wciąż czułam coś do Emila? Wyobraziłam go sobie w szpitalu – wciśniętego w szafirowoniebieski chirurgiczny uniform, ze zmęczonymi oczyma, szpakowatego i lekko zaokrąglonego. Ostatnimi czasy odpuścił sobie siłownię, co szybko zemściło się na jego sylwetce, zwłaszcza w

okolicach brzucha. Opędzając się od latającej wokół szklanki po moim soku natrętnej osy, przypomniałam sobie nasz ostatni wspólny weekend. Ugotował dla mnie leczo i zabrał mnie do wesołego miasteczka. Szaleliśmy na karuzelach, a kilka dni później... „Nieważne, muszę przestać myśleć o Emilu! W końcu to ja go zostawiłam, w dodatku jestem już z kimś innym” – pomyślałam, przypominając sobie, że obiecałam Łukaszowi telefon. Jakby czytając w moich myślach, minutę później to on do mnie zadzwonił.

– Cześć, moja piękna! Słuchaj, przepraszam, ale nie dam rady dzisiaj u ciebie spać. Coś mi nagle wypadło i muszę jechać aż do Fromborka. Dasz sobie radę sama?

Pomyślałam, że od samego początku było między nami właśnie tak – zazwyczaj to właśnie on, szczył młodszy ode mnie o dwanaście lat, opiekował się mną. Cóż, gdybym powiedziała, że mi się to nie podoba, skłamałabym. Zresztą z Emilem było dokładnie tak samo, jednak w naszym układzie wydawało mi się to bardziej naturalne – w końcu był ode mnie czternaście lat starszy...

– Trudno – westchnęłam. – Jedź ostrożnie, to kawał drogi.

– Co będziesz robić wieczorem? – zainteresował się, podnosząc głos.

W tle usłyszałam głośną popową muzykę i domyśliłam się, że dzwoni z Zielonego Łabędzia – o tej porze musieli tam mieć jako taki ruch – wielu letników stołowało się właśnie u nich, gardząc posiłkami proponowanymi przez wynajmujących im pokoje gospodarzy.

– Czy ja wiem? Trochę popiszę, trochę poczytam, napiję się wina – powiedziałam w miarę lekkim tonem, chociaż na myśl o samotnie spędzonej na odludziu nocy poczułam dziwny niepokój.

Łukasz chyba się spieszył. Zazwyczaj kiedy dzwonił, lubił ze mną pogadać przynajmniej kilka minut, teraz jednak wyraźnie dążył do zakończenia rozmowy.

– To co? Będę jutro. Zjemy razem późny obiad? Przyjedź do Łabędzia koło szesnastej, będę czekał. Zresztą jeszcze zadzwonię – obiecał.

– Przyjadę – powiedziałam.

– Super, to pa! – rzucił i zanim zdążyłam go zapytać, co tak właściwie mu wypadło, już się rozłączył.

Na myśl o zaproponowanym przez niego wspólnym obiedzie nawet się cieszyłam. Nie miałam jednak pojęcia, że danej mu obietnicy nie uda mi się dotrzymać...

5.

Koło osiemnastej tego samego dnia odpisałam Emilowi, zdając sobie sprawę, że odrobinę mu tej Florydy zazdrozczę... Przez chwilę posiedziałam jeszcze nad zamówionym sernikiem. W końcu wyszłam z Toski, zostawiłam laptop w bagażniku toyoty i skoczyłam po szybkie zakupy do niewielkich i pierońsko drogich delikatesów Pod Iglakiem. W sklepie było w miarę pusto. Pomędzy półkami przechadzała się jedynie czwórka młodych ludzi – trzech nastoletnich chłopaków i ubrana w połyskliwą minisukienkę, mocno wymalowana ruda dziewczyna w podobnym wieku. Z myślą o sosie pieczarkowym, na który od rana miałam ochotę, sięgnęłam po paczkę pełnoziarnistego makaronu, kiedy do delikatesów weszła wyjątkowo otyła kobieta koło trzydziestki. Ubrana w workowate błękitne spodnie i ciemną bluzkę z nadrukiem w motyle, w rękę miała płócienną torbę z marynarskimi motywami. Była wyraźnie zdyszana, a jej sięgające ramion cienkie włosy wyglądały na przetłuszczone. Buszujący pomiędzy regałami ze słodyczami młodzi klienci wymienili rozbawione spojrzenia i ostentacyjnie gapiąc się na nowo przybyłą, komentowali jej tuszę.

– Ja pierdole, ale locha! Ze sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi, jak nic!
– Ruda dziewczyna nawet nie zniżyła głosu.

Wmurowało mnie. Co za chamka!

– Zamknij się! – syknęłam w jej stronę.

Wykrzywiła twarz w brzydkim grymasie i pokazała mi środkowy palec. Zauważyłam, że ma przeciągnięte zielonym brokatem powieki i maleńkie, ciemnoczerwone znamię przy lewym skrzydełku nosa.

– Dobra, wrzućcie do koszyka kielbasę na grilla, zanim ta kupa salcesonu wyniesie pół sklepu – zarechotał jeden z chłopaków i wyjął z kieszeni komórkę. – Kurwa, jaka maciora! Strzelę parę fotek, bo inaczej nikt mi nie uwierzy! – dodał.

Spojrzałam w stronę nieszczęsnej grubaski. Spąsowiała na twarzy i odłożyła trzymany w rękę pusty koszyk.

– Nie no, czekaj. Nie mów, że już wychodzisz?! – Chłopak, który nazwał ją maciorą, ruszył w ślad za nią z komórką w ręku. – Czekaj, świniaku, pogadajmy!

Jego kumpel zaczął kwiczeć i chrumkać, co przyprawiło ich koleżankę o napad śmiechu. Otyła kobieta była już niemal przy drzwiach, kiedy milczący dotąd rudawy chłopak zaszedł jej drogę, tym samym pozbawiając ją jedynej możliwości ucieczki.

– Wychodzisz, złociutka? Ewakuujesz się? A żarcie? Tylko nie gadaj, że nie jesteś głodna. Pewnie solidnie burczy ci w brzuszysku, co? – rzucił, co wywołało kolejny gwałtowny atak śmiechu u rudej dziewczyny.

Spojrzałam na wąsatego właściciela sklepu, który z wbitym w jakiś skoroszyt wzrokiem udawał, że nie widzi, co się dzieje.

– Odsuń się! – szarpnęłam chłopaka za rękaw i na oścież otwarłam drzwi.

Otyła kobieta z płaczem wyszła na zewnątrz i w wyraźnym pośpiechu ruszyła przez zalany słońcem parking przed sklepem.

– O, kurwa, ale jazda! Dupa jej się trzęsie jak galareta! – wrzasnął w ślad za nią jeden z tych durnych szczyli, a jego kumpel, wciąż filmując komórką, zaniósł się śmiechem.

– Dobrze się bawicie, gnojki?! – zapytałam ostro.

W odpowiedzi usłyszałam „spierdalaj”, po czym ten, który trzymał w ręku telefon, splunął mi pod nogi, a ruda w świecącej kiece ponownie wystawiła środkowy palec. Miałam ochotę wyrwać chłopakowi komórkę, jednak zdołałam się opanować. Wdawanie się w bijatykę z lokalnymi gnojkami mogło się dla mnie skończyć naprawdę nieciekawie.

Wyszli. Zakupów nie zrobili. Po prostu porzucili pełne słodczy koszyki tuż przy wyjściu i, rechocząc, przeszli przez drzwi. Śledziłam ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli mi z oczu, w duchu mając nadzieję, że nie ruszą w ślad za tą nieszczęsną kobietą, żeby dalej się nad nią znęcać... Podeszłam do kasy.

– Nadal będzie pan udawał, że nie widzi, co się dzieje?! – krzyknęłam na właściciela. – Napluli panu na podłogę, tak na marginesie.

– Widzę, ślepy nie jestem. Tylko co niby mam zrobić? To dobrzy klienci, dzieciaki najbliższych sąsiadów. Za to tej pani nie znam, pewnie jakaś letniczka. – Mężczyzna bezdusznie wzruszył ramionami i jak gdyby nigdy nic wrócił do przeglądania skoroszytu.

Miałam ochotę odstawić koszyk i w geście solidaryzowania się z prostacko potraktowaną klientką zbojkotować zakupy, jednak moja lodówka świeciła pustkami, a delikatesy Pod Iglakiem były najlepiej zaopatrzonym sklepem pośrodku całego tego zalesionego zadupia. Schowałam więc dumę do kieszeni i ruszyłam w stronę regałów ze słodyczami. Sięgając po czekoladę, ze współczuciem pomyślałam o nieszczęsnej grubasce, jednak już po chwili cały ten incydent wyleciał mi z głowy. Miałam w końcu własne problemy i własne zmartwienia.

Kilka minut później, bogatsza o puszkę przecieru pomidorowego, tuńczyka, makaronowe „gniazda”, mleczną czekoladę z orzechami i kawałek żółtego sera, ruszyłam w stronę kasy. Wciąż uparcie wertując sfatygowany skoroszyt, właściciel przez dłuższą chwilę udawał, że mnie nie widzi. W końcu chrząknął i łaskawie, za to bez zbędnego słowa, zabrał się za podliczanie moich sprawunków. Czekaając, aż gość się wyguzdrze, zastanawiałam się, co tak naprawdę znaczył nagły wyjazd Łukasza do Fromborka. Chowając zakupy do bagażnika, pomyślałam, że to takie łądzące – sypiamy w jednym łóżku, pijemy wspólną poranną kawę i wspólnie pichcimy obiady, jednak tak naprawdę niczego o nim nie wiem. A może przesadzam, może jak zawsze wyolbrzymiam? To, co wiem, na pewno jest przecież najważniejsze – Łukasz jest dobrym człowiekiem, co do tego od samego początku nie miałam nawet cienia wątpliwości.

Wyjechałam z przeznaczonego dla klientów sklepu parkingu i zawróciłam w stronę domu. Szosa była prawie pusta – z przeciwka minęły mnie dwie półciężarówki, a zjeżdżając w prawo, na węższą, prowadzącą przez las drogę, wyprzedziłam czterech poruszających się jeden za drugim rowerzystów. Zwolniłam, dobrze wiedząc, czym może się skończyć spotkanie z sarną, i zmrużyłam oczy, wpatrując się w odległe pobocze, po którym w oddali poruszała się jakaś biała, chwiejna plama. Chwilę później zobaczyłam ją wyraźniej – kobieta, chyba młoda, szła samym skrajem leśnej drogi, zataczając się, jakby

była pijana lub... ranna. Była przeraźliwie szczupła, niemal wychudzona, a rozpuszczone długie włosy opadały jej na twarz kasztanowymi falami. Podjechałam bliżej, zatrzymując się na poboczu. Dziewczyna nie zwracała uwagi na mój samochód, zupełnie jakby nie docierały do niej żadne pochodzące z zewnętrznego świata bodźce. Wybiegłam na jezdnię, starając się jej nie wystraszyć. Stałyśmy teraz obok siebie – ona w narzuconej na pistacjowozielony, koronkowy, bieliźniany komplecik poszarpanej koszuli; ja zszokowana jej szklistym, pustym wzrokiem, zadrapaniami na przedramionach i potarganymi włosami, z których sterczało coś wyglądającego na drobne, połamane gałązki. Jakby zastała ją w lesie wczorajsza nocna wichura...

Zrobiłam dwa kroki w jej stronę. Serce szaleńczo tłukło mi się o żebra, w ustach zaschło ze zdenerwowania.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytałam, wyciągając do niej rękę.

„Idiotyczne pytanie”. – Skrzywiłam się chwilę później. Jasne, że potrzebowała...

Minęła mnie, lekko zbaczając z obranego przez siebie, uparcie kontynuowanego kursu, i szurając nogami, szła dalej. Przeszło mi przez myśl, że to jakiś żart. Kolejna debilna zabawa znudzonych nastolatków, idiotyczne poczucie humoru spędzających wakacje w letniej głuszy szczeniaków. „Jej kumple kręcą pewnie całą tę scenę gdzieś z krzaków, zrywając boki ze śmiechu na myśl, że jeszcze tego samego wieczoru wrzucą filmik ze mną w roli głównej na YouTube” – pomyślałam, obracając się w ślad za nią. Potknęła się, prawie upadając. Otwarłam drzwiczki od strony pasażera, prosząc, żeby wsiadła. Zero reakcji.

– Posłuchaj, chcę tylko ci pomóc – przekonywałam ją, usiłując sobie przypomnieć, gdzie posiałam moją komórkę.

Zresztą jakie to miało znaczenie? Pośrodku tych lasów nieczęsto udawało mi się złapać zasięg...

Dziewczyna szła dalej – jej dziwnie usztywnione ruchy sprawiły, że wyglądała jak zombie. Nagle pomyślałam, że ktoś musiał ją zgwałcić. Jak inaczej wytłumaczyć jej niekompletny strój, obłęd w oczach i zaszklone, jakby martwe spojrzenie? Chwyciłam ją za ramiona,

niemal siłą sadzając w samochodzie. Nie zaprotestowała – bezwolna niczym szmaciana lalka, chociaż z jej spierzchniętych ust wydobył się cichy, ledwo słyszalny skrzek. Przypomniałam sobie porzuconą na tylnym siedzeniu butelkę z wodą i trzęsącymi się rękoma podałam jej mineralną. Przecząco pokiwała głową, odwracając się, jak bezskutecznie namawiany do zjedzenia kalafiorowej zupy pięciolatek.

We wstecznym lusterku zauważyłam wyjeżdżających z za zakrętu rowerzystów, których wyminęłam parę minut wcześniej, i przez chwilę miałam ochotę poprosić ich o pomoc, jednak szybko zrezygnowałam z takiej opcji. Czterech nieznanym mężczyznom i wystraszoną, zszokowaną dziewczyną? Zdecydowałam, że to nie był przepis na rozwiązanie tej akurat sytuacji.

– Spokojnie, już dobrze – szepnęłam.

Wzdrygnęła się i wbiła wzrok w swoje poharatane dłonie. Drżącymi rękoma zapięłam jej pasy.

– Zawiozę cię do szpitala – powiedziałam.

Nie zareagowała. W ciężkim milczeniu wpatrywała się w przednią szybę, tylko jej palce były w ciągłym ruchu – przebierała nimi, drapiąc się po udach. Zauważyłam, że za pomalowanymi na biało paznokciami ma zakrzepłą krew.

Zawróciłam na wąskiej drodze, z powrotem ruszając w stronę miasteczka. Rowerzyści minęli mnie teraz z naprzeciwka – jeden z nich, opalony, siwy facet koło pięćdziesiątki, rzucił przelotne spojrzenie w stronę mojej toyoty, jednak najwyraźniej nie zwrócił uwagi na moją pasażerkę, bo spokojnie pojechał dalej. Wrzucając dwójkę, zastanawiałam się, dokąd jadą. Nad jedno z pobliskich jezior? Porobić zdjęcia przy ruinach niewielkiego zamku? A może w stronę lasu, w którym ciągnęły się kilometry ponurych poniemieckich bunkrów – ulubione miejsce spotkań lokalnej chuliganerii? Dzieciaki umawiały się tam nawet nocami, urządając sobie imprezy w labiryntach wilgotnych betonowych korytarzy. Emil chciał mnie tam kiedyś zabrać, jednak na myśl o rezydujących tam podobno nietoperzach zdecydowanie odmówiłam.

Przyspieszyłam. Droga była marna, pełna kolein i dziur, chciałam jednak jak najszybciej oddać nastolatkę pod opiekę lekarzy.

Dziewczyna cicho jęknęła, wciąż wpatrując się w przednią szybę. Pomyślałam o zaginionej córce letników z Warszawy, mając nadzieję, że właśnie ją znalazłam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić szoku rodziców w tak przerażający sposób tracących z oczu nastoletnią córkę. „Szpital czy komisariat?” – zastanawiałam się, wyjeżdżając na szerszą, prowadzącą do centrum miasteczka szosę. Nowy, imponująco zadbane budynek szpitala był znacznie dalej, jednak tam dziewczyna od razu otrzyma pomoc. Policja mogłaby wyciągnąć z niej zeznania dotyczące jej ostatnich przeżyć, ale czy w tym stanie zdoła cokolwiek powiedzieć bandzie zadających jej pytania facetów w mundurach? Szczerze w to wątpiłam... Wrzuciłam trójkę, kierując się w stronę szpitala. Byłam tam kiedyś z Emilem – rozciął sobie dłoń, bawiąc się w złotą rączkę, i świetnie pamiętałam, którądy powinnam jechać.

– Już niedaleko – powiedziałam cicho.

Dziewczyna nerwowo drgnęła, jednak wciąż uparcie milczała. Oderwałam oczy od drogi, przyglądając jej się uważniej. Zauważyłam brzydkie zasinienie na twarzy, opuchnięty policzek i zakrzepłą krew w jej długich kasztanowych włosach. Pomyślałam o Emilu. Tak bardzo by mi się teraz przydał...

6.

Jakieś pięć minut później podjechałam pod piętrowy, otynkowany na jasny beż budynek, parkując w niedozwolonym miejscu, na podjeździe dla karetek. Dwaj pałacy na zewnątrz młodzi mężczyźni posłali mi zdziwione spojrzenia, w końcu jeden z nich zajrzał do samochodu, odruchowo cofając się na widok pokiereszowanej twarzy dziewczyny.

„Pewnie jakiś nieopierzony student medycyny” – pomyślałam, wysiadając.

– Znalazłam ją na poboczu, jakiś kilometr za zjazdem na Lisie Wzgórze – powiedziałam, przypominając sobie rzadko przez nas używaną nazwę terenu, na którym stała „Emilówka”.

Powiedzieli, że się nią zajmą. Patrzyłam, jak delikatnie, chociaż bezskutecznie usiłują ją namówić, żeby wysiadła. W końcu kazałam im się odsunąć i podałam jej rękę. Intuicyjnie czułam, że w tym akurat momencie obecność kobiety jest dla niej lepsza. Wysiadła ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w brukowany podjazd i kurczowo zaciśniętymi na materiale białej koszuli palcami. Jeden z młodych mężczyzn przyprowadził szpitalny wózek i ostrożnie pomógł jej w nim usiąść.

– Proszę zostawić swoje dane policji – poprosił mnie ten drugi. – Chyba że może pani tu poczekać? Zaraz ich zawiadomimy.

Powiedziałam, że się spieszę. Podałam mu jednak moje nazwisko i numer komórki.

– Z tym że na górze zazwyczaj nie ma zasięgu...

– Jak w całej tej przeklętej okolicy. – Chłopak pokiwał głową, wpisując w pamięć swojego telefonu mój numer.

– Proszę im powiedzieć, że mieszkam na Lisim Wzgórzu. Ostatni dom, na samej górze, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od chaty Maćków.

– Jasne, dzięki – mruknął.

Ruszyłam w stronę toyoty, kiedy ją usłyszałam. Najpierw cichutko

zaskowyczała, co zabrzmiało jakoś przeraźliwie zwierzęco. W końcu zaczęła wyć, a pełen porażającej rozpaczycy głos, który z siebie wydobywała, był najstraszniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek dotarł do moich uszu. Nie oglądając się za siebie, dopadłam samochodu, zamykając się w środku.

Drogę na Lisie Wzgórze pokonałam w rekordowym tempie, prując przez las prawie osiemdziesiątką, niepomna na możliwe spotkanie z wyskakującą przed maskę zdezorientowaną sarną. Przejeżdżając obok drewnianej chatki Maćków, zwolniłam, trąbiąc. Aneta – będąca w ósmym miesiącu żona Macieja – wyszła przed dom i osłaniając oczy przed blaskiem zachodzącego słońca, radośnie mi pomachała. Wyłączyłam silnik i wysiadłam, ruszając w jej stronę zwirowaną ścieżką. Chciałam zapytać, jak się miewa, czy czegoś nie potrzebuje – wiedziałam, że Maciek na parę dni wyjechał. Zwykły sąsiedzki gest, chociaż może i było w tym coś więcej? Może po tym, co zobaczyłam na szosie, potrzebowałam po prostu kontaktu z drugim, życzliwym mi człowiekiem?

– Jak się czujesz? – zapytałam, kiedy wyszła przed pomalowaną na zielono furtkę z fantazyjnie wyciętymi w drewnie serduszkami.

– Chciałabym w końcu móc zobaczyć własne stopy. – Uśmiechnęła się. – Jeszcze kilka tygodni... Termin mam na dwudziestego siódmego lipca. Jeśli młoda zbyt szybko się nie pospieszy, urodzi się zodiakalna Lwica, jak ty.

– Ciocia Natalia będzie szczególnie dumna – zapewniłam ją.

– Fajnie, że zajrzałaś. Cały dzień siedzę tu sama, Maciek ciągle w rozjazdach... Niby powinnam być przyzwyczajona, ale jakoś mi smutno – westchnęła.

Uśmiechnęłam się i spontanicznie ją przytuliłam.

– Dobra, wystarczy tych czułości, bo zaraz się tu rozkleję. – Roześmiała się i zapytała, co u mnie.

Powiedziałam, że właściwie nic nowego i zaproponowałam, że mogę jej zrobić jakieś większe zakupy. Odmówiła.

– Pod tym względem Maciej o mnie dba. Dzięki, mamy wszystko.

Wciąż stojąc przy niskim płocie, przez dłuższą chwilę wymienialiśmy jakieś banalne uwagi o okolicy. Że w delikatesach

Pod Iglakiem coraz drożej, a nad jeziorem coraz większy tłok. Że letnicy piją i hałasują nocami, zapuszczając się czasem nawet na Lisie Wzgórze. Że pogoda męcząca, a końca upałów nie widać... Paplałyśmy jak najęte, aż w końcu Aneta powiedziała, że ma ochotę na sok, i zniknęła we wnętrzu niewielkiego drewnianego domku. Pomyślałam, że cholernie miło mieć taką sąsiadkę. Zeszłego lata bardzo się zżyłyśmy – jeśli tylko w weekend dopisywała pogoda, Emil robił u nas grilla i bywało, że biesiadowaliśmy nawet do świtu. Od dawna traktowałam ją jak bliską przyjaciółkę i miałam nadzieję, że ona myślała o mnie to samo.

– Wchodź! Nie będziemy przecież sterczeć przed domem! – Aneta pomachała do mnie, zjawiając się na ganku.

Z wielkomijskiego przyzwyczajenia wróciłam się, żeby zamknąć samochód, co przyjaciółka skwitowała złośliwym uśmiechem, i weszłam do zadbanego ogrodu. Usiadłyśmy przed domem, na zadaszonym, pełnym kolorowych donic z kwiatami ganku. Drewniana ława i ciężki, olbrzymi stół wyszły spod ręki tego samego mistrza stolarskiego, który zajmował się „Emilówką”.

Zapytałam o Zuzię – ich pięcioletnią córeczkę.

– Moi rodzice wzięli ją do siebie na kilka dni. Ja sobie odpocznę, ona nacieszy się obecnością dziadków. Zawsze lubiła tam jeździć, a odkąd mój tato przygarnął pocieszniejszego kundla znajdę, młoda stale nas męczy, żebyśmy zawieźli ją do dziadków – powiedziała Aneta.

– Jesteś pewna, że możesz dziś zostać sama? Na tym odludziu, bez zasięgu...

– Mieszkam w okolicy od urodzenia, pamiętasz? – Uśmiechnęła się, poprawiając proste, jasne włosy. – Nie to co ty, strachliwa panno z miasta. Myszy jakiejś ostatnio nie widziałaś? – zażartowała, najpewniej pijąc do sytuacji, kiedy rok wcześniej z opętańczym krzykiem wybiegłam przed dom, spanikowana widokiem maleńkiego gryzonia. Cóż, w moim rodzinnym mieście takie „atrakcje” raczej mi się nie przytrafiały.

– Maciek wraca jutro wieczorem, dzisiaj ma do mnie wpaść siostra. Czuję się dobrze, do terminu porodu jeszcze trochę.

– Mogę do ciebie zajrzeć koło północy, jeśli chcesz. Podjadę,

zatrąbię, chwilę posiedzę w aucie. Gdybyś czegoś potrzebowała, to do mnie wyjdź.

– O północy będę pewnie spać. – Roześmiała się. – Nie panikuj, mieszczo. Nie w takich sytuacjach sobie radziłam.

Wypiłam sok i nie pogardziłam ciastem. Rozmawialiśmy jeszcze jakiś kwadrans, w końcu Aneta powiedziała, że chyba się położy.

– Przepraszam cię, ale od rana strasznie boli mnie krzyż. Ledwo chodzę, prawdę mówiąc. – Skrzywiła się.

– Może to coś poważnego? – zaniepokoiłam się.

– Owszem, ciąża. Z Zuzią miałam podobnie.

– To leceć. Dziękuję za ciasto. Gdybyś czegoś potrzebowała...

– Wiem, wiem. – Uśmiechnęła się, całując mnie w policzek. – Dzięki, kochana jesteś.

Wstałam i objęłam ją na pożegnanie. Jej mocno zaokrąglony brzusek w zestawieniu ze szczupłą, dziewczęcą sylwetką wyglądał wyjątkowo rozczulająco. Różowo-turkusowa tunika, którą na sobie miała, opinała się na nim szczelnie, czarne getry podkreślały zgrabne nogi. Przypomniałam sobie opowieść Maćka, chwającego się, że Aneta tańczyła kiedyś w ludowym zespole. Nic dziwnego, że wciąż zachowuje idealną figurę, podobno nawet w ciąży ćwiczy jogę. Pozazdrościć. Uśmiechnęłam się, przypominając sobie moją poranną przebieżkę – po kilkuset metrach prawie wlokłam płuca po ziemi...

– Okay, to ja jadę – powiedziałam, zerkając w stronę znikającego gdzieś za drzewami słońca.

Na myśl o dotarciu do domu po zmroku, poczułam narastający niepokój. Nie po ostatniej nocy, nie po tym dziwnym porannym znalezisku na polanie i nie po spotkaniu z tamtą poharataną dziewczyną... Przypomniał mi się jej zwierzęcy skowyt i ramiona pokryła mi gęsia skórka.

– Dobrej nocy! – Aneta pomachała mi, zamykając za sobą niską drewnianą furtkę.

Pomyślałam, że zazdroszczę jej nawet tego marnego ogrodzenia, które chociażby tylko symbolicznie, ale jednak stanowiło jakąś granicę. Wokół mojego domu mógł się przespacerować każdy, komu tylko chciałoby się wybrać na daleką nocną przechadzkę pod stromą,

zalesioną górę.

„Emilówka” wyglądała spokojnie. Przez dłuższą chwilę siedziałam w samochodzie, mobilizując się do wyjścia na podjazd, w końcu wyjęłam z torebki klucze i kilkoma susami dopadłam werandy, zatraskując się w środku. Dwa zamki Gerdy, solidna zasuwka – zamknęłam się na cztery spusty, z trudem opanowując chęć zastawienia frontowych drzwi stojącą w korytarzu ciężką drewnianą skrzynią. „Czy ja tracę rozum?” – skrzywiłam się, wchodząc do salonu. Wewnątrz panował zaduch, bałam się jednak otworzyć na oścież okna we wszystkich pokojach. Zupełnie jakbym się obawiała, że pod moją nieobecność ktoś lub coś wlezie do środka. „Dziecinada przybierająca powoli formę jakiejś chorej obsesji” – pomyślałam, zdając sobie sprawę, że od zeszłej nocy wciąż czuję się nieswojo. Zapalając światło w kuchni, zerknęłam w stronę okna, jednak odbijające się od szyby pomieszczenie sprawiało, że nie widziałam niczego, co działo się na zewnątrz. Włączyłam czajnik, przypominając sobie, że zostawiłam w bagażniku laptop i zakupy. Co do tego pierwszego – nic nie traciłam – na Lisim Wzgórzu i tak nie mieliśmy Internetu. Zakupy też nie stanowiły problemu – nie licząc żółtego sera, nie kupiłam niczego wymagającego przenocowania w lodówce. Ekspedycji ratunkowej po ser nie zamierzałam podejmować – na samą myśl o wyjściu z domu miałam ciarki.

Wyjęłam z szafki garnuszek, zastanawiając się, gdzie posiałam puszkę z waniliową herbatą, kiedy za oknem przemknął jakiś cień. Chwilę później ktoś zapukał w szybę. Cicho krzyknęłam, zasłaniając usta dłonią i rzuciłam się w stronę stołu, na którym leżał długi, ząbkowany nóż – kolejna pamiątka po Emilu, który uwielbiał kroić nim filety. Woda w czajniku zagotowała się w momencie, w którym usłyszałam ponowne pukanie. Tym razem nieproszony intruz dobijał się do frontowych drzwi... Kurczowo zacisnęłam palce na trzonku noża, na miękkich nogach ruszając w stronę korytarza. Nie miałam w miasteczku wielu znajomych. Kiedy byłam z Emilem, przyjaźniliśmy się tylko z „Maćkami”, obecnie krąg moich przyjaciół poszerzył się jedynie o Łukasza. Nagle pomyślałam o Anecie. Zaczęła rodzić? Żle się czuje? Chce pogadać przy kawałku ciasta i herbacie? „Tak, to musi

być Aneta – pocieszyłam się, otwierając pierwszy z zamków. – Kto inny dobijałby się do mnie po zmroku?”.

Otwarłam drzwi, wpuszczając do środka duszny powiew letniego wieczoru. Stojącego na werandzie postawnego mężczyznę z całą pewnością widziałam pierwszy raz w życiu i chociaż zdążyłam się już trochę uspokoić, fala przerażenia ponownie odebrała mi oddech. W odruchu nagłej paniki chciałam zatrzaskać się w środku, ale był szybszy – wsunął stopę pomiędzy drzwi a framugę i mierząc mnie uważnym spojrzeniem małych, ciemnych oczu, bezczelnie wprosił się do domku.

7.

Spokojnie – powiedział nieproszony gość, wchodząc do środka. – Policja, podkomisarz Jerzy Walczak – przedstawił się. – Przepraszam, że tak późno, jestem już po służbie. Zapukałem w okno, widząc palące się światło, ale chyba śmiertelnie panią wystraszyłem? Myślałem, że słyszała pani mój samochód?

Roześmiałam się, czując, jak opada ze mnie napięcie.

– Kiedy pan podjechał, miałam włączony czajnik. Czasem żartowaliśmy sobie z przyjacielem, że jest głośny niczym startujący samolot – powiedziałam. – Proszę, niech pan wejdzie – dodałam, kładąc trzymany w ręku nóż na niewielkiej drewnianej skrzyni.

Policjant niczego nie skomentował – albo nie zauważył, co jeszcze przed chwilą dzierżyłam w dłoni, albo uznał to za nieistotne. Zresztą może w jego zawodzie samotna kobieta z nożem w ręku nie stanowiła aż tak osobliwego widoku? Może po prostu uznał, że czuję się niepewnie na takim odludziu?

Poprowadziłam gościa do salonu. Usiedliśmy na sofie, naprzeciwko wygasłego kamiennego kominka. Zupełnie niespodziewanie przypomniałam sobie, jak często kochaliśmy się z Emilem tuż przy płomieniach i zachciało mi się płakać.

– Ładnie tutaj. Będąc na szkoleniu w Szwecji, mieszkałem w podobnym miejscu. Mnóstwo drewna, kamienne palenisko... Pewnie nie może się pani doczekać chłodnych jesiennych wieczorów – rzucił Walczak tonem, w którym zabrzmiała nutka zazdrości. – Swego czasu słyszałem, że ten dom w surowym stanie jest na sprzedaż. Miałem nawet na niego chrapkę, jednak zbyt długo się wahałem. No i zanim zebrałem wystarczające fundusze, sprawa była nieaktualna.

– Przykro mi – powiedziałam nie do końca szczerze. W końcu gdyby to on nas uprzedził, domek nigdy nie stałby się „Emilówką”...

– Niepotrzebnie – zapewnił mnie mój gość. – Rok temu kupiłem coś w miasteczku obok. Z widokiem na jezioro, po całkiem rozsądnej cenie. Właściciel miał potężne długi, więc brzydko skorzystałem z

okazji.

– Zdarza się – mruknęłam. – Napije się pan czegoś?

Podziękował, wspominając coś o wypitej niedawno herbacie, wygodnie usadowił się na sofie i splótł ręce na brzuchu. Pomyślałam, że gość odrobinę przypomina mi mojego chrzestnego ojca, wujka Błażeja, i poczułam się nieco rażniej.

– Pan w sprawie tej rannej dziewczyny? – zapytałam.

– Owszem – przyznał, wbijając we mnie czujne spojrzenie doświadczonego śledczego.

Zrobiło mi się gorąco. Nie miałam na sumieniu niczego złego, jednak przyszpilona jego wzrokiem czułam się niczym pospolity bandzior podczas żmudnego przesłuchania. Walczak wciąż mi się przyglądał, bawiąc się swoją złotą obrączką. Przekreślał ją na serdelkowatym palcu, nie spuszczając mnie z oczu, i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie jestem o coś podejrzana. Wiem – niedorzeczne, ale jednak...

– Co z tą dziewczyną? Rozmawiał pan już z jej lekarzem?

– Jest pod dobrą opieką – rzucił, dość wymijająco odpowiadając na moje pytanie.

Tyle to wiedziałam sama...

– Proszę postarać się odtworzyć w pamięci każdy szczegół tamtego spotkania na szosie. Często nawet najdrobniejsze detale mogą się okazać istotne – poprosił.

Teraz, kiedy siedzieliśmy w pełnym świetle, zdałam sobie sprawę, że musiał być starszy, niż myślałam – z całą pewnością miał na karku pięćdziesiątkę, chociaż trzymał się nieźle. Płaski brzuch, w gęstych włosach nawet śladu siwizny. Tylko oczy miał zmęczone. Łzawiły i były przekrwione – smutne oczy człowieka, który widział już na tym świecie zbyt wiele okropieństw...

Chrząknęłam, bezsilnie wyłamując palce, do czego uciekałam się w chwilach skrajnego zdenerwowania. Gliniarz obserwował mnie, zapewne analizując mowę mojego ciała. Spociłam się, chociaż w pokoju nie było jakoś szczególnie duszno, i marzyłam już tylko o tym, żeby nieproszony gość wstał i wyniósł się z mojego salonu.

– Więc jak było? – ponaglił mnie.

– W zasadzie raczej nie bardzo panu pomogę – zaczęłam niepewnie.
– Czasem tak się tylko wydaje. Każdy szczegół, który mi pani przybliży, może być pomocny – zachęcił mnie, prawie ojcowskim tonem.

Zauważyłam, że jego podniszczone zamszowe buty były mocno ubłocone. Dziwnie mnie to zdenerwowało – siedzący obok mnie śledczy skojarzył mi się z przedzierającym się przez jakieś chaszczce, czającym się pod dziewczęcymi oknami podglądaczem. Nagle poraziła mnie myśl, która pewnie zakrawała już na paranoję, jednak była mocno niepokojąca: „Co jeśli właśnie ucinam sobie pogawędkę ze sprawcą?”. Gdyby się tak zastanowić, gość nawet nie wyglądał na gliniarza. Był w cywilnych ciuchach i zjawiał się na Lisim Wzgórzu tak po prostu, w dodatku już po zmroku... „Co jeśli to jakaś pokretna, chora gra maniaka, zabawa w kotka i myszkę z kobietą zamierzającą samotnie spędzić noc na odludziu?” – przeraziłam się w duchu.

Walczak szeroko ziewnął i podrapał się po głowie. Wciąż czekał na moją odpowiedź i zaczynał już tracić cierpliwość – bębniąc palcami o skraj sofy, wyglądał na solidnie poirytowanego.

Wstałam.

– Przepraszam, czy mógłby pan pokazać mi jakąś legitymację? – zapytałam, instynktownie cofając się o krok w tył.

Uśmiechnął się pod nosem i sięgnął do wewnętrznej kieszeni lekko wyświechtanej marynarki.

– Proszę bardzo – powiedział z błakającym się w kąciku ust, ledwie zauważalnym uśmieszkiem.

Spodziewałam się, że pomacha mi odznaką przed nosem, dokładnie jak na każdym amerykańskim filmie robią to tamtejsi gliniarze, on jednak podał mi swoją „blachę” do ręki, cierpliwie czekając, aż ją sobie obejrzę.

– Widzę, że czuje się pani nieswojo. W każdej chwili możemy pojechać na komisariat – zapewnił mnie, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

Pomyślałam o jego samochodzie. Miałabym jechać z tym obcym facetem zalesioną, ciemną drogą? Wolne żarty. Przecząco pokiwałam głową, pospiesznie przedstawiając mu swoją wersję wydarzeń. Podałam wszystkie zapamiętane szczegóły, opisałam mu czterech

rowerzystów, w tym tego siwego, który przelotnie spojrzął na mój samochód, i dodałam, że w każdej chwili jestem do dyspozycji policji, mając nadzieję, że gość w końcu się wyniesie. Nie żebym była niegościnna, jednak cała ta sytuacja kosztowała mnie sporo nerwów. A może zwyczajnie byłam paranoiczką?

Kiedy wyszedł, jeszcze raz odprawiłam rytuał zamykania drzwi na cztery spusty i obesłam cały dom, sprawdzając okna. W końcu zjadłam znaleziony w lodówce przeterminowany o dwa dni jogurt i z kupioną jeszcze przez Emila książką w ręku weszłam do łóżka. W pokoju było duszno, jednak na myśl o otwarciu okna dostawałam gęsiej skórki.

„Cholerny Łukasz i ta jego nagła wyprawa! Co, do diabła, robił we Fromborku?!” – pomyślałam, nagle dziwnie wściekła na młodego przyjaciela.

Obudziłam się z migreną – „zmięta” i zmęczona po nieprzespanej, pełnej dziwnych majaków nocy. Do bladego świtu niemal nie zmrużyłam oka, a kiedy już na moment udawało mi się zapaść w płytki, pełen koszmarów sen, budziłam się zlaną potem, przerażona, z uciskiem w klatce piersiowej i wyschniętym gardłem. Niewiele pamiętałam z tego, co mi się we śnie roilo, jednego byłam jednak pewna – śniły mi się ręce. Ciężkie, nachalne, błędzące po moim ciele dziesiątki rąk. Dłonie jak bochny i te szczuplejsze, jak u pianisty – z długimi, arystokratycznymi palcami. Dłonie wgniatające mnie w materac, wślizgujące się pod nocną koszulę, lodowato zimne i natrętne. Pieściły, drażniły i muskały każdy fragment mojego ciała, w ich dotyku nie było jednak nic erotycznego. Pamiętam, że obudziłam się z krzykiem, mając nieprzyjemne wrażenie, że z samego kąta pograżonej w aksamitnych ciemnościach sypialni ktoś mi się przygląda. I chociaż mówiłam sobie, że to kolejna bzdurna produkcja mojego spanikowanego mózgu, długo nie mogłam się uspokoić. W spokojniejszy sen zapadłam dopiero, kiedy pierwsze promienie porannego słońca przegoniły mroczne wizje, a wszystkie nocne strachy pierzchły przestraszone jasnością letniego świtu, niczym wietrzące nadchodzący dzień wampiry.

Pół godziny później, po zimnym prysznicu i porannym telefonie od

Łukasza, byłam już w o wiele lepszym nastroju. Szukając w lodówce mleczka do kawy, zastanawiałam się, co o takim śnie powiedzieliby zwolennicy freudowskich teorii i prawie doprowadziło mnie to do chichotu. Hmm...

8.

Łukasz pojawił się na Lisim Wzgórzu, kiedy pochłonięta własnymi myślami pisałam, bezdusznie waląc w klawisze mojego wysłużonego laptopa. Pracowałam na werandzie, która o tej porze była zacieniona. Na widok wjeżdżającego na podjazd kombi Łukasza wstałam i mrużąc oczy od słońca, ruszyłam w jego stronę. Zaparkował obok mojej toyoty i z naburmuszoną miną podał mi siatkę z logo delikatesów Pod Iglakiem.

– Trzymaj, zrobiłem szybkie zakupy. Co się dzieje? Miałaś pojawić się w Łabędziu. Umawialiśmy się przecież na późny obiad – zaczął od wyrzutu.

– Cześć, też miło cię widzieć – rzuciłam z przekąsem. – Właśnie zamierzałam się zbierać – dodałam, wyłączając laptop.

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie.

– Miałaś być koło szesnastej! Dochodzi dziewiętnasta! – burknął, siadając na krześle obok mnie. – Cześć, tak na marginesie. Ładnie wyglądasz – dodał łagodniejszym tonem.

Spojrzałam na mój przegub, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że sprezentowany mi kiedyś przez Emila, wysadzany sztucznymi diamentami zegarek został przecież w kuchni...

– Natalia, słyszałaś, co mówiłem? Czemu nie przyjechałaś do Łabędzia? Zrobiłem dla nas risotto, przygotowałem stolik na tarasie.

– Przepraszam, mówiłam ci, że właśnie miałam się zbierać! – broniłam się.

– Miałaś być o szesnastej! – zapienił się, wyraźnie poirytowany.

Pomyślałam, że gdy jest taki wściekły, wygląda jak krnąbrny dzieciak w starciu z upierdliwymi rodzicami, i zachciało mi się śmiać.

– Bawi cię to? – nadąsał się. – Zresztą nieważne. Po prostu odgrzeję nam to risotto, chociaż pewnie będzie paskudnie smakować! – dodał z przekąsem.

Weszłam za nim do kuchni. Wyjął z szafki dwa płytkie talerze i zabrał się za wyjmowanie risotta z olbrzymiego słoja, w którym je

przywiózł.

– Gdybyś mogła skoczyć do mojego samochodu... Przywiozłem czerwone wino – mruknął, wydłubując widelcem resztki ryżu z kurczakiem.

Wyszłam przed dom i zerknęłam w stronę pobliskiego lasu. Słońce dawno zniknęło za koronami wysokich sosen i prawie całą polanę zalał już wieczorny cień. Rozejrzałam się dookoła, omiatając ogród zdumionym spojrzeniem. Jak to się stało, że minęła dziewiętnasta, skoro zasiadłam do pisania koło trzynastej? W dodatku udało mi się spędzić tylko półtorej strony, więc jak to możliwe, że spędziłam przed laptopem sześć bitych godzin, bez przerwy na herbatę, spacer czy głupie siku? Lubiłam pisać i zdarzało mi się stracić łączność z całym światem, jednak nie na tak długo! Co się więc stało, że „zgubiłam” kilka godzin? Zasnęłam? Niemożliwe – pamiętałabym przecież przebudzenie. Kompletnie oszalałam? Być może, ale czy szalenciec zdaje sobie sprawę z własnego szaleństwa? Podobno nie...

Rozboliła mnie głowa.

Otwierając kombi Łukasza, przelotnie zerknęłam na mój samochód i znieruchomiałam z przerażenia. Toyota była brudna. Nie był to kurz czy lekkie smugi błota na bocznych drzwiach, które pojawiały się tam czasem po jeździe przez okoliczne polne drogi, tylko błotnista, lepka maź, sięgająca niemal klamek. Obeszłam auto dookoła, przyglądając mu się z rosnącą paniką. Jeszcze poprzedniego wieczoru był czysty, co najwyżej lekko zakurzony, czemu więc teraz przednie światła oblepione były owadzimi zwłokami, a felgi dosłownie ociekały błotem?

– Natalia?! Risotto! Ciebie, dziewczyno, to tylko po śmierć posłać! – usłyszałam niecierpliwy głos Łukasza.

Zmusiłam się do wyjęcia z bagażnika jego wozu butelki wina i zawrócenia w stronę domu.

Usiedliśmy w ogrodzie, korzystając z ciepłego wieczoru i drewnianego kompletu mebli pośrodku wciąż nieskoszonej trawy. Risotto wyglądało wyśmienicie i pachniało równie dobrze, jednak zjadłam tylko odrobinę, kompletnie nie czując jego smaku.

– Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem, kotku. Powinienem

być bardziej wyrozumiały. W końcu podobno wszyscy pisarze bywają roztargnieni. – Łukasz uśmiechnął się do mnie i pocałował wnętrze mojej dłoni.

– Nie jestem pisarką – powiedziałam, odsuwając na bok talerz z niedokończonym risottem.

– Przepraszam, dziennikarką – poprawił się.

„Nie wiem, czy nazwałabym się dziennikarką – pomyślałam. – Kilka felietonów do kobiecych gazet nie czyni ze mnie pismaka”.

Co innego dawna praca w jednym z bielskich dzienników – wtedy całą sobą czułam tę branżę, poświęcałam jej każdą wolną chwilę, w tym również moje życie prywatne, krótkie małżeństwo z Rafałem i całe mnóstwo innych rzeczy, o których wolałam teraz nie myśleć. Zresztą tak naprawdę nie było o czym – minęło ponad pięć lat, kiedy po raz ostatni przekroczyłam próg tamtej gazety, a mój były mąż powoli, powoli stawał się jedynie wyblakłym, pozbawionym silniejszych emocji wspomnieniem naszej żalosnej, niespełna dwuletniej szarpaniny. Wiedziałam, że jakiś rok po naszym rozwodzie wyjechał do Londynu, gdzie udało mu się dostać pracę w jednym z dużych banków – zupełnie przypadkiem dowiedziałam się tego od spotkanego kiedyś w Krakowie dawnego znajomego. Reszta była zagadką, której nie zamierzałam rozwiązywać. Czy ponownie się ożenił? Wciąż mieszka na Wyspach? Jest szczęśliwy? Myśli o mnie czasem? Nie miałam pojęcia i nic a nic mnie to nie obchodziło. W końcu jedno z moich życiowych mott to: „Nie oglądaj się za siebie, dziewczyno!”. Czemu więc ostatnimi czasy tak uparcie myślałam o Emilu i naszym minionym, wspólnym życiu?

– Ziemia do Natalii, Ziemia do Natalii! Znowu się zamyśliłaś – mruknął Łukasz, nalewając mi wino do białego plastikowego kubka. – Sorry za tę marną oprawę. Zapomniałem, że wytlukliśmy kiedyś wszystkie kieliszki. – Roześmiał się.

– Latem warunki polowe nie są takie złe. Czuję się prawie jak na biwaku. – Uśmiechnęłam się.

– Prawie – powiedział, siadając bliżej mnie. – Pomyślałem, że dziś ostro się upijemy. Wchodzisz w to, kiciu?

– Jak w dym! – mruknęłam, upijając kilka pierwszych łyków

nieprzyjemnie ciepłego wina.

„Ohydne” – pomyślałam, nie przeszkodziło mi to jednak w wypiciu niemal duszkiem dwóch następnych kubeczków. Jakież pół godziny później poczułam się cudownie pijana i było mi prawie błogo.

– Przejdźmy się – zaproponował Łukasz.

Ruszyliśmy w stronę lasu. Po tym, co wydarzyło się ostatnio, za żadne skarby nie poszłabym tam sama, ale za rękę z moim facetem, oszołomiona alkoholem – to była zupełnie inna historia. Wśród wysokich, gęsto rosnących drzew zaczęło się ściemniać. Nie był to jeszcze mrok, jednak jakaś dziwna przedwieczorna szarość, jakby czas zatrzymał się na chwilę gdzieś pomiędzy kończącym się dniem a nadchodzącą z wolna letnią nocą. Weszliśmy w głąb, pomiędzy drzewa. Potknęłam się o wystający korzeń, Łukasz objął mnie w talii, szepcząc, że zawsze chciał się ze mną kochać pośrodku lasu. Zwolniłam, nagle przypominając sobie dziwne wrażenie bycia obserwowaną. On odebrał to jako zachętę – oparł mnie o drzewo i zasypując pocałunkami, podciągnął mi spódnicę. Chropawa kora starego, na wpół zmurszałego pnia drapała mnie w plecy; gdzieś ponad naszymi głowami lekki wiaterek zaszumiał konarami, serwując im ledwie wyczuwalną pieśczęotę. Łukasz zsunął do kostek swoje dżinsy, razem z bokserkami i podniósł mnie bez cienia wysiłku, jakbym ważyła tyle, co odrobina puchu. Oplotłam jego plecy nogami; szepnął, że uwielbia mnie pieprzyć. Kiedy poczułam go w sobie, odczułam też dziwne mrowienie w czubkach palców. Dokładnie takie, jak tamtej nocy, kiedy wydawało mi się, że ktoś mnie obserwuje. Kochaliśmy się ostro, gwałtownie i zmysłowo. W końcu, już po wszystkim, zmęczeni niezamierzającym łatwo ustąpić upałem, opadliśmy na trawę. Pomyślałam o wszelkiej maści robalach i pająkach, jednak nie chciałam burzyć nastroju.

„Dziwne, że nigdy wcześniej nie robiliśmy tego w lesie” – przeszło mi przez myśl.

– Zgubiłaś majtasy – chwilę później Łukasz znalazł w wysokiej trawie moje czarne koronkowe stringi i rzucił nimi we mnie.

„Duży dzieciak” – uśmiechnęłam się pod nosem, przyglądając się, jak wciąga dżinsy i zapina pasek. Założył kraciastą koszulę i radośnie

rzucił się na trawę, tuż obok mnie. Leżałam na wznak, zapatrzona w leciutko kołysane wiatrem gałęzie wysokich drzew. Jakiś pająk uwierał mnie w plecy, coś chodziło mi po łydce. Oby nie pająk...

Szum przyszedł nagle, jakby ktoś włączył telewizor, ustawiając go na śnieżącym kanale. Wszystkie odgłosy lasu znikły, został tylko ten dziwny, nienaturalny poszum. Kurczowo złapałam Łukasza za rękę, wbijając mu w dłoń paznokcie. Syknął z bólu, pytając, co się stało. Zdziwiłam się – nie mogłam uwierzyć, że tego nie słyszy! Z sekundy na sekundę szum narastał, wibrował, zdawał się mnie wciągać. Powietrze było naelektryzowane, wszystko zdawało się dziać w zwolnionym tempie, jakby czas nagle się rozciągnął, niczym stara, zleżała pończocha. Gwałtownie usiadłam i w narastającej panice rozejrzałam się dookoła. Wszystko wyglądało tak samo, było jednak jakieś inne. Jakbym nagle znalazła się w zupełnie obcym miejscu. Zakreśliło mi się w głowie. Głęboko wciągnęłam powietrze do płuc i przez chwilę skupiłam się na oddechu.

– Momentalnie się ściemniło – zauważył Łukasz i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że w lesie jest niemal całkiem ciemno.

Wypite do kolacji wino po części wywietrzało mi już z głowy, wciąż jednak czułam się dziwnie otumaniona.

– Wracajmy – powiedziałam cicho.

Wstając, prawie się przewróciłam. Wysokie drzewa wirowały mi przed oczyma, fala mdłości odebrała oddech. Panika zjawiała się nagle, jakby ktoś trącił mnie łokciem w zatłoczonym tramwaju, wyrывая z błógiego zamyślenia.

– Chodźmy stąd, słyszysz?! – krzyknęłam histerycznie. Łukasz wyglądał na zszokowanego moim wybuchem.

– Co się dzieje? Czemu nagle tak mnie poganiaasz? – Zasznurował sobie lewego buta i wyraźnie urażony moim zachowaniem wstał, ruszając w stronę domu.

„Jak to możliwe, że on tego nie słyszy?” – zastanawiałam się. Za naszymi plecami trzasnęła gałąź, gdzieś w oddali, na obrzeżach miasteczka, przeciągle zawył pies. Wzdrygnęłam się, usiłując dogonić Łukasza, który – najwyraźniej wciąż na mnie wściekły – przyspieszył, zostawiając mnie ładnych kilka metrów z tyłu. Krzyknęłam, żeby

zaczekał, jednak nie zareagował. „Dupek! – skrzywiłam się. – Emil nigdy by... Do kurwy nędzy, przestań myśleć o Emilu!” – nakazałam sobie, teraz już prawie biegnąc. Nad naszymi głowami błysnęło, chociaż kiedy wychodziliśmy z domu, niebo było bezchmurne.

Łukasz przystanął gwałtownie, obracając się w moją stronę.

– Widziałaś to? – zapytał, nagle przestraszony, i zadarł głowę, usiłując dostrzec cokolwiek pomiędzy koronami drzew.

Zatrzymałam się, spoglądając w górę. Kolejny błysk wydał mi się jaśniejszy, jakby bardziej spektakularny. Odliczyłam w duchu do pięćdziesięciu, jednak nie usłyszałam nawet najbardziej odległego pomruku gromu. Zerwał się wiatr. Nagły, porywisty, dziwnie gorący. Duszny podmuch uderzył mnie w twarz, pobawił się włosami i pognał gdzieś między drzewa. Kolejny błysk zamigotał nad naszymi głowami, kiedy pędem rzuciliśmy się w stronę „Emilówki”; tym razem jednak błyskawica miała zaskakująco zielonkawą poświatę. Łukasz pociągnął mnie za rękę, zmuszając do szybszego biegu. Dudniło mi w uszach, a panika dosłownie zaciskała stalowe palce na moim gardle. Byliśmy kilkanaście metrów od domu, kiedy wichura zelżała tak nagle, jak się pojawiła, a ciemne wieczorne niebo nad nami wydawało się niczym niezmacone. Wpadliśmy do środka, zatrzasnąwszy za sobą frontowe drzwi.

– Co to było? – wyszeptałam, z trudem łapiąc oddech po obłąkańczym biegu przez spowity w mroku las.

– Nie mam pojęcia. Zauważyłaś tę poświatę? W życiu nie widziałem takiej dziwacznej błyskawicy! Babcia kilka razy opowiadała mi o przechodzących dawniej nad okolicą burzach z zielonymi wyładowaniami, ale osobiście nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Aż do dzisiaj – powiedział, gładząc mnie po plecach.

Cała się trzęsłam, ze strachu dosłownie rozdzwoniły mi się zęby. Wtuliłam się w pachnącą płynem do prania koszulę Łukasza i kurczowo zacisnęłam palce na kraciastym materiale. Przez chwilę miałam ochotę opowiedzieć mu, co się działo w ostatnich dniach, ale szybko porzuciłam ten pomysł. Teraz, w jasno oświetlonym drewnianym korytarzu, cała ta opowieść o dziwnych przeczuciach, wypalonych kręgach i poczuciu zagrożenia zabrzmiałaby co najmniej

śmiesznie, żeby nie powiedzieć – wariacko...

– Zrobię herbatę – zaproponowałam tylko, odsuwając się od Łukasza.

Cmoknął mnie w szyję i ruszył za mną do kuchni. Nagle światło zgasło – miałam właśnie nastawić czajnik, kiedy w kuchni zrobiło się ciemno.

– Co znowu, do kurwy nędzy? – warknął Łukasz.

– W kredensie powinny być świece – przypomniałam sobie.

– Czekaj, nic nie widzę... Są! – ucieszył się. – A zapalki gdzie?

– Chyba na lodówce.

– Mam!

Za oknem znowu błysnęło i przez kilka krótkich sekund kuchnię oświetliła upiorna zielonkawa poświata. „Dzieje się coś dziwnego” – pomyślałam. Jednak wciąż nie miałam pojęcia, jak miałabym ubrać w słowa wszystkie moje obawy... Zapalona okrągła, czerwona świeca zamigotała radośnie,. Łukasz postawił ją na parapecie i zażyczyłam sobie w duchu, żeby jej drgające nerwowo światło miało moc odpędzania wszelkich strachów.

– Czerwone świece przyciągają miłość. Tak zawsze mawiała moja matka. – Pocałował mnie w usta i wsunął dłonie pod moją bluzkę.

– Przestań! – ofuknęłam go. Wciąż byłam zbyt zdenerwowana, żeby myśleć o amorach.

Za domem, od strony wychodzących na ścianę lasu okien sypialni, coś trzasnęło. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś złamał grubą gałąź. Ktoś, kto właśnie tamtędy przechodził... Łukasz musiał usłyszeć to samo, bo lekko się zaniepokoił.

– Sprawdź, co tam znowu – rzucił, ruszając w stronę drzwi.

„Nie zostawiaj mnie tutaj samej – pomyślałam, od razu czując się jak ostatnia idiotka. – Dziewczyno, ile ty masz lat?” – zrugłam się w duchu, tymczasem mój facet znalazł w jednej z szuflad latarkę i mruczając coś pod nosem, wyszedł przed dom. Wstrzymałam oddech. Stąpając na czubkach palców, jakbym bała się, że ktoś lub coś może mnie usłyszeć, podeszłam do frontowych drzwi i lekko je uchyliłam. Cisza. Niepewnie wyjrzałam na pogrążoną w ciemności werandę, starając się oswoić wzrok z ciemnością letniego wieczoru. Pusto.

– Łukasz?! – krzyknęłam, robiąc dwa kroki w stronę schodków.

Wysłuchałam się w noc, dziwiąc się, jak w ogóle gdziekolwiek może być tak cicho. Cisza aż dzwoniła w uszach, wibrując mi w głowie – urodzona i wychowana w mieście, chyba od zawsze wolałam dobrze mi znany uliczny zgiełk. Taka wymownie głęboka cisza wydawała mi się jakaś niepokojąca, wręcz złowroga.

– Łukasz?! – krzyknęłam głośniejszym głosem, schodząc z werandy na brzydki, zalany popękany betonem podjazd.

Moja brudna toyota stała na swoim miejscu, kombi Łukasza tuż obok. Z duszą na ramieniu obeszłam dookoła domu, starając się nie myśleć o wszystkich tych oglądniętych beztrąsko w kinie horrorach, które teraz się na mnie mściły. Drewniany komplet ogrodowych mebli, przy którym zjedliśmy risotto, stał samotnie pośrodku nieskosiwanej trawy; po Łukaszu nie było nawet śladu. Strach podszedł mi do gardła, zaczęłam się wycofywać.

„Gdzie polazłeś, do cholery?! Chyba nie do lasu?!” – zastanawiałam się.

Wyskoczył z ciemności – w jednej chwili chwycił mnie w pasie, podnosząc do góry.

– Buuu! – wrzasnął mi do ucha, rechocząc.

– Idiota! – warknęłam, wrywając mu się.

– Co się tak wściekasz? Czaiłaś się tak, że po prostu musiałem cię przestraszyć. – Wciąż się śmiał, wyraźnie ubawiony.

– Zostaw mnie! – burknęłam, wbiegając do domu.

– No sorry, głupek ze mnie. Nie dąsaj się, kiciu – powiedział, całując mnie w szyję.

Odepchnęłam go, z furią zaryglowałam drzwi i samotnie poszłam do sypialni. Kilka minut później Łukasz wszedł tam za mną, z talerzykiem maślanych ciastek, płonąca w niewielkim wazoniku świeczką z Ikei i szklanką mleka na starej drewnianej tacy, którą parę lat wcześniej kupiliśmy z Emilem na jednym z rzymskich targowisk.

„Kolejne nieproszone wspomnienie” – pomyślałam ze smutkiem.

– Na zgodę. Biorąc pod uwagę, że risotto niemal nie tknęłaś, powinnaś coś zjeść – mruknął, siadając po swojej stronie łóżka.

Odebrałam od niego ciężką tacę i położyłam ją sobie na kolanach.

„Nie powinnam jeść o tej porze” – przeszło mi przez myśl, jednak tego akurat wieczoru miałam to gdzieś.

– Postaw tę świecę na stoliku, zanim ją przewrócisz i zajmie się kółdra. Mój dziadek podpalił się kiedyś w łóżku, całe szczęście w pokoju była akurat matka. No, jedz. Wyjątkowo nie lubię zeszkapiałyłch kobiet.

– Dzięki – mruknełam. – Jest już prąd?

Zaprzeczył.

– Trzeba by zjeść tę resztkę waniliowych lodów, zanim wezmą je diabli. Przejrzę zamrażarkę. Chyba wiele tam nie ma, ale jednak. – Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozdzwoniła się jego komórka. – To matka – powiedział, zerkając na wyświetlacz. – Dziwne, o tej porze... Rzadko do mnie dzwoni, a już na pewno nie wieczorami...

Zdjęta nagłym niepokojem obserwowałam, jak rozmawia. Przez chwilę tylko słuchał, nerwowym krokiem przemierzając niewielki pokój. W końcu powiedział, że mu przykro, obiecując, że postara się być za jakiś kwadrans.

– Co się stało? – zapytałam, kiedy się rozłączył.

– Muszę jechać do miasteczka. – Niczego nie wyjaśnił, ale wyglądał na zdenerwowanego.

Przez chwilę miałam ochotę zapytać go o ojca. Sama nie wiem, czemu akurat w tamtym momencie pomyślałam właśnie o tym? Może dlatego, że nigdy nie podejmowaliśmy tego tematu. O matce mój facet mówił wiele. Nie byli jakoś szczególnie zżyci, ale z pewnością odgrywała w jego życiu ważną rolę. O ojcu nie wspomniał dotąd ani razu. Nie wiedziałam nawet, czy żyje, czy kiedykolwiek był kimś istotnym dla syna. I chociaż zżerała mnie ciekawość, po namyśle zdecydowałam, że nie jest to raczej odpowiednia chwila na taką rozmowę.

– Przywieźć ci coś ze sklepu? – zapytał. – Zajrzę do delikatesów, zanim zamknę.

Wyobraziłam sobie, jak wychodzi, zostawiając mnie samą. Dookoła tylko lasy, ciemność i mój dziwny, narastający strach. Zdecydowałam, że za nic w świecie nie zostanę na Lisim Wzgórzu sama i poprosiłam, żeby dał mi chwilę.

– Tylko się przebiore...
– Pospiesz się. Jeśli dłużej nie będzie prądu... – przerwał, spoglądając w stronę nowego kontaktu z małym, pomarańczowym światełkiem, które właśnie się zapaliło. – Już jest! To co? Robimy sobie romantyczny wieczór we dwoje? – zapytał, z powrotem siadając na łóżku.

Powiedziałam, że wolę jechać do miasteczka. Rzuciłam coś o bilardzie, kuflu piwa i muzyce, której miałam ochotę posłuchać na żywo.

– W czwartki U Borsuka grają chyba jakieś zespoły, prawda?
– Daj spokój, nie grają, tylko rzeżą... Pijana w dupę kapela i waląca się tancbuda.
– Mnie się podoba. – Uśmiechnęłam się, wskazując w dzinsy. – A ty świetnie wiesz, jak zdyskredytować konkurencję.
– Trzeba walczyć o swoje – mruknął, rzucając we mnie moją szarą bluzą. – Ochłodziło się.

Wyszliśmy na zewnątrz. Zanim zeszłam z werandy, dwa razy sprawdziłam, czy zamknęłam dom, i chociaż wiedziałam, że zakrawa to na jakąś obsesję, lękliwie spojrzałam w stronę lasu. Ktoś czai się w ciemnościach, czy to tylko moja rozszalała wyobraźnia tak brzydko sobie ze mną pogrywa? Idąc dwa kroki za Łukaszem w stronę jego samochodu, pomyślałam o wypitym przez nas do risotta czerwonym winie.

– Na pewno możesz prowadzić? – zapytałam Łukasza, kiedy szarmancko otworzył mi drzwi po stronie pasażera.
– Nie chcę zabrzmieć bezczelnie, ale to ty wypijaś prawie całą butelkę, kiciu – zauważył z przekąsem.
– Serio? – zdziwiłam się.
– Serio.

9.

Przez całą drogę do miasteczka milczeliśmy. Początkowo Łukasz prowadził w skupieniu, wpatrzony w wąską polną dróżkę, a kiedy wyjechaliśmy na szerszą, asfaltową szosę, włączył radio i wesoło pogwizdując, bębnił palcami w kierownicę do taktu skocznej folkowej muzyki. Zatrzymał się nagle, wciskając hamulec, zanim zdążyłam złapać się poręczą nad drzwiami. Pasów nie zapięłam – w rodzinnym mieście pamiętałam o nich zawsze, ale tutaj wydawały mi się zbędne. Teoria najpewniej błędna, ale jakże wygodna...

– Co jest...? Patrz! – Łukasz zmrużył oczy, wpatrując się pomiędzy drzewa po lewej stronie samochodu. – Coś się pali?

Schyliłam się, usiłując dojrzeć jak najwięcej. Coś rzeczywiście się paliło, chyba jeden z najstarszych, położonych na obrzeżach miasteczka parterowych budynków. Było ich kilka – na wpół zrujnowane, należące głównie do zdziwaczałych lokalnych pijaczków.

– Podjadę tam, może ktoś potrzebuje pomocy – mruknął Łukasz, ruszając z piskiem.

Na miejscu okazało się, że płonie drewniany dom prawie osiemdziesięcioletniego samotnego staruszka. Lata temu, zanim jeszcze na dobre się rozpił, mężczyzna był woźnym w tutejszej podstawówce. Obecnie żył ponoć z renty, zbierania złomu i tego, co od czasu do czasu przynosili mu życzliwi sąsiedzi.

– Pewnie znowu stary Józef zasnął z papierosem – mruknął Łukasz, nie trudząc się, żeby zamknąć samochód.

Wysiadłam z auta, ruszając w stronę zbiegowiska. Gapiów było zaskakująco wielu – zupełnie jakby całe miasteczko zrobiło sobie festyn na tle płonącego budynku. Płomienie strzelały z werwą, zachłannie liżąc pełen ukruszonych dachówek dach. Trzasnęło szkło. Ogień buchnął przez jedno z okien od frontu; tłum cicho zaszumiał, jakby dziesiątki szeptów przekształciły się nagle w szmer zgrozy, szoku i niedowierzania. Płomienie strzeliły jeszcze wyżej, przeskakując na rosnącą przy domu strzelistą topolę. Jakaś kobieta

krzyknęła, inna odwróciła głowę, ocierając oczy.

Łukasz objął mnie ramieniem w momencie, w którym zza zakrętu, przeraźliwie wyjąć, wyjechał migocący w ciemnościach niebieskimi światłami wóz ochotniczej straży pożarnej. Kierowca wcisnął klakson, natarczywie domagając się przejazdu, i część stojących pośrodku drogi osób uskoczyła na chodnik, tłocząc się po drugiej stronie ulicy – niemi gapie hipnotyzującego widowiska z rozdziawionymi ustami zapatrzeni w płonący dorobek czyjegoś życia. Karetka pojawiła się chwilę po strażackim wozie – w jednym z młodych chłopaków, którzy mignęli mi przed oczyma, rozpoznałam tego, z którym rozmawiałam przed szpitalem. Zerknął w moją stronę, jednak albo mnie nie poznał, albo w tym momencie miał to gdzieś. Dom płonął już niczym gigantyczne sobótkowe ognisko – iskry strzelały w stronę wieczornego nieba, gasnąc szybko, niczym niespełnione marzenia. Buchający od strony palącego się budynku żar sprawił, że część osób cofnęła się o kilka metrów, pozostałych przepędzili strażacy.

– Chyba nic tu po nas – powiedziałam cicho, kurczowo zaciskając palce na dłoni Łukasza.

Spojrzałam w stronę podwórza. Sanitariusze otulali właśnie starszego, siwiuteńkiego mężczyznę kocem – domyśliłam się, że to właściciel płonącej posesji i pod powiekami pojawiły mi się łzy. Dokąd pójdzie zbliżający się do osiemdziesiątki, pozbawiony rodziny pijaczek? Z czym został, skoro wszystko spłonęło?

– Chodźmy stąd! – syknęłam bardziej niecierpliwym tonem, szarpiąc Łukasza za rękaw.

Nagle, stojąc pośrodku sycących wzrok cudzym nieszczęściem gapiów, poczułam się jak bohater „Zgromadzenia” – horroru, który kiedyś obejrzałam z Emilem. Tamci też nie przepuścili żadnej tragedii – milczący świadkowie ludzkich dramatów. Czułam się jak krążący nad padliną sęp, jakbym przyglądając się ognistemu show, dokarmiała cudzą tragedią jakieś chore fantazje.

– Łukasz, słyszysz mnie?!

Posłał mi wściekłe spojrzenie, rozdrażniony niczym uzależniony od gier nastoletni gówniarz, którego zdesperowana matka siłą usiłuje odciągnąć od komputera.

– Poczekaj jeszcze chwilę – poprosił, wciąż wpatrując się w ogień, zafascynowany niczym dziesięciolatek śledzący pierwszy lot swojego latawca.

Przyjrzałam mu się uważniej, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że całe to zajście zwyczajnie mu się podoba. Nie spuszczał wzroku z płonącego domu, jak zahipnotyzowany wgapiając się w szalejący przed naszymi oczyma pożar.

– Chodźmy! – krzyknęłam, ciągnąc go za rękę.

Skrzywił się, jednak posłusznie ruszył za mną w stronę samochodu.

– Nie chciałam tego oglądać – powiedziałam cicho.

Wzruszył ramionami, wciąż dziwnie poirytowany.

– O co ci chodzi?! Wszyscy się gapili, nie widziałaś?!

– Właśnie o to mi chodzi! Wszyscy się gapili! – wrzasnęłam.

Nie skomentował, ale na jego pociągłej twarzy zauważyłam złość. W milczeniu wsiedliśmy do auta. Łukasz ruszył z piskiem opon, jakby w ten sposób chciał dać wyraz swojej frustracji.

– Gdybym cię nie odciągnęła, stałbyś tam do teraz! – zarzuciłam mu.

– A jeśli nawet?! – burknął.

Nie odpowiedziałam.

Minęliśmy stację paliw, stary murowany kościół ze strzelistą wieżą i budynek szkoły, w której pracował kiedyś stary Józef. Byliśmy prawie na skrzyżowaniu, kiedy wyprzedziła nas jadąca od jakiegoś czasu za nami karetka. Nie włączyli sygnału, migali jedynie światłami na dachu. Pomyślałam, że to takie cholernie smutne – nawet w tej podróży staremu Józefowi odmówiono całej możliwej oprawy, całej pompy i uwagi.

10.

W centrum wrzało. Zaparkowaliśmy pod Zielonym Łabędziem, ze zdumieniem spoglądając na kręcących się przed lokalem letników. Wyglądało to tak, jakby całe miasteczko wypełzło nagle na ulice. Wsiadłam z samochodu i w milczeniu ruszyłam w stronę zajazdu. Łukasz szedł parę kroków za mną, wciąż wyraźnie urażony moim zachowaniem.

– Podobno się pali? – zagaił wysoki, postawny chłopak w szarym dresie.

– Ano pali się – przyznał mój facet, wdając się z gościem w żywiołową dyskusję.

Samotnie weszłam do środka, coraz bardziej wściekła na Łukasza. Sprawiał wrażenie tak podekscytowanego tragedią starego człowieka, że aż mnie zemdliło. Lokal był pełny – już dawno nie widziałam w Zielonym Łabędziu takich tłumów. Zamówiłam karmelowe piwo i usadowiłam się na wysokim barowym stołku. Siedzący po mojej prawej na oko czterdziestokilkuletni facet przez chwilę otwarcie się na mnie gapił, w końcu zniechęcony moją obojętnością przeniósł smętny wzrok na swój do połowy opróżniony kufel. Zauważyłam, że na serdecznym palcu prawej ręki ma grubą srebrną obrączkę i wygląda na smutnego.

– Podobno coś się pali?! – krzyknął Kamil, młody barman, którego parę dni wcześniej poznałam na parkingu pod Łabędziem.

– Podobno – powiedziałam, biorąc od niego kufel z piwem.

Chłopak przetaił kontuar i nachylił się w moją stronę.

– Dawno was nie było. Krążą słuchy, że wolicie przesiadywać w Borsuku? – Wyszczrzył się w szerokim uśmiechu. – Idę o zakład, że pani Genowefa nie jest z tego zadowolona.

Na wzmiankę o matce Łukasza skrzywiłam się, upijając pierwszy łyk piwa.

– Sorry, nie mój interes – mruknął Kamil, chwilę później zajmując się wysokim brunetem w skórzanej kurtce, który coraz natarczywiej

domagał się kolejnej whisky.

Łukasz pojawił się przy mnie dopiero po jakimś kwadransie.

– Zagramy w bilard?! – krzyknął.

Powiedziałam, że nie mam ochoty. Wzruszył ramionami, chwilę później podeszła do niego siostra i nawet nie spojrzawszy w moją stronę, pociągnęła go w stronę wejścia do kuchni. Przez następną godzinę samotnie sączyłam piwo za piwem, wsłuchując się w smętne country, które włączył młody barman. W końcu chwiejnym krokiem ruszyłam w stronę damskiej toalety, po drodze wpadając na młodego chłopaka w czerwonej bluzie.

– Patrz, jak leziesz, mamuśka! – warknął.

Bąknęłam pod nosem jakieś przeprosiny, chociaż nie czułam się skruszona. Czułam się za to pijana i było mi niedobrze. Łazienka była duża i idealnie czysta, a białe jak świeży śnieg kafelki jeszcze potęgowały wrażenie, że wszystko dookoła dosłownie lśni. Przypomniałam sobie Mirkę, psioczącą na konieczność sprzątania rzygowin i szczyn po bandzie pijanych klientów, i zrobiło mi się jej żal. Zastanawiałam się, jakie życie czeka ją na tym zalesionym zadupiu. Na mnie czekało przecież moje bielskie mieszkanie, znajomi i miasto, ale tutaj... Tutaj można było utknąć, przepaść, zniknąć na dobre. Wpaść w pułapkę, niczym usiłująca się wygramolić z klonowego syropu osa, która w końcu w nim tonie.

Spojrzałam w lustro. „Patrz, jak leziesz, mamuśka!” – przypomniały mi się słowa podpitego chłopaka, na którego wpadłam w korytarzu. Mamuśka... Więc to już? Koniec młodości? Naprawdę wyglądam na te moje trzydzieści sześć lat, naprawdę inni tak mnie widzą? Trzydzieści sześć lat i jedenaście miesięcy... Później już tylko trzydzieste siódme, ósme i dziewiąte urodziny, a wtedy...

– Kurwa – jęknęłam, przemywając twarz zimną wodą.

Nigdy nie podejrzewałam, że będę jedną z tych obsesyjnie martwiących się upływającym czasem kobiet, a jednak mnie dopadło. Czułam się żałośnie, czułam się staro i byłam... pijana.

Koło północy Łukasz wyciągnął mnie na parkiet, gdzie szaleliśmy prawie godzinę. W końcu poprosiłam, żebyśmy już wracali.

– Za dużo wypiałam, a mieszanie piwa z winem nigdy nie było

dobrym pomysłem – jęknęłam.

Na zewnątrz było chłodno. Noc po upalnym popołudniu zrobiła się wilgotna i dżdżysta. Łukasz opiekuńczym gestem objął mnie ramieniem i poprowadził w stronę samochodu. Chwiałam się na nogach, dziwnie ociężała i senna, ale trzymał mnie pewnie – rycerz w srebrnej zbroi pośrodku mojego pijackiego widu. Do „Emilówki” dotarliśmy bez przygód – ja niemal zasnęłam z dziwnie wykręconą, wtuloną w zagłówek głową, Łukasz, pogwizdując – rześki jak skowronek o poranku i dziwnie radosny. Ocknęłam się, dopiero kiedy reflektory jego kombi omiotły front domku, a mój facet gwałtownie zahamował, wpatrując się w ciemność.

– Czy to nie Aneta? – mruknął, wysiadając.

Wytrzeźwiałam w jednym momencie – porażona wizją samotnie błakającej się po nocy ciężarnej sąsiadki. „Co jeśli Maciek jeszcze nie wrócił, a ona zaczęła rodzić?” – przeraziłam się.

Łukasz zawołał ją po imieniu, jednak nawet się nie obejrzała. Szła dalej przez wysoką mokrą od rosy trawę, kierując się w stronę lasu.

– Aneta! – krzyknęłam, rzucając się do biegu.

Była kilka metrów przede mną i wiedziałam, że zaraz ją zatrzymam, jednak w jej rozkołysanym chodzie było coś dziwnego – poruszała się jak automat, jak zdalnie sterowany robot ustawiony na jeden cel. W jej przypadku była to ciemna ściana lasu przed nami... Pierwszy dogonił ją Łukasz, znalazł ją w samochodzie latarką świecąc dziewczynie w twarz. Podenerwowanym głosem zapytał, co wyprawia, jednak nie odpowiedziała. Podeszłam, usiłując ją objąć. Spojrzała mi w oczy, robiąc krok w tył, w końcu jakby ocknęła się z tajemniczego letargu, w którym zdawała się pogrążona, i rozglądając się dookoła, przyłożyła dłoń do ust w niemym geście przerażenia.

– Aneta, co się stało?

– Co ja tu robię? – wyszeptała, ignorując moje pytanie i z osłupieniem spojrzała na swój brzuch. – Dziecko... Chcieli mi zabrać dziecko!

– O czym ty...?

– Zabierzmy ją do domu – weszłam Łukaszowi w słowo i narzuciłam jej na plecy swoją grubą szarą bluzę.

Była bosa i wyraźnie przerażona. Drżała od nocnego chłodu, w szoku, a może z zimna, dzwoniły jej zęby. Kiedy szliśmy w stronę furtki, przypomniałam sobie przeczytany w majowej „Wróźce” ludowy przesąd – ciężarna kobieta nie powinna wychodzić z domu po zmroku. A jeśli już to zrobi, koniecznie musi nakryć głowę, żeby nie przyuwały jej demony.

Kiedy odprowadziliśmy roztrzęsioną Anetę do jej drewnianego domku i zapaliliśmy wszystkie światła, po mężu sąsiadki nie było nawet śladu. Zrobiłam jej gorącą herbatę i rozmasowałam lodowate stopy.

– Zdarzało ci się to wcześniej? Jesteś lunaticzką? Maciek wie? – zasypałam ją gradem pytań, na które nie zamierzała odpowiadać.

Powiedziała tylko, że strasznie boli ją głowa i chce iść spać.

– Chcieli zabrać mi dziecko – powtórzyła jęśliwym tonem, którego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam.

– Kto? – zdziwił się Łukasz.

Nie odpowiedziała.

– Zostańmy z nią – szepnęłam.

Wymieniliśmy spojrzenia, oboje jednakowo zszokowani dziwnym zachowaniem przyjaciółki.

– Najlepiej będzie, jeśli posiedzimy tu z nią do rana – dodałam.

– Sam nie wiem... Prawie nie znam Maćka i trochę niezręcznie się czuję. Zostań z nią sama, co? – poprosił Łukasz.

Zaskoczył mnie. Bynajmniej nie na plus.

– Żartujesz? – zachnęłam się. – Co jest grane? Masz jakiś konflikt z Maćkiem?

– Nie... Nawet nie. Ja tylko... Nie przepadamy za sobą, okay? – powiedział, nerwowo zerkając w stronę drzwi.

Przez chwilę chciałam jakoś go przekonać, w końcu jednak się poddałam. Nie zamierzałam go zmuszać.

– Jak chcesz – powiedziałam tylko, starając się nadać głosowi jak najbardziej obojętny ton.

Wyszedł minutę później, zostawiając nas same. Starłam się w jakiś sposób go usprawiedliwić, jednak nie potrafiłam ukryć nawet sama przed sobą, że jego zachowanie mocno mnie rozczarowało.

Aneta była w sypialni, gdzie przed momentem ją zostawiliśmy. Pomogłam jej położyć się w dużym, podwójnym łóżku z drewnianą rzeźbioną ramą i zapaliłam niewielką lampkę. Przykrywając ją kołdrą, zdjęłam jej z opuchniętych palców obrączkę i zsunęłam z nóg papucie, które chwilę wcześniej jej założyłam. Miała ubłocone i lodowate stopy. W pierwszym momencie chciałam przynieść z łazienki ręcznik i umyć jej nogi, jednak sąsiadka wyglądała na tak zmęczoną, że dałam sobie spokój. Przymknęła oczy, zapadając się głową w puszystą poduszkę. Rozpięłam jej sukienkę w miejscu, gdzie mocno opinała się na brzuchu. Nie protestowała, chociaż zajmowałam się nią jak dzieckiem. Zdawała się zadowolona z mojej obecności i jednocześnie prawie bezwolna. Po same uszy przykryta puchową kołdrą, z wyraźnie widocznym pod pierzyną ciężowym brzuchem wyglądała na senną i zupełnie spokojną.

Wychodząc z pokoju, zostawiłam uchylone drzwi, bojąc się, że Aneta znowu gdzieś mi się wymknie, i na palcach weszłam do niewielkiego, pełnego drewnianych rzeźb salonu. „Ma chłopak talent w rękach. Powinien zacząć to sprzedawać – pomyślałam, obracając w palcach pięknie wykonaną figurkę Matki Boskiej z Dzieciątkiem. – Maciej od lat bawił się w rzeźbiarstwo, nie miałam jednak pojęcia, że strugane przez niego cudeńka są aż tak udane” – przeszło mi przez myśl, kiedy przyglądałam się stojącej na kredensie drewnianej Madonnie.

Z sypialni nie dochodził nawet najmniejszy dźwięk. Miałam nadzieję, że Aneta po prostu usnęła. Bałam się nawet pomyśleć, co by było, gdyby zaczęła rodzić, błakając się po lesie... Położyłam się w salonie, na wąskiej kanapie pod oknem. Pomimo wypitego wcześniej alkoholu byłam przemarznięta, zresztą może to tak właśnie działa – podobno kiedy procenty „wyparowują”, człowiek traci ciepło.

Obudził mnie jakiś dziwny stłumiony dźwięk. Uniosłam się na łokciu i nasłuchiwałam. Zachrząścił żwir na ścieżce pod oknem – ewidentnie ktoś chodził wokół domu. Usiadłam, stawiając stopy na ziemi, i wstrzymałam oddech, usiłując przyzwyczać wzrok do panującej w pokoju ciemności. Znowu chrząst żwiru przed domem, w końcu jakiś przemykający za oknem cień i ciężkie kroki na werandzie.

Zerwałam się na równe nogi w momencie, w którym z cichym skrzypieniem otwarły się frontowe drzwi i do środka wszedł Maciej.

– Maciek? – szepnęłam, prawie strącając ze stolika nocną lampkę.

– Co się dzieje? Coś z Anetą? – przeraził się. – Jak dziecko? Nie mów, że już urodziła!

– Wszystko jest w porządku – uspokoilałam go szeptem.

Zapytał, czemu w takim razie gniotę się na jego starej niewygodnej kanapie. Opowiedziałam mu o nocnym spacerze Anety, szoku, jaki przeżyliśmy, wpadając na nią na drodze, i jej dziwnym zachowaniu, którego w żaden racjonalny sposób nie potrafiliśmy sobie wyjaśnić. Maciej pokręcił głową, w milczeniu przyswajając to, co właśnie usłyszał. W końcu zapalił maleńką lampkę, a bursztynowa poświata zalała pokój ciepłym blaskiem. Nawet w tak marnym świetle zdołałam zauważyć, jak bardzo pobladł – jego szczupła przystojna twarz zrobiła się nagle kredowo biała, a zaciśnięte w ponurym grymasie usta postarzyły go o jakieś dziesięć lat.

– Zajrzę do niej – powiedział, ruszając w stronę sypialni.

Chciałam go zapytać, czy takie nocne spacerki zdarzały się Anecie już wcześniej, jednak nie znalazłam w sobie aż tyle odwagi. W końcu to nie była moja sprawa. Nawet jeśli w sąsiedzkim geście dobrej woli zaopiekowałam się nią do jego powrotu, nie miałam prawa domagać się odpowiedzi w kwestii, o której najpewniej Maciej wolał nie rozmawiać.

Kiedy wrócił do salonu, powiedziałam, że będę się zbierać, i odłożyłam na bok kraciasty wełniany pled, pod którym spałam.

– Dziękuję – powiedział Maciej, otwierając mi niską drewnianą furtkę.

Zauważyłam, że po powrocie zamknął ją na klucz, chociaż Aneta, będąc sama w domu, chyba tego nie robiła... Trudno byłoby mi sobie wyobrazić ją otwierającą bramkę, chowającą do kieszeni klucz i ruszającą w stronę lasu, jednocześnie śpiącą i wykonującą szereg różnych czynności. Ale może było to wykonalne? Czytałam kiedyś o protestanckim pastarze, który pogrążony w głębokim śnie zabił żonę, a chwilę później zabrał się za czyszczenie basenu. Byli też podobno ludzie przemierzający we śnie kilometry autostrad i robiący dziesiątki

najprzeróżniejszych rzeczy.

11.

Kolejny raz Emil odezwał się którejś soboty i już klikając wiadomość od niego, dopadły mnie wyrzuty – nie zdążyłam jeszcze nawet odpisać mu na poprzedniego mejla.

Od: e-mil.beynar@wp.pl

Do: mirabelka457@wp.pl

Hej! Nie odpisujesz... Cóż, znam Cię nie od dziś, więc chyba nawet nie powinienem mieć żalu – pewnie wciągnęły Cię setki różnych spraw, wśród których pisanie czy wysyłanie mejli zdecydowanie nie należy do fascynujących. Co prawda nie pytasz, co u mnie, ale skoro już piszę... Zaaklimatyzowałem się, możesz to sobie wyobrazić? Szybko, zważywszy na odległość i całą resztę, ale to akurat chyba dobre wieści. Koledzy ze szpitala są w porządku, jak do tej pory spotkałem się raczej z przyjaznym przyjęciem. Tylko jeden ze starszych radiologów rzucił kiedyś przy piwie chamski w swojej wymowie żart o Polaczkach, ale szybko go zgaszono – Amerykanie i ich polityczna poprawność zadziwiają mnie od dawna. Rodaków, niestety, w pracy nie spotkałem – jest, co prawda, jedna pielęgniarka pochodząca gdzieś z okolic Zakopanego, jednak nie potrafię nawiązać z nią jakiegokolwiek rozmowy. Z wbitymi w podłogę oczyma jąka coś po angielsku, jakby nie zdawała sobie sprawy, że oboje moglibyśmy pogadać w ojczystym języku, i wydaje mi się strasznie zaszczuta. Jakby całą sobą przeproszała za swoje wschodnioeuropejskie pochodzenie. Przykre, szczerze mówiąc, ale może przesadzam? Ludzie miewają przecież najprzeróżniejsze problemy, być może dziewczyna przeżywa właśnie coś, o czym nie mam zielonego pojęcia. Tak czy inaczej, jest dość ładna – typowa polska blondynka, z kocimi zielonymi oczyma. Jesteś zazdrosna? Okay, okay – przecież tylko żartuję...

Miami każdego dnia wydaje mi się piękniejsze. W wolnych chwilach zwiedzam jak szalony – kupiłem kilkuletniego chevroleta i zapuszczam się coraz dalej od domu (tak na marginesie, znalazłem dla siebie

mieszkanie!). Wiedziałaś, że w parku Everglades żyją pantery? W najbliższym czasie będę musiał tam się wybrać, obecnie z uporem maniaka krążę wokół najbogatszych rezydencji, ciesząc oczy zacumowanymi na przystaniach jachtami. Znajomy obiecał mi już krótki rejs; kupiłem kamerę. Rany, strasznie to brzmi, jak skrobany na kolanie dziennik jakiegoś smarkacza. Wybacz, męczy mnie chyba natłok nowych wrażeń.

Cóż, będę kończył. Odezwij się, bo zacznę się zastanawiać, czy podałaś mi dobrego mejla!

PS Słyszałem, że kogoś masz... Jak widzisz, wciąż mamy paru wspólnych znajomych. Nie żebym szczególnie ich o Ciebie wypytywał, sprawa całkiem przypadkiem wyszła w rozmowie. No dobra, masz mnie – pytałem... Nie potrafię Cię okłamać, nawet pisząc głupiego mejla. Ciekawe, o czym to świadczy?

Trzymaj się!

Emil

Przeczytałam, tym razem odpisując mu od razu. Głupio mi było, że tak długo milczałam, a jeszcze gorzej czułam się ze świadomością, że Emil wiedział o Łukaszu. Nie rozumiałam jedynie, czemu aż tak się tym przejmował. W końcu się rozstaliśmy, a on miał już na oku jakąś blond pielęgniarkę...

12.

Kot przypałętał się początkiem lipca. Imponująco duży, smoliście czarny, z zaskakująco błyszczącym futrem. Siedziałam na werandzie, kiedy zauważyłam go na podjeździe – przyglądał mi się otwarcie, w końcu cichutko miauknął i ułożył się w cieniu mojej toyoty. Odłożyłam czytana książkę, przypatrując mu się zmrużonymi od słońca oczyma. Nigdy nie przepadałam za kotami, jednak ten wydał mi się jakiś inny – pomyślałam, że dziwnie tutaj pasuje – jak niespodziewanie odnaleziona, ostatnia część puzzli, wieńcząca sielski obrazek. Przyniosłam mu z kuchni miseczkę z mlekiem, wystawiłam też odrobinę tuńczyka na małym porcelanowym talerzyku, którego Emil lubił dawniej używać jako popielniczki dla niespodziewanych gości. Nagle przypomniała mi się przeczytana gdzieś teoria, że ponoć mleko wcale nie jest aż tak zdrowe dla kotów, a te, które go nie piją, żyją o wiele dłużej. Nie miałam jednak pojęcia, co innego mogłabym mu dać do picia – w lodówce mieliśmy tylko mineralną i reszkę zwietrzałego toniku.

– Kici, kici, kici! – usiłowałam zwabić niespodziewanego gościa na ganek, kładąc miseczkę z mlekiem na ostatnim schodku.

Kot nie zareagował. Pomyślałam, że może się boi i weszłam do domu, obserwując go zza lekko odchylonej firanki. Ruszył się po jakichś pięciu minutach – wstał prawie z gracją i, wyglądając na zadowolonego, podszedł do miski z mlekiem, które wyżłopał z widocznym apetytem. Jak widać, wszystko, co niezdrowe, znika w okamgnieniu. Uśmiechnęłam się.

Wieczorem pojawił się znowu. Tym razem siedział na werandzie, beczelnie rozwalony na jednym z wyściełanych kwiecistymi poduszkami wiklinowych foteli. Na mój widok podniósł głowę, jednak nie zamierzał uciekać. Pomyślałam, że to nawet miłe, bo być może intuicyjnie wyczuł, że nie mam złych zamiarów. Przez chwilę siedzieliśmy razem – ja z kubkiem herbaty i książką w ręku, kot zajmujący się czyszczeniem swojego połyskującego w promieniach

zachodzącego słońca futerka. Dopiero kiedy pod „Emilówkę” podjechało kombi Łukasza, zwierzak czmychnął, zwinnie przeciskając się przez zdobioną drewnianą poręcz werandy.

– Co to za czort? Istny Boruta! – mruknął Łukasz, obracając się w ślad za kotem, i tym właśnie sposobem nasz gość zyskał imię – Boruta.

Przez dwa kolejne dni kot pojawiał się i znikał, jakby nie mógł zdecydować, czy warto kręcić się wokół domu. W końcu na dobre się u nas rozgościł, a ja kupiłam w delikatesach kilka puszek kociej karmy i regularnie wykładałam mu ją na schodkach wiodących na werandę. Obecność zwierzęcia spodobała mi się do tego stopnia, że pochwaliłam się nawet Emilowi. „Zawsze powtarzałaś, że nie znosisz kotów!” – odpisał mi, kiedy w krótkim mejlu opisałam mu wizyty Boruty. Zapewniłam go, że ten jest inny i chyba sama w to uwierzyłam, bo po tygodniu od dnia, w którym zobaczyłam czworonożnego gościa po raz pierwszy, każdego ranka, zanim jeszcze napiłam się kawy, wystawiałam mu na werandę miseczkę z jedzeniem i mleko.

Moja stara przyjaciółka, Daria, odezwała się do mnie którejś środy. Ucieszył mnie jej telefon, tym bardziej że dość dawno się nie widziałyśmy. Umówiłyśmy się w Niebiańskiej, niewielkiej kawiarni w centrum miasteczka, do której swego czasu lubiliśmy z Emilem zaglądać na kawę po irlandzku.

Kiedy dotarłam na miejsce, Daria już czekała. Zajęła mój ulubiony stolik w okiennej wnęcie, przy którym bez większego zainteresowania wertowała jakiś kobiecy magazyn.

– Świetnie wyglądasz – powiedziałam, kiedy już wyściskałyśmy się na powitanie. – I co tak właściwie tutaj robisz? Nie miałam pojęcia, że bywasz w tej okolicy!

– Odwoziłam mojego Adriana na kolonię i pomyślałam, że trochę zboczę z trasy. Co u ciebie? Wyjechałaś tak nagle i całkiem przepadłaś. – W jej głosie nie usłyszałam nawet cienia wyrzutu. Bardziej troskę.

– Jest dobrze – powiedziałam.

– Ale?

– Nie ma „ale”. Jest dobrze. – Uśmiechnęłam się.

– Okay, w takim razie bierzmy się za zamawianie. Konam z głodu. – Daria chwyciła leżącą na skraju stolika kartę i ze śmiesznie zmarszczonym nosem zaczęła ją przeglądać.

– Najlepszy jest sernik z malinami. Szarlotka też niezła, ale...

Nie dokończyłam, bo w tym samym momencie przez przeszklone drzwi kawiarni wpadła młoda jasnowłosa kobieta w letniej sukience w łączkę. W pierwszym momencie pomyślałam, że przed kimś ucieka. Miała potargane włosy, rozbiegane spojrzenie i wyraz skrajnego przerażenia na ładnej opalonej twarzy. Daria niczego nie zauważyła. Siedziała tyłem do wejścia i nadal spokojnie wertowała menu.

– Zdechniecie! – krzyknęła młoda kobieta i wycelowała palcem w siedzącą przy sąsiednim stoliku parę w średnim wieku. – Wszyscy zdechniecie! – ryknęła.

– Co to ma być? – Moja przyjaciółka obróciła się i parsknęła nerwowym śmiechem.

Tymczasem wyraźnie szalona młoda kobieta strąciła z marmurowego blatu kilka odniesionych przez gości brudnych szklanek po mlecznych koktajlach, które z brzękiem tłuczonego szkła upadły na posadzkę.

– Pochłonie was ogień piekielny! Wszyscy spłoniecie w mękach! – wrzasnęła ochryplym głosem, zanim młody tyczkowaty kelner zdołał złapać ją za ramię.

– Proszę pani? Proszę pani, proszę się uspokoić. – Chłopak przemawiał do kobiety łagodnym, chociaż wyraźnie przestraszonym tonem.

Szarpnęła się i niczym złapane w potrzask dzikie zwierzę obnażyła zęby. Siedząca nieopodal wyjścia siwa kobieta zasłoniła usta dłonią; inna, wyraźnie pobladła na twarzy, przeżegnała się i w panice zaczęła szukać swojej torebki.

Na wzmiankę o ogniu piekielnym przypomniałam sobie płonący dom starego Józefa i poczułam napływające do oczu łzy współczucia.

– To jakaś wariatka? Znasz ją? Mieszka tutaj? – Daria też lekko pobladła, jednak nie wyglądała na szczególnie wystraszoną. Może dlatego, że, pracując jako pielęgniarka, niejedno już widziała?

Powiedziałam, że nie mam bladego pojęcia, kto to jest, i przesunęłam swoje krzesło bliżej ściany, jakby chcąc mieć w niej oparcie.

– Zdechniecie! Całe to zasrane miasteczko pochłonie piekło! – szalona kobieta znowu zaczęła krzyczeć.

Młody kelner poprosił o pomoc dwóch gości, którym w końcu udało się ją złapać. Obserwując tę smutną scenę, przypomniałam sobie opowieści o niespotykanej sile wariatów, tymczasem nieznajoma w kwiecistej sukience, kopiąc i wierzgając, wrywała się przytrzymującym ją mężczyznom.

– Niechże ktoś zadzwoni po karetkę! – Kobieta, która wcześniej zrobiła znak krzyża, miała cienki, piskliwy głos i kilkucentymetrowy ciemny odrost na krótkich tlenionych włosach.

Spojrzałam na właścicielkę – pulchniutka pani Aniela wciąż stała za barowym kontuarem, jakby incydent z wrzeszczącą kobietą na stałe ją uziemił. W końcu, ponaglana przez klientkę z odrostem, złapała za komórkę i zadzwoniła po pogotowie. Sfiksowana kobieta zaczęła przeciągle wyć. Mężczyźni, z malującym się na twarzach współczuciem, posadzili ją w kącie lokalu. Nie opierała się. Nagle zwiotczała, jakby opuściły ją wszystkie siły. Sukienka podjechała jej w górę, obnażając szczupłe opalone uda; z lewej nogi spadł jej but. W odruchu współczucia wciąż wyraźnie przestraszony młody kelner narzucił jej na ramiona gruby wełniany koc. Syknęła. Chłopak gwałtownie się cofnął, niemal wpadając na jeden ze stolików. Szalona nieszczęśnica pomalowanymi na ciemnoniebiesko paznokciami zaczęła drapać drewnianą podłogę.

– Boże jedyne, co tu się wyprawia? – Daria wstała i zaraz z powrotem usiadła. – Chciałam pomóc, ale jak?

– Zaraz przyjedzie karetka – szepnęłam.

Siedząca w kącie blondynka znowu zaczęła wyć. W końcu odchyliła głowę i z całej siły rąbnęła nią w ścianę.

– Niech ktoś ją przytrzyma, zanim zrobi sobie krzywdę! – Pani Aniela wyszła zza kontuaru i stanęła obok młodego kelnera.

Chłopak posłał właścicielce niepewne spojrzenie i powoli zbliżył się do kobiety.

– Mamusiu? – Na oko pięcioletnia śliczna dziewczynka weszła do kawiarni dosłownie chwilę później i bez cienia strachu zaczęła się zbliżać do skulonej w kącie oszalałej kobiety.

Tuż za nią w lokalu zjawił się pan Antoni, miejscowy weterynarz, którego znałam z widzenia. Kiedy jeszcze byłam z Emilem, kilkakrotnie kupowaliśmy miód z prowadzonej przez niego na spółkę z synami pasieki.

– Mamusiu?! – Dziewczynka podbiegła do nieszczęsnej blondynki, ale kobieta zdawała się jej nie rozpoznawać.

– To jej dziecko? – zapytała szeptem pani Aniela.

– Na to wygląda. Widziałem, jak obie wysiadały z samochodu. Kobieta coś jej opowiadała i wyglądała na całkiem spokojną. Dopiero kiedy przeszły przez ulicę, zaczęła krzyczeć coś o ogniu piekielnym. Zanim tu przybiegła, uderzyła dziecko w twarz i rozbiła witrynę jubilera. Zupełnie jakby w jednej chwili straciła zmysły – powiedział weterynarz i ciężko opadł na jedno z krzeseł. – Ależ duchota! We łbach się ludziom przewraca od tego upału! – dodał, wierzchem pulchnej dłoni ocierając spocone czoło.

Pani Aniela, która – jak niosła wieść – od dawna się w nim podkochiwała, podała mu szklanekę z wodą i podeszła do zasmarkanej dziewczynki.

– Chodź, kochanie, zjesz troszkę lodów – powiedziała, najpewniej chcąc jakoś odciągnąć uwagę małej od zachowania matki.

Karetką przyjechała kilka minut później. Jednego z młodych sanitariuszy znałam już z widzenia, drugi był starszy i wyraźnie zmęczony panującym na zewnątrz skwarem. Siedzące nad nietkniętym pucharem z lodowym deserem dziecko głośno płakało, powtarzając, że chce do mamusi, a szalona kobieta znowu zaczęła się miotać i przeklinać.

Wymieniłyśmy z Darią spojrzenia. Żadna z nas nie chciała oglądać rozdzierających scen, więc zapomnieliśmy o głodzie i wyszliśmy na zalaną słońcem ulicę.

– Chryste, co za koszmar. Sceny, jak z „Egzorcysty” – powiedziałam.

Przyjaciółka w milczeniu pokiwała głową i zaproponowała lokal po drugiej stronie ulicy. Mijając rozbitą witrynę jubilera, przypominałam

sobie starszą kobietę, która w zeszłym tygodniu na oczach zszokowanych letników próbowała utopić w jeziorze szczeniaka, i pomyślałam, że ludzie chyba rzeczywiście kompletnie poszaleli...

Kawiarnia po przeciwnej stronie ulicy była urządzona w wyjątkowo kiczowatym stylu – przestronne wnętrza zdobiły stylizowane na barok złożone figurki aniołów, sztuczne kwiaty i misternie udrapowane, ciężkie bordowe zasłony. Z kolei wiszące na ścianach obrazy były w większości tanimi landszaftami, co nijak nie pasowało do „anielskiej” koncepcji dekoratora. Słyszałam za to, że szarlotka, którą serwowano tutaj na olbrzymich talerzach, była ponoć najlepsza w miasteczku. Tak przynajmniej powiedział kiedyś Emil, który jeszcze w naszych wspólnych czasach spotkał się tu kiedyś z dawnymi znajomymi...

– Pomieszanie z poplątaniem. – Daria rozejrzała się po tandetnym wnętrzu i usiadła na jednym z obitych brokatowym materiałem krzeseł.

– Faktycznie, aż oczy bolą. To się dopiero nazywa eklektyzm. – Roześmiałam się, zanim podeszła do nas pucołowata, niewysoka kelnerka.

Podając nam menu, dziewczyna zapytała, czy wiemy coś o tamtej kobiecie.

– Widziałam, że jak oszalała wpadła do Niebiańskiej, a parę minut później panie stamtąd wyszły i pomyślałam, że może...

– Zdamy pani relację z pierwszej ręki? – zapytała Daria z ironią w głosie.

Dziewczyna zdawała się jednak nie zwracać uwagi na jej zgryźliwy ton – przygryzła wargi i wyraźnie wyczekując na ciąg dalszy, stanęła obok naszego stolika. Daria nie zamierzała jednak relacjonować przebiegu zdarzeń, zapytała za to o czekoladowy tort, na który nagle nabrała ochoty.

– Przykro mi, ale dzisiaj już się skończył. – Zmieszana dziewczyna zaproponowała ciasto brzoskwińowe i dodała, że tort znika zazwyczaj najprędzej.

Zamówiliśmy więc szarlotkę, która szczęśliwie jeszcze się ostała, i Daria zapytała, co u mnie. Przez chwilę miałam ochotę opowiedzieć jej o Łukaszu, ale coś mnie powstrzymało. Moja przyjaciółka świetnie

znała Emila i bardzo go lubiła. Może właśnie dlatego wspomniałam jedynie coś o planowanym brukowaniu podjazdu i zapytałam ją o syna.

– Daj spokój, co ja z nim mam. Chyba zaczął palić trawkę, w dodatku znalazłam u niego piwo. Na pocieszenie pozostaje mi fakt, że nadal nieźle się uczy i ma porządną dziewczynę. – Uśmiechnęła się.

Po kilku minutach ponownie zjawiała się przy nas wyraźnie spragniona rozmowy pucułowata kelnerka.

– A słyszały panie o tym niedoszłym samobójcy? Dwa dni temu chciał skakać z mostu! Wdrapał się już na konstrukcję, ale jakoś mu to wyperswadowali – szepnęła dziewczyna z płonącymi z emocji policzkami. – Mój chłopak akurat tamtędy przejeżdżał i wszystko mi opowiedział. Gość był młody, przed trzydziestką, i przez prawie trzy godziny nie chciał zleźć na dół. Oczywiście zamknęli most, korek się zrobił na ładnych parę kilometrów, a policja jak zawsze bezradna. Dopiero kiedy przyjechał jakiś starszy psycholog, udało mu się przekonać chłopaka do zejścia. Dzień później przeczytaliśmy z moim Radkiem w gazecie, że ten koleś chciał się zabić, bo niedawno stracił w wypadku żonę i dwuletniego synka – dodała podekscytowanym tonem.

– Straszna historia. – Wzdrygnęłam się.

Tymczasem Daria posłała kelnerce zmęczone spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Dość mamy takich dramatów”. Dziewczyna nie zamierzała jednak przestać paplać i usłyszałyśmy jeszcze, że zanim niedoszłego samobójcę nakłoniono do zejścia, jacyś pijani młodzi mężczyźni wrzeszczeli do niego: „Skacz, skacz, skacz!”.

– Zachęcali go, żeby skoczył, rozumieją panie coś z tego? Co się teraz porobiło z tymi ludźmi? Przez kilka minut ci popaprańcy wyzywali go od tchórzy i kazali mu w końcu skoczyć, jakby szydzili, że nie potrafi podjąć ostatecznej decyzji. Dopiero kiedy pogoniła ich policja, na dobre się zamknęli – dodała młoda kelnerka.

– Najgorsze jest to, że fala przemocy eskaluje z dnia na dzień, a ludzie powoli zaczynają się chyba przyzwyczajać do wszelkich możliwych okropieństw. Media dosłownie bombardują nas złymi wiadomościami, gdzie człowiek nie spojrzy, stale jakiś koszmar.

Czasem mam ochotę na dobre odciąć się od Internetu, ale jak mogę to zrobić, skoro...

– Możemy zmienić temat? – dziwnie rozdrażniona Daria niegrzecznie weszła mi w słowo i niecierpliwie zabębniła palcami o blat niewielkiego stolika.

– Masz rację, pogadajmy o starych dobrych czasach – powiedziałam i zabrałyśmy się za obgadywanie znajomych.

Wbrew entuzjastycznej opinii Emila szarlotka okazała się niedobra. Gumowata, zbyt kwaśna, na zakalcowatym spodzie. Nie zjadłam nawet połowy mojego kawałka i zamówiłam kawę.

Przez kolejną godzinę gawędziłyśmy z Darią w dość beztroskim tonie, jednak żegnając się z nią w okolicy dworca, miałam wrażenie, że jest dziwnie przygaszona. Zanim wsiadła do pociągu, zapytałam, czy ma jakieś problemy. Uśmiechnęła się blado i przecząco pokiwała głową.

– Nie, nie, naprawdę. Po prostu pomimo przemiło spędzonego popołudnia nie mogę przestać myśleć o tamtej nieszczęśnicy w kwiecistej sukience – powiedziała. – Czy można tak po prostu oszaleć? Pomyśl sama – w jednej chwili wysiada z dzieckiem z auta, w drugiej zaczyna wykrzykiwać jakieś upiorne kawałki o ogniu piekielnym. Zastanawiam się, kim jest, czy ktoś na nią czeka.

– Pewnie mąż – powiedziałam, a przyjaciółka posłała mi rozbawione spojrzenie.

– To akurat, kochana, nigdy nie jest aż takie pewne – rzuciła z przekąsem, a ja ponieważ przypomniałam sobie Tomasza, który zostawił ją z niespełna trzyletnim Adrianem w niecałe pięć lat od dnia ich wesela.

– Sorry, zapomniałam, że zanim związałaś się z Marcinem...

– Daj spokój, nie przejmuj się. Prawda jest taka, że mój były mąż to zwykły palant. – Daria lekceważąco machnęła ręką, pocałowała mnie na pożegnanie i zniknęła w tłumie podążających w stronę peronów spoconych i wyraźnie wykończonych upałem podróżnych.

13.

%Wiedziałam, że śpię, jednak nie mogłam się obudzić. W lepkiem od koszmarów śnie leżałam w łóżku samotnie, chociaż położyłam się wieczorem obok Łukasza. W sypialni było chłodno – zupełnie jak wtedy, kiedy w hotelowym pokoju w Egipcie przez przypadek nastawiłam klimatyzację na osiemnaście stopni. Skrzypnęły drzwi. Cichutko, ledwie słyszalnie. Jęk zawiasów pośrodku głuchoj nocnej ciszy zabrzmiał wyjątkowo złowieszczo. Usiadłam, opierając się o zagłówek, i z bijącym nierówno sercem wsłuchałam się w ciszę. Drzwi uchyliły się o kolejnych kilka centymetrów i do sypialni wślizgnęła się niewysoka, wychudzona postać w błyszczącym, ciemnym kombinezonie. Nie mogłam się ruszyć – czułam się jak kompletnie sparaliżowana, jakby mnie wmurowało. Intruz przystanął u wezłowia łóżka, nachylając się nad moją głową. Zauważyłam, że jego oczy hipnotycznie połyskują w ciemności, a twarz jest ściągnięta i wysuszona, niczym oblicze zbyt długo przebywającej na palącym słońcu starej kobiety. Otwarłam usta do krzyku, jednak wydobył się z nich tylko cichy skrzek.

„Wstań!” – usłyszałam gdzieś w mojej głowie, zupełnie jakby intruz porozumiewał się ze mną telepatycznie.

Rzuciłam głową, na oślep młócąc rękoma. Odzyskałam zdolność ruchu, jednak strach ścisnął mnie za gardło tak kurczowo, że ledwo mogłam oddychać.

– Idź sobie – wymamrotałam.

Istota w ciemnym kombinezonie wydała z siebie cichy, zaskakująco śmieszny pisk, który w jej zagadkowym języku równie dobrze mógł być śmiechem, co oznaką skrajnego poirytowania.

„Wstań!” – ponownie rozbrzmiało w mojej głowie.

Krzyknęłam, opędzając się rękoma od nocnego gościa. Stojąca na nocnej szafce wysoka szklanka z wodą spadła na podłogę, rozpryskując się na tysiąc drobnych kawałków.

„Wstań i wyjdź na zewnątrz”.

– Nie! – wrzasnęłam, podkulając kolana pod brodę.

Intruz wyciągnął dłoń, trzymając ją przez chwilę nad moją głową, niczym papież błogosławiący rozmodlone tłumy. Zauważyłam, że szczupłe, powyginane palce nocnego gościa łączy półprzezroczysta, cienka błona, a paznokcie ma zrogowaciałe, szaroniebieskie. Nie chciałam na niego patrzeć, jednak w jego dużych, lekko skośnych oczach było coś, co nie dawało mi wyboru. Nie potrafiłam oderwać od niego wzroku. Chłód gęstniał z minuty na minutę, otulał mnie, sączył się przez drzwi i uchylone okno. Trzęsłam się, nie mogąc wykrztusić słowa.

Obudziłam się nagle, z ochrypłym krzykiem siadając na łóżku. Świeżo wyprana pościel była zmięta i mokra od potu; strona, po której zwyczajowo sypiał Łukasz, była pusta. Boruta siedział na parapecie, wpatrując się we mnie zmrużonymi ślepiami. Zerwałam się z łóżka, stawiając bose stopy na drewnianej podłodze. Ból był nagły i ostry, jakby coś wbiło mi się w duży palec. Zapaliłam nocną lampkę, z niedowierzaniem przyglądając się skaleczeniu. Na podłodze, koło łóżka, połyskując w bursztynowym świetle nocnej lampki lśniły drobne odłamki stłuczonej szklanki. Owinęłam palec chusteczką i, kuśtykając, wybiegłam z pokoju.

– Łukasz! – krzyknęłam.

W kuchni było pusto. Nie było go też w salonie ani w łazience.

– Łukasz?!

Pojawił się sekundę później i objął mnie, przyciągając do siebie.

– Ktoś tutaj był – powtarzałam, drżąc i bliska płaczu.

Spojrzał na mnie z wyraźnym rozbawieniem, niczym ojciec uspokajający obudzone przez nagły koszmar przerażone dziecko.

– Daj spokój, pewnie kot cię obudził – powiedział.

– Kot? Jak wszedł do sypialni?

– Musiał się wślizgnąć, kiedy otwarłam drzwi, wychodząc na werandę. Hej, kicia. Co się dzieje? Uspokój się, cała się trzęsiesz. Nikogo tu nie było, od kwadransa siedzę na zewnątrz.

– Ktoś był w sypialni! – upierałam się.

Łukasz posłał mi zdumione spojrzenie, jednak nie powiedział ani słowa. Po prostu zaprowadził mnie do łóżka, otulił kocem i pocałował

na dobranoc.

– Na podłodze jest szkło – szepnęłam.

– Sprzątnę – powiedział, gładząc mnie po włosach. – No, już, połóż się. To tylko zły sen.

Zapytałam, która godzina.

– Druga dwadzieścia jeden.

„Druga dwadzieścia jeden? Więc musiałam obudzić się jakiś kwadrans po drugiej... Czemu ostatnio ciągle budzę się o tej porze? Czemu zrywam się dokładnie w momencie, w którym doszło w marcu do tamtego przekłętego wypadku?” – zastanawiałam się, wtulając głowę w poduszkę. Prawie zasypiałam, kiedy przypomniałam sobie o Borucie. Parapet był pusty, wciąż miałam jednak nieprzyjemne wrażenie, że czarny kocur obserwuje mnie z jakiegoś kąta.

14.

Maciek zjawiał się w „Emilówce” wczesnym popołudniem. Siedziałam na werandzie, usiłując nie myśleć o koszmarach minionej nocy, kiedy sąsiad zawołał mnie od furtki, machając trzymaną w rękę gazetą.

– Aneta już ją przeczytała, możesz później wyrzucić – powiedział, kiedy wyszłam mu naprzeciw.

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się, biorąc od niego poczytny babski magazyn.

Przez chwilę przyglądałam mu się, usiłując wysondować, z czym przychodzi, jednak nie potrafiłam zgadnąć. Zagadnęłam go o Anetę. Powiedział, że żona ma się dobrze, i szybko zmienił temat, pytając, czy mam chwilę.

– Odwiozłem ją do siostry i chciałbym pogadać.

– Jasne, siadaj. Mam mrożoną herbatę.

– Wolałbym piwo, jeśli to nie problem. Sobie też nalej, bo to nie będzie łatwa rozmowa. Powiedziałbym, że przyda ci się spora dawka wyobraźni, żeby w ogóle za mną nadażyć.

– O czym ty mówisz? – zdziwiłam się.

Przez chwilę myślałam, że sąsiad żartuje, ale jego łagodne piwne oczy były wyjątkowo poważne. Przyniosłam dwie butelki piwa i położyłam na stole otwieracz.

– Nie masz nic przeciwko picciu z gwinta?

Zapewnił mnie, że nic a nic, i usiadł w jednym z wiklinowych foteli na werandzie. Przez chwilę milczeliśmy – on zbierał myśli, otwierając obie butelki, ja usiłowałam zgadnąć, czego może dotyczyć ta nagła sąsiedzka rozmowa.

– Zacznę od tego, że pewnie za kilka minut uznasz mnie za jakiegoś czuba... Zeszłego lata próbowałam przeprowadzić tę samą rozmowę z Emilem, ale kompletnie mnie zignorował i obrócił wszystko w żart. Żebyś widziała, jaką miał minę. Chyba tylko z czystej grzeczności nie roześmiał mi się prosto w twarz, za co w sumie byłem mu wdzięczny.

– Miejmy nadzieję, że mam bardziej otwarty umysł. – Uśmiechnęłam się, upijając kilka łyków przyjemnie schłodzonego piwa.

– Miejmy nadzieję – powtórzył Maciej, w niemym toaście uderzając swoją butelką w tę trzymaną przeze mnie. – Chodzi o tę okolicę. Mieszkam tu od urodzenia i, wierz mi, to, co ci teraz powiem, to nie żaden chory żart. Dzieje się coś złego. Znowu.

– Coś złego? – Przyglądałam mu się coraz uważniej.

Wyglądał zwyczajnie – na pewno nie był pijany i z całą pewnością się ze mnie nie nabijał. W oczach miał powagę, a drgająca nerwowo szczeka jasno dawała do zrozumienia, że jest mocno zdenerwowany. Milczałam, czekając na dalszy ciąg jego niejasnych wywodów. Przeczesał palcami gęste kasztanowe włosy i spojrzał mi prosto w twarz.

– Oni wrócili, Natalia – powiedział w końcu.

– Kto? – Parsknęłam nerwowym śmiechem, bawiąc się zdjętym z butelki piwa kapslem.

– Może zrobmy to inaczej. Chodź, przejedziemy się po okolicy – rzucił, odstawiając nietknięte piwo na niski stół.

– Sama nie wiem... Nocą skaleczyłam się w duży palec i, prawdę mówiąc, trochę kuśtykam – wahałam się.

– Podjadę po ciebie autem – powiedział, najwyraźniej nie zamierzając łatwo ustąpić. – Natalia, to ważne. Muszę przynajmniej spróbować z tobą pogadać! Jeśli coś ci się stanie, a ja wcześniej cię nie ostrzeżę, nigdy sobie tego nie wybaczę! – Podniósł głos.

Wyglądał na skrajnie zdenerwowanego – jego lewą powieką zaczął szarpać jakiś tik, a palce bębniły po blacie niewielkiego stolika, przy którym siedzieliśmy.

– Muszę z tobą o tym pogadać, Natalia! Muszę, słyszysz?! Nie zabiorę ci wiele czasu – nalegał. – Po prostu przejedź się ze mną w pewne miejsce.

Przestałam ogarniać to, co do mnie mówi, zastanawiając się, czy aby na pewno Maciek, z którym przez ostatnie lata zjadłam jakąś tonę grillowanego mięsa, Maciek, który był w tych stronach najlepszym przyjacielem Emila, i Maciek, który zawsze wydawał mi się

rozsądnym, inteligentnym facetem, to ten sam gość, który siedzi teraz na mojej werandzie.

– Nie wiem, czy...

– Będę za parę minut. Zamknij dom i czekaj przed bramą – powiedział irytująco autorytatywnym tonem i zaraz potem zerwał się na równe nogi.

Wyglądał na skrajnie zdesperowanego i wydawał się kompletnie ignorować moją niechęć do rozmowy. Wzruszyłam ramionami w niemym geście rezygnacji. „Co mi właściwie szkodzi przejechać się z nim po okolicy?” – pomyślałam, narzucając na ramiona cienki niebieski sweter. Po kilku upalnych, dusznych dniach, znacznie się ochłodziło; temperatura spadła do jakichś siedemnastu stopni, a wilgotne powietrze, wiatr i siąpiąca od czasu do czasu mżawka potęgowały wrażenie chłodu.

Tuż przed czternastą wsiadłam do starego, zdezelowanego forda Maćka i ruszyliśmy wyboistą drogą w dół, w stronę miasteczka. Zbierało się na deszcz, nad okolicą wisały ciężkie, sinoszare, złowrogie chmury. Pomyślałam, że nieco przypominają scenerię jakiegoś niskobudżetowego horroru, i zachichotałam nerwowo, zerkając na Maćka. Prowadził skupiony na ciągnącej się przez las wąskiej drodze. Nie jechałam z nim pierwszy raz – czasem, kiedy nie miałam jeszcze samochodu, Maciej odwoził mnie na dworzec autobusowy i świetnie pamiętałam, że zazwyczaj, prowadząc, pogwizdywał, bębnił palcami w kierownicę albo podśpiewywał do wtóru z radiem. Tym razem jednak w samochodzie panowała ciężka cisza, a mój sąsiad sprawiał wrażenie wyjątkowo przygnębionego. Zapytałam, dokąd jedziemy. Nie odrywając oczu od szosy, mruknął, że zaraz zobaczą. Dziesięć minut później zjechał w jedną z pełnych kolein bocznych dróg i znacznie zwolnił, przyglądając się mijanym drzewom.

– Jeszcze jakiś kilometr – zakomunikował.

Na miejsce dotarliśmy tuż przed deszczem. Zaczęło kropić, kiedy Maciej zatrzymał samochód przy urokliwej starej kapliczce i wysiadł, żwawym krokiem ruszając wąską ścieżką.

– Nigdy tu nie byłam – stwierdziłam, kiedy udało mi się go dogonić.

Po obu stronach wąskiej ścieżyny rosły bujne pokrzywy i szybko pożałowałam, że nie przebrałam się w długie spodnie. Skaleczony nocą palec, który byle jak okleiłam resztką znalezionej w apteczce przylepca, pulsował i poboлеwał. W dodatku chciało mi się pić i łupało mnie w głowie.

– Maciek, czekaj – szepnęłam, zwalniając.

– Jeszcze kawałek – powiedział, nie oglądając się w moją stronę.

Ciężkie krople letniego deszczu zwiastowały nadchodzącą ulewę, co nie poprawiło mi humoru. „Co to za chaszcz?” – zastanawiałam się, rozglądając dookoła. Nie licząc kapliczki, koło której zostawiliśmy samochód, w okolicy nie było śladu ludzkiej ręki. Las, pola, wąska droga, którą co najwyżej przejeżdżał czasem jakiś traktor albo rower...

– Jesteśmy! – powiedział Maciej, ruchem ręki wskazując niewielkie, ogrodzone przerdzewiałym płotem pole.

Brama z czarnymi metalowymi sztachetami była lekko uchylona, jednak nie musiałam wchodzić do środka, żeby się zorientować, dokąd zabrał mnie sąsiad.

– Cmentarz – szepnęłam, przyglądając się porośniętym wysokim zielskiem, zaniedbanym nagrobkom.

Nagrobków było kilkanaście – od tych niewielkich, dziecięcych, aż po imponujące, rodzinne grobowce z granitu. Płyty obrastał mech. Część wyrytych na nich napisów zatarł czas i zła pogoda, jednak niektóre były jeszcze wyraźne. Przystanąłam przy jednym z nich i, mrużąc oczy, zdołałam rozszyfrować treść: „Aniela Cecylia Roch. Urodzona 1827, zmarła w 1831. Spoczywaj w pokoju, Aniołku”.

Maciej wszedł przez kutą bramę i ruszył w stronę na wpół zrujnowanej niewielkiej kapliczki z wytłuczonymi witrażowymi oknami.

– Dziwne... Często wybieraliśmy się z Emilem na wycieczki rowerowe, ale jakoś nigdy nie zauważyliśmy tego cmentarza. Czemu mnie tu przywiozłeś? – zdziwiłam się.

Lunęło, a sweter, który narzuciłam na ramiona, powoli przemakał.

– Możemy wrócić do samochodu? – zapytałam, mając niewielką ochotę na bezczynne tkwienie wśród ukruszonych zębem czasu

nagrobków zapomnianego cmentarza.

Rozcięty palec u nogi wciąż nieprzyjemnie pulsował, a wizja spędzenia kolejnych kilku minut pośrodku letniej ulewy nie wydawała mi się zbyt pociągająca.

– Jasne. – Maciek wzruszył ramionami.

Wyglądał na zawiedzionego, jednak bez sprzeciwu wyszedł z cmentarza i, torując mi drogę przez pełną pokrzyw ścieżkę, ruszył w stronę pozostawionego przy polnej drodze samochodu. Wsiadaliśmy do auta, kiedy ciemne niebo rozdarła srebrna błyskawica. Chwilę później nad okolicą głucho przetoczył się grzmot, a coraz bardziej zacięty deszcz zabębnił o dach samochodu. Maciek sięgnął na tylnie siedzenie i podał mi beżową męską bluzę.

– Załóż, nie siedź w tym mokrym swetrze.

Przebrałam się, nieco zażenowana faktem, że siedzę w samochodzie z przystojnym i w dodatku cudzym facetem.

– W tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym wybuchła tutaj cholera. Na tym cmentarzu spoczywają tylko ci, których zabiła epidemia – powiedział nagle Maciej.

– Zaraz, chcesz powiedzieć, że wszyscy ci ludzie...?

– Zmarli na cholere. Cmentarz jest oczywiście nieczynny prawie od dwóch wieków, a zapadającymi się w ziemię grobami opiekują się okoliczni zakonnicy. W każdym razie to tutaj zaczęło się to, o czym chcę ci powiedzieć. Było parne, pełne gwałtownych burz lato. Chodziłem wtedy do podstawówki. Właśnie odszedł od nas mój ojciec. Znalazł sobie jakąś owdowiałą babę w sąsiednim miasteczku i spakował manatki, nie do tego jednak zmierzam. Najpierw była burza – takiego gradu nie pamiętali nawet najstarsi mieszkańcy. Walił o dachy tak, że nie było w okolicy domu bez żadnych szkód. Ukruszył dachówki, powybił szyby, ściał w ogródku ukochane rośliny matki. Tego samego popołudnia piorun uderzył w starą drewnianą dzwonnice. Płonęła jak pochodnia i nie udało jej się już uratować. Po burzy przyszła wichura, która zerwała sąsiadom dach i powyrywała z korzeniami słabsze drzewa. Bojaźliwe stare kobieciny zapalały w oknach gromnice, struchlały ze strachu wargami szepcząc zdrowaśki. Aż nagle wszystko ucichło – z za ciężkich granatowych

chmur wyszło słońce, a po burzy nie było nawet śladu. Tyle że coś musiało się wtedy stać, bo nagle wszystko się zmieniło. Zaczęło się od zwierząt... całkiem oszalały. Psy szarpały się na łańcuchach, skowycząc całymi nocami, bydło zaczęła nękać choroba, której nijak nie potrafił zdiagnozować tutejszy weterynarz. W ciągu jednego miesiąca do tej pory spokojne domowe psiaki pogryzły szóstkę maleńkich dzieci i niemal na śmierć zagryzły staruszkę – kontynuował sąsiad.

Słuchałam, nie bardzo rozumiejąc, o czym on mówi. Gwałtowny deszcz bębnił o dach auta; zaparowały szyby.

– Ludzie zaczęli opowiadać mrozące krew w żyłach historie... Że czują się obserwowani przez ich własne zwierzęta i porozumiewają się z nimi telepatycznie. Że w okolicy obudziło się zło i coś czai się w lasach. Miesiąc po tamtej burzy zaginęła młoda ciężarna dziewczyna. Przez ponad tydzień szukało jej całe miasteczko – strażacy, księża, nowy lekarz, nastoletnie dzieciaki, staruszki, wszyscy. Każdy kto miał tyle siły, żeby wejść w las i szukać, przeczesywał teren. Matka zaginionej powiedziała, że dziewczyna nocą wyszła z domu do ogrodu i przepadła jak kamień w wodę.

– Nie znalazła się do tej pory? – zapytałam.

– Znalazła się. Na tym cmentarzu.

– Żywa?

– Nie. Ktoś żywcem wyjął z niej dziecko, a później...

– Maciek, przestań! Nie chcę tego słuchać! – krzyknęłam.

– Takie są fakty. To nie żadna legenda czy głupia miejscowa opowieść. Zmasakrowane ciało z bestialsko rozprutym brzuchem znalazł proboszcz, a lokalne gazety rozpisywały się o tym przez ładnych kilka miesięcy. Było mnóstwo spekulacji i kilku podejrzanych, jednak ostatecznie sprawa pozostała nierozwiązana.

– To straszne – szepnęłam, zapatrzona w spływające po przedniej szybie strugi ulewnego deszczu.

– Owszem, ale to dopiero początek. Kilka dni po odnalezieniu zwłok młodej matki ktoś zdewastował cmentarz. Powtykał do góry nogami drewniane krzyże, wyjął z ziemi kilka trumien i rozsypał kości po całym terenie wokół kaplicy. Ucierpiały zwłaszcza groby dziecięce, co

było strasznym ciosem dla okolicznych rodzin.

– Ktoś zniszczył trumny i porozsypywał kości? Przecież ci ludzie zmarli na cholere, nie bał się? Był chory psychicznie?

– Nie wiem. Tak samo jak nie wiem, czy zrobił to ktoś, czy coś.

– Coś? – zapytałam cicho.

Maciej w zamyśleniu pokiwał głową. Po chwili zaczął mówić dalej:

– Ludzie zaczęli panikować. Zjechali się dziennikarze, cmentarz na jakiś czas ogrodzono policyjną taśmą i pilnowano przez całą dobę, ale co to dało? W tym samym czasie w okolicy pojawił się wielki szary pies. Z wyglądu przypominał odrobinę wilczarza irlandzkiego, ale ci, którzy go widzieli, przysięgali, że jest o wiele większy. Istna bestia.

– Daj spokój, to jakaś bzdura – zachnęłam się.

– Słuchaj dalej, później ocenisz, czy to bzdura, czy nie.

– Byłeś wtedy dzieciakiem, Maciek! Ile miałeś lat?

– Jedenaście, i wierz mi – byłem na tyle duży, żeby zrozumieć, że coś się dzieje.

– Ale co się właściwie działo? Ktoś zdewastował cmentarz, z rąk szaleńca zginęła kobieta, po okolicy kręcił się duży pies, a burza zniszczyła dachy? Takie rzeczy się zdarzają, Maciek!

– To jeszcze nie wszystko. Tamtego lata nastoletni syn miejscowego nauczyciela zabił swojego pupila. To był owczarek niemiecki, piękne stworzenie. Niespełna trzyletni, z wesołym usposobieniem. Imponujące i wyjątkowo lubiane przez sąsiadów zwierzę. Chłopak też za nim przepadał, praktycznie byli nierozłączni. Aż tu nagle zabiera go do szopy i zabija siekierą. Walił na oślep, dopóki nie powstrzymał go ojciec. Podobno na starego też się wtedy zamachnął, ale szczęściem mężczyźnie udało się uciec.

– Nie wiem, czy chcę tego słuchać – szepnęłam.

– Przepraszam. W każdym razie powoli zmierzam do sedna. Chłopak zabił swojego ukochanego psa, a kiedy zapytano go dlaczego, powtarzał, że mu kazali. „Oni mi kazali” – mówił w kółko. W końcu wylądował w wariatkowie.

– Widocznie miał problemy psychiczne. Niektóre choroby umysłowe ujawniają się dopiero w wieku dojrzewania – powiedziałam, siląc się na lekki ton.

Nie chciałam być niegrzeczna, więc słuchałam, dając sąsiadowi szansę na wygadanie się, jednak cała ta rozmowa już dawno przestała mi się podobać.

– Może chorował psychicznie, a może nie... Jego ojciec przysięgał, że nigdy wcześniej nie miał z synem żadnych problemów. Podobnie było z tą małą od naszych sąsiadów, Ewą. Kiedy doszło do tamtej tragedii, właśnie skończyła piętnaście lat. Dziewczyna miała brata, trzyletniego, pucułowatego blondynka, którego uwielbiała. Dzieciak łąził za nią wszędzie, ale nigdy jej to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie – chętnie się nim zajmowała, wyręczając chorą na cukrzycę matkę. Aż pewnej nocy zabrała chłopca na spacer i utopiła w pobliskim jeziorze. Zgadnij, co powiedziała śledczym. „Oni mi kazali”...

– Oni, czyli kto?! – wybuchłam.

– Myślę, że już znasz odpowiedź, chociaż nawet w duchu boisz się przyznać, że wiesz... Pojawiają się raz na kilka lat. Zawsze zaczyna się od serii gwałtownych burz i dziwnych zielonych błyskawic. Później ludzie szaleją, okaleczają się, zabijają, miewają nocne koszmary, zaniki pamięci i bóle głowy. Gubią czas, nie pamiętają, co robili w ciągu dnia, stają się arogancy, zawistni, zazdrośni, małostkowi i okrutni. Aż nagle wszystko mija, żeby znowu wrócić po jakimś czasie. Pierwszy raz pojawili się, kiedy miałem jedenaście lat. Po czterech latach wrócili, później nie było ich przez dłuższy czas i w końcu znowu tutaj są. Ten nocny spacer Anety, te jej majaki... Co wam powiedziała? Bredziła bez sensu, prawda? To oni, Natalia! Wiem to ja i ci, którzy nie boją się uwierzyć w niewygodną prawdę. Reszta udaje, że nic złego się nie dzieje, mając nadzieję, że tym razem oni nie trafią do nich.

– Nie wierzę. To niemożliwe, to jakaś kompletna bzdura! Chcesz powiedzieć, że co? Że tę okolicę odwiedza UFO?

– UFO, obcy, kosmici, szarzy – nazywaj ich, jak chcesz. W każdym razie oni tu są i myślę, że już o tym wiesz.

– Czytałam kiedyś, że według egzorcystów i demonologów rzekomi „kosmici” to demony. Zwodnicze, złe duchy – przypomniałam sobie.

– To nie są żadne złe duchy! To są całkiem realne, cholernie

inteligentne istoty, które potrafią czytać w myślach i snach, rozkazywać samą siłą woli i wodzić ludzi za nos, jak pociągane na sznurkach marionetki! – krzyknął, wyraźnie wytrącony z równowagi.

– To nie ma żadnego sensu, Maciek. Odwieź mnie, proszę, do domu – powiedziałam zmęczonym głosem.

Nagle z całą wyrazistością przypomniał mi się nocny koszmar i stojący nad moim łóżkiem intruz, jednak nie miałam najmniejszej ochoty myśleć o tym teraz. „To tylko zły sen, nic niezwykłego. Wszystkie te paranormalne bzdety są dobre dla żadnych taniej sensacji znudzonych nastolatków” – powiedziałam sobie.

– Jasne. Odwiozę cię do domu, ale pamiętaj – ostrzegalem cię. Wyjedź stąd, zostaw to miejsce, wróć do Bielska! Ratuj się, póki jeszcze możesz. Jeśli cię sobie upatrzą, już nie uciekniesz...

Nagle pomyślałam o Borucie. To dziwne hipnotyczne spojrzenie, ta jego ciężka obecność... Do tego złe sny, ciągły niepokój i poczucie bycia obserwowaną. I tamto popołudnie, kiedy znalazłam na podjeździe mój ubłocony po same klamki samochód, nie mogąc sobie przypomnieć, co zrobiłam z czasem i gdzie, do cholery, byłam. „Czy to możliwe, że... Chryste, chyba tracę rozum” – uśmiechnęłam się krzywo, ściągając Maćkową bluzę. W samochodzie zrobiło się duszno, a bijący o dach deszcz przyprawiał mnie o klaustrofobię.

– Jedźmy już – poprosiłam.

Maciek uruchomił silnik i wolno ruszył, w milczeniu wpatrując się w zalaną strugami deszczu wąską drogę.

– Nie uwierzyłaś mi, prawda? – zapytał cicho.

– Szczerze? Nie. I wybacz, bo znamy się nie od dziś, ale zaczynam się zastanawiać, czy nie żyjesz ostatnio w zbyt dużym stresie. Cięża Anety, nadgodziny w pracy...

– Bla, bla, bla. Nie jestem wariatem, Natalia! Oni wrócili i módl się, żebyś nie przekonała się o tym na własnej skórze! – krzyknął. – Poczytaj sobie o tym, pogrzeb w sieci, oglądnij parę dokumentów. Oni są realni, tak jak ty czy ja, a miliony ludzi na świecie otwarcie przyznają się do kontaktu z nimi!

– Serio? Ja osobiście jakoś nikogo takiego nie znam – powiedziałam.

– A odnośnie do tych dokumentów... widziałam kiedyś wywiad z

jakimiś amerykańskimi lekarzami. Obserwowali ludzi twierdzących, że nocą porwało ich UFO. Pacjenci byli przekonani, że jakieś niskie szare istoty wchodzą nocą do ich sypialni i byli pewni, że są całkowicie przebudzeni, jednak EEG bezdyskusyjnie wykazywało, że śpią. Spali, rozumiesz? Byli pogrążeni we śnie, chociaż wydawało im się, że wszystko to dzieje się na jawie. Według lekarzy to zwykły paraliż senny, a nie żadne uprowadzenia, Maciek! Takiemu stanowi towarzyszą halucynacje i uczucie skrajnego przerażenia, jednak nie ma to nic wspólnego z żadnymi paranormalnymi zjawiskami!

– Naprawdę jesteś tego taka pewna? Powiedz mi szczerze, nie miewasz ostatnio koszmarów?! Nie czujesz się obserwowana? A może już ich widziałaś? Przypomnij sobie, Natalia! – wrzasnął.

Znowu pomyślałam o poprzedniej nocy. Upiorna świadomość czyjejś obecności w sypialni, rozbita szklanka, rozcięta na szkle noga, majacząca nad łóżkiem szara postać o hipnotyzującym spojrzeniu. To tylko sen czy rzeczywiście działo się coś koszmarnego? Może jestem jak jedna z tych irytujących bohaterek marnych horrorów? Wszyscy dookoła już wiedzą, że zanoszą się na coś strasznego, a ja zaprzeczam, nie chcąc przyjąć do wiadomości ogromu szaleństwa, które czai się w pobliżu?

– Oni wrócili – powtórzył sąsiad tonem, w którym usłyszałam pewność i zacięcie. – Wrócili, i wiesz co? Tutaj nie chodzi tylko o uprowadzenia, chociaż one też się zdarzają. Tutaj chodzi o czyste zło. Oni nami sterują, nie rozumiesz tego?! Ci wszyscy ludzie... Myślisz, że naprawdę zrobiliby te okrutne rzeczy, gdyby oni im nie kazali?!

– Ale czemu?! Czemu mieliby nam to robić?! – krzyknęłam.

– Są różne teorie. Ale skoro nie chcesz o tym rozmawiać... – Sąsiad nagle nabrał wody w usta, co przyjąłam z niekłamaną ulgą.

Przez chwilę milczeliśmy. W końcu zapytałam Maćka, czemu w takim razie stąd nie wyjedzie.

– Skoro wiesz o tym od lat i tak bardzo się ich boisz, czemu nie wyjedziesz? Sprzedaj dom, zabierz rodzinę i zacznijcie wszystko od nowa.

– Od nowa?! Dziewczyno, nie stać mnie na wyjazd! Dom jest w opłakanym stanie, w dodatku wielkości pudełka od butów. Za jego

równowartość mógłbym w mieście kupić co najwyżej budę dla psa! Mamy długi i gdyby nie teściowie, pewnie zupełnie byśmy sobie nie poradzili. Nie stać nas na przeprowadzkę, jeśli to właśnie zasugerowałaś! – huknął na mnie Maciej i atmosfera w samochodzie zrobiła się nieprzyjemna.

Odwróciłam głowę, wpatrując się w zalane deszczem boczne okienko. „Czy to możliwe, że nasza przyjaźń właśnie się skończyła?” – zastanawiałam się. Nie znałam Maćka od tej strony, nie miałam pojęcia, jakie bzdury lęgną mu się gdzieś pod czaszką. Nienawidziłam ludzi ogarniętych jakimiś paranoicznymi wizjami i nie wiedziałam, czy nadal chcę się z nim spotykać. Nie chodziło nawet o to, że uważałam jego słowa za kompletną bzdurę. Ja chyba zwyczajnie zaczęłam się go bać...

Wyjechaliśmy na drogę, kierując się w stronę Lisiego Wzgórza. Maciej milczał, w końcu przypomniał sobie coś jeszcze i zwolnił.

– O, albo tamte dziewczyny! Kojarzysz te poniemieckie bunkry, prawda? Spotkały się tam tamtego lata we trzy. Najlepsze przyjaciółki, nierozłączne od piaskownicy. Wróciły tylko dwie – w zakrwawionych ubraniach, z obłędem w oczach. Kilka godzin później znaleziono ciało trzeciej i stało się jasne, że zginęła z rąk koleżanek. Ta, która cokolwiek potrafiła z siebie wykrztusić, powiedziała, że oni im kazali. Druga przestała mówić i do dziś nie odezwała się ani słowem. Jest w szpitalu, dwadzieścia kilometrów stąd. Od lat nie opuściła oddziału dla szczególnie niebezpiecznych pacjentów... Wiem, nie wierzysz mi, ale słuchaj dalej. Tego samego lata kochający mąż i ojciec udusił żonę i córkę drutem, którym montował na balkonie antenę, a sam powiesił się na strychu. Para Niemców w średnim wieku chciała zabić autostopowicza – chłopak cudem im uciekł, z niedowierzaniem opowiadając wszystko policji. Ludzie błąkali się nocami po okolicznych lasach, doszło nawet do aktu kanibalizmu. Młody właściciel cukierni, dwudziestoośmioletni, świeżo upieczony ojciec ślicznej dziewczynki, włamał się do domu czterdziestosiedmioletniej sąsiadki, która czasem pomagała jego żonie przy dziecku, i zgwałcił ją ze szczególnym okrucieństwem. Kiedy policja pytała go dlaczego, powiedział...

– Że to oni mu kazali – przerwałam mu, z trudem tłumiąc ziewanie.
– Słuchaj, rozumiem, że każda atrakcyjna turystycznie okolica ma swoje ponure legendy, ale przestań wciskać mi takie kity! – podniosłam głos.

– Krzyczysz? Tracisz nad sobą panowanie, bo w końcu zdołałem do ciebie dotrzeć czy może jesteś jedną z tych, którzy nie uwierzyliby w UFO, nawet jeśli ich statek wylądowałby na trawniku przed ich domem?

– Naprawdę wierzysz w te bzdury?! – wybuchłam.

– Mniejsza o to, zostawmy już tę dyskusję – mruknął Maciek.

Wjechaliśmy na Lisie Wzgórze i sąsiad odwiózł mnie pod samą bramę „Emilówki”.

– Posłuchaj, przepraszam, jeśli na ciebie nakrzyczałem, ale...

– Nic się nie stało, dzięki za przejażdżkę – powiedziałam, oddając mu bluzę.

Zanim wysiadłam na deszcz, poprosiłam jeszcze, żeby pozdrowił ode mnie Anetę.

– Przekażę jej – obiecał.

– To cześć – rzuciłam i z nieukrywaną ulgą trzasnęłam drzwiczkami od jego samochodu.

Rozpadało się na dobre. Weszłam na werandę i przecesałam palcami wilgotne włosy. Przez dłuższą chwilę obserwowałam, jak sąsiad rusza, wolno wycofując, w końcu otworzyłam frontowe drzwi i, leciutko kuśtykając, weszłam do domku. Wstawiając wodę na herbatę, pomyślałam, że to cholernie smutne. W żaden sposób nie chciałam go zranić, jednak z pewnością się na mnie obraził, a ja straciłam jednego z niewielu przyjaciół, jakich miałam w tej okolicy...

15.

W czwartek wczesnym przedpołudniem postanowiłam samotnie wybrać się do miasteczka po większe zakupy. Łukasz od rana był w Zielonym Łabędziu. Pomagał matce w ostatnich przygotowaniach do sobotniego wesela, które miało się odbyć w ich zajeździe. I chociaż bardzo lubiłam robić większe sprawunki wspólnie z moim facetem, po krótkim namyśle zdecydowałam, że kupię przynajmniej najpotrzebniejsze rzeczy. Lodówka świeciła pustkami, w „Emilówce” skończyło się właściwie wszystko – od mleka, masła i jogurtów po pastę do zębów, papierowe kuchenne ręczniki i rumiankowy szampon, którego używał Łukasz. Nie mieliśmy też wina, chociaż jeszcze kilka tygodni wcześniej barek był pełen.

Darowałam sobie śniadanie. Nie miałam ochoty na reszkę podeschniętego słonecznikowego chleba, zresztą ostatnimi czasy apetyt raczej mi nie dopisywał, a śniadania, wbrew zaleceniom lekarzy, nie były moimi ulubionymi posiłkami. Wzięłam tylko szybki prysznic, wypiłam paskudną kawę, bez kropli mleka, i zamknęłam dom, wychodząc w pośpiechu.

W samochodzie było duszno. Opuściłam szybę od strony kierowcy i wolno, niecałą trzydziestką, wyjechałam na wąską zakurzoną drogę. Mijając posesję sąsiadów, mimowolnie zerknęłam na ich ogród, jednak ani Macieja, ani Anety nie było na zewnątrz. Przez chwilę korciło mnie, żeby wpaść do sąsiadki pod nieobecność jej męża i odrobinę pociągnąć ją za język w kwestiach poruszonych ostatnio przez Maćka, ale czułam, że to raczej marny pomysł. Wciąganie ciężarnej kobiety w taką drażliwą dyskusję wydawało mi się dość ryzykowne. Nie mówiąc już o tym, że to w żadnym wypadku nie była moja sprawa...

W drodze do centrum miasteczka, mijając poczerńiałe, miejscami wypalone do fundamentów zgliszcza domu starego Józefa, zwolniłam. Widok strawionej niedawnym pożarem chałupy był upiorny i zaczęłam się zastanawiać, co tak właściwie się wtedy stało z na wpół

zrujnowanym budynkiem. Zwarcie instalacji? Celowe podpalenie? Czy może ten nieszczęsny niedopalek, o którym wspomniał Łukasz? Ponoć staremu Józefowi zdarzało się już nie raz przysnąć z żarzącym się papierosem w dłoni... Tak czy inaczej, żal było myśleć o prawie osiemdziesięcioletnim staruszkę czekającym już chyba tylko na śmierć w jakimś zaniedbanym, ciasnym jak dziupla mieszkaniu socjalnym. „Starych drzew się nie przesadza” – mawiała moja babcia. Będąc młodą dziewczyną, nie rozumiałam, o co jej chodziło, wszelkie możliwe zmiany wydawały mi się kuszące. Zbliżając się powoli do czterdziestki, zaczęłam znacznie lepiej pojmować jej słowa. Człowiek w pewnym wieku nie powinien być wykorzeniany...

Do niewielkiego śródmieścia dotarłam spocona i senna – rano obudziłam się przed piątą i chociaż byłam prawie nieprzytomna z niewyspania, nie udało mi się już zasnąć. Przed zjazdem do Zielonego Łabędzia zwolniłam. Zdecydowałam, że wpadnę przywitać się z moim facetem. Przy okazji podniosę ciśnienie jego bazyliżkowatej matce, a jak wiadomo, drobna złośliwość pod jej adresem może z kolei poprawić humor mnie. Parking przed Łabędziem o tej porze był niemal pusty. Zatrzymałam się obok zdezelowanego ciemnoszarego opla, należącego do młodego barmana. Przy okazji przypomniałam sobie, że chłopak ma na imię Kamil i chyba jestem w jego typie. Ostatnio zerkał na mnie zza barowego kontuaru tak nachalnie, że zdołał wkurzyć Łukasza. „Zazdrośnik” – uśmiechnęłam się i żwawym krokiem ruszyłam w stronę tylnego wejścia do zajazdu.

Gorące powietrze buchnęło mi w twarz, jeszcze zanim dobrze zdążyłam wygramolić się z auta. Dzień wcześniej wróciły upały. Rozgrzane powietrze niemal falowało, słońce zdawało się prażyć mocniej niż kiedykolwiek tego lata. Wachlując się trzymaną w rękę listą zakupów, pchnęłam wiodące do olbrzymiej kuchni ciężkie drzwi i weszłam do środka, mrużąc oczy w jaskrawym świetle palących się jarzeniówek. Mirka siedziała tyłem do mnie, obierając jarzyny. Skulona nad koszem, do którego wrzucała obierki, wydała mi się jeszcze bardziej zgarbiona niż zwykle, prawie zaszczuta. Cała jej sylwetka zdawała się krzyczeć: „Nienawidzę tu być!” i po raz kolejny zrobiło mi się jej żal. Jak na dziewiętnastoletnią dziewczynę niewiele

było w niej życia... Stałam w progu, niezdecydowana, co dalej. Na drętwą, niezręczną pogawędkę z niechętną mi Mirką nie miałam większej ochoty, z drugiej jednak strony skoro już tutaj byłam, chociaż na chwilę pogadałabym z Łukaszem...

Gdzieś wewnątrz lokalu trzasnęły drzwi. Na parking, za moimi plecami ktoś urywanie zatrąbił. Usłyszałam też chrobot żwiru pod kołami samochodu i czyjeś wesołe pogwizdywanie. Mirka wrzuciła do miseczki kolejną porcję obranych warzyw i schyliła się po następną marchewkę. Matki Łukasza nie było w pobliżu, jego samego też nigdzie nie widziałam. Chciałam się wycofać, niepostrzeżenie znikając, kiedy kobieta ukazała się w zasięgu mojego wzroku. Nie widziała mnie, podobnie jak Mirka, gdyż stała do mnie tyłem.

– Jak ty to obierasz, idiotko?! – warknęła na córkę, brutalnym kopniakiem spychając ją z niewysokiego drewnianego taboretu.

Mirka niezgrabnie zebrała się z podłogi i bliska płaczu, z poddańczo spuszczoną głową czmychnęła w kąt olbrzymiej kuchni.

– Będziesz się tak tu kręcić?! Do roboty się jakiejś konkretnej zabierz! – huknęła na nią czerwona na twarzy matka. – No już, przydaj się na coś, cholero! – dodała, trzęsąc galaretowatym drugim podbródkiem.

Dziewczyna jeszcze bardziej się skuliła, dosłownie jakby chciała zapaść się pod ziemię, tymczasem starsza kobieta ruszyła w ślad za nią, pchnęła ją na ścianę i posapując, zmęczona upałem i własną tuszą, kazała jej się wynosić.

– Żadnego z ciebie pożytku, pokrako jedna! Kible idź chociaż posprzątać, zanim ludzie się zejda! Wszędzie smród i brud, cholera jasna! Człowiek dwójkę dzieci wychował i żadnego z nich pożytku! Temu tylko baby w głowie, ta ma dwie lewe ręce! No już, rusz się! – warknęła kobieta, z całej siły uderzając córkę trzymaną w rękę chochlą.

Dziewczyna głośno się rozplakała i usiłując zatamować lecącą z nosa krew, wybiegła z kuchni. W pierwszym odruchu chciałam ruszyć jej na ratunek, czułam jednak, że raczej by sobie tego nie życzyła. Świadomość, że byłam mimowolnym świadkiem całej tej sceny, byłaby pewnie dla niej jeszcze bardziej upokarzająca. Wciąż stojąc do

mnie tyłem, matka Łukasza szpetnie zaklęła, rzuciła chochlę na kuchenny blat i zajrzała do jednego ze stojących na kuchence olbrzymich garnków. Starając się poruszać tak cicho, jak tylko potrafiłam, cofnęłam się o dwa kroki. Miałam nadzieję umknąć tylnymi drzwiami, zanim upiorna baba mnie dostrzeże, jednak kucharka była szybsza. Odwróciła się nagle, jakby jakiś szósty zmysł powiedział jej, że stoję tuż przy wyjściu.

– A ty tu czego?! Łukasza nie ma! Miętosisz się z nim całymi nocami i jeszcze ci mało?! – huknęła na mnie, chwytając za chochlę.

Widać była jej ulubionym orężem w walce z córką, niedoszlą synową i całym złem jej ograniczonego, zaściankowego świata...

– Poszła stąd, ale już! Wywłoka! – wrzasnęła i ruszyła w moją stronę.

Jak na panujący w kuchni zaduch, swoją kolosalną tuszę i wiek szła całkiem raźnie. Z każdym krokiem komicznie trzęsło jej się podgardle, a duża, ciemna plama na białym kuchennym fartuchu przypominała zaschniętą krew. „Krew”, która pewnie była pomidorowym przecierem, w obecnej sytuacji wyglądała jednak całkiem realnie. Była jakieś cztery metry ode mnie, kiedy zrozumiałam, że zaraz mnie uderzy. Przez chwilę byłam tak zszokowana, że nie mogłam się ruszyć. Po prostu tkwiłam pośrodku pełnego mdłych kuchennych wyziewów pomieszczenia i z niedowierzaniem gapiłam się na matkę Łukasza. W końcu na gumowych nogach wymknęłam się przez uchylone metalowe drzwi prosto na parking, niemal biegiem ruszając w stronę mojego pozostawionego w pełnym słońcu auta. Popłakałam się dopiero w samochodzie – łzy upokorzenia, wściekłości i wstydu spływały mi po rozgrzanych upałem policzkach.

„Wywłoka... Naprawdę zasługuję na taką łatkę czy może chora z nienawiści do mnie matka Łukasza zagalopowała się w słowach, których teraz żałuje?” – myślałam, wyjeżdżając na drogę. „Oni wrócili” – przypomniałam sobie nagle słowa Macieja. I chociaż wiedziałam, że to absurdalne, przez całą drogę do delikatesów zastanawiałam się, czy to możliwe, że sąsiad miał jednak rację. Czy jest taka opcja, że w pięknej zalesionej okolicy obudziło się coś, co wyzwala w ludziach najgorsze instynkty?

Na Lisie Wzgórze wróciłam rozdrażniona, spocona i wykończona. Wiedziałam, że powinnam popracować, a przynajmniej zabrać się za porządki, ale spotkanie z matką mojego chłopaka zupełnie mnie rozstroiło. Część popołudnia beczynnie spędziłam w łóżku, część na werandzie. I chociaż mówiłam sobie, że mam prawo do odpoczynku, czułam, że zmarnowałam kolejny dzień.

Łukasz zjawił się przed siedemnastą. Przywiózł zupę, sałatkę i kupione po drodze cynamonowe bułki, co wyjątkowo mnie rozczuliło. Ostatnio stale robił dla mnie coś miłego i chyba zaczęłam się przyzwyczajać do jego ciągłej troskliwej opieki.

– Jak ci minął dzień? – zapytał, kiedy piliśmy zrobioną przeze mnie lemoniadę.

– Marnie – powiedziałam szczerze.

Uniósł brwi i położył rękę na moim kolanie.

– A konkretniej? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Po prostu męczy mnie ten upał. Chociaż chyba nie powinnam narzekać. Przykładowo, Aneta jest w znacznie gorszej sytuacji. – Uśmiechnęłam się na myśl o ciężarnej sąsiadce.

Na zupełnie niewinną wzmiankę o Anecie Łukasz dziwnie się zmieszał, jakbym przypadkiem dotknęła jakiegoś drażliwego tematu. Nie potrafiłam sobie jednak odpowiedzieć na pytanie, o co mogło mu chodzić...

– Też nieswojo wyglądasz. Stało się coś? – zapytałam.

– Gorąco jest – mruknął w odpowiedzi i ściągnął koszulkę.

Uśmiechnęłam się i przez jedną cudownie błogą chwilę upajałam się widokiem jego nagiego opalonego torsu. Łukasz w milczeniu dopił lemoniadę i zebrał ze stolika wysokie szklanki, którymi zainteresowała się jakaś wyjątkowo uciążliwa osa. Zabrałam się za zbieranie talerzyków po cynamonowych drożdżówkach, ale zaprotestował:

– Zostaw, ja posprzątam.

Poszłam za nim do kuchni i usiadłam na stole. Łukasz umył szklanki i wciąż zatopiony we własnych myślach, zabrał się za talerzyki. Po tym, co przedpołudniem zobaczyłam w Zielonym Łabędziu miałam

ochotę zapytać go, czy jego matka często znęca się nad Mirką, jednak nie znalazłam w sobie tyle odwagi. Temat był drażliwy, a sprawa zdecydowanie delikatna. Nie należałam do rodziny, nawet dobrze nie znałam Mirki. „Czy powinnam w ogóle się w to mieszać?” – myślałam. Pod wieczór postanowiłam, że zdecydowanie nie, i chociaż długo jeszcze dręczyły mnie wyrzuty sumienia na myśl o skulonej na taborecie, zapłakanej dziewczynie, powiedziałam sobie, że i tak nic na to nie poradzę. Za to tego, że nazwała mnie wywłoką, prędko tej starej raszpli nie wybaczę!

16.

Leżeliśmy na łóżku – nadzy, zmęczeni upałem i senni po solidnej dawce ostro zaserwowanego popołudniowego seksu. Łukasz bawił się moimi włosami, nawijając sobie na palec długie ciemne kosmyki. W kuchni grało radio – puszczana tego lata na okrągło Lady Gaga śpiewała o złym romansie. Wpadające do sypialni ostre słońce rozleniwiało, wysysając z nas resztki energii. Ziewnęłam i poprawiłam sobie pod głową poduszkę. Łukasz sięgnął po leżące na nocnej szafce nadziewane czekoladki i wsunął mi do ust tę o kawowym smaku, moją ulubioną. Nie zdążyłam zjeść, kiedy wygrzebał z bombonierki jeszcze tę z wanilią i kazał mi otworzyć usta.

– Aaaa! No, jedz, bo się roztopi!

– Przestań, bo zacznę podejrzewać, że jesteś jednym z tych zafascynowanych grubymi babami wypasaczy. Wiesz, że odkąd jesteśmy razem, przytyłam trzy kilo? – Roześmiałam się.

– Kochanego ciała nigdy za wiele – sprzedał mi wyświechtane powiedzenie i podparł się na łokciu, wyglądając przez zalane słonecznym światłem okno. – Słyszałaś już, co mówią w miasteczku? Podobno tę nastoletnią córkę letników zgwałcił miejscowy nauczyciel chemii. Facet przetrzymywał ją w lesie, dopóki jakimś cudem mu nie uciekła. Strach pomyśleć, co by z nią było, gdybyś akurat tamtędy nie przejeżdżała.

– Pomógłby jej ktoś inny – powiedziałam cicho.

Smakowałam kolejną czekoladkę, starając się nie myśleć o pełnym niewysłowionej rozpaczycy zwierzęcym krzyku, który wydała z siebie przed szpitalem znaleziona przeze mnie na szosie dziewczyna.

– O czym myślisz? – zapytał Łukasz.

– O niczym wesołym.

– Nie mogłaś bardziej jej pomóc, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

– Łatwo się mówi – szepnęłam, nie zamierzałam jednak podejmować dalszej dyskusji.

Kilka dni wcześniej skontaktowali się ze mną letnicy z Warszawy,

rodzice tamtej dziewczyny. Dziękowali mi bardzo wylewnie, wciąż wyraźnie zszokowani tym, co się stało. Ona zaczęła płakać. On, ponury, milczący, z zaciśniętymi pięściami, wyglądał tak, jakby miał ochotę komuś przywalić, wyrównując z wszechświatem rachunki za to, co spotkało jego rodzinę. Rozmawialiśmy przez krótką chwilę i nie było to łatwe spotkanie. Zanim się pożegnaliśmy, zaproponowali mi całkiem sporą sumę za to, że pomogłam ich córce tamtego dnia na szosie. Nie przyjąłam jednak ani grosza, czułabym się z tym fatalnie. Zrobiłam w końcu to, co chyba każdy zrobiłby na moim miejscu – odwiozłam do szpitala przerażoną, zakrwawioną nastolatkę.

Łukasz wsunął sobie do ust kolejną czekoladkę. Wyglądał jak dzieciak, który na grubo przed świętami dorwał się do schowanych przez matkę łakoci, i nie mogłam się nie uśmiechnąć. O okienną szybę tłukła się wyjątkowo irytująca tłusta mucha. W myślach wydałam na nią wyrok, obiecując sobie, że ukatrupię ją w drodze do kuchni, i przekreśliłam się na drugi bok. Łukasz pocałował mnie w ramię, wsunął dłoń między moje uda i leciutko ugryzł mnie w szyję. Tym razem kochaliśmy się wolno, niespiesznie. Po wszystkim, wtuleni w siebie i senni, przez dłuższy czas leżeliśmy w kompletnym milczeniu.

– Nie sądzisz, że ostatnio zaskakująco wiele się dzieje? – odezwał się w końcu on. – Nie żebym nakręcał się jakimiś wyssanymi z palca plotkami. W końcu gwałty zdarzają się tu niemal co roku. Trzy lata temu jacyś pijani przyjezdni dorwali tę małą kelnerkę, teraz ta sprawa z córką letników. O, i jeszcze ta brunetka pracująca parę lat wcześniej na stacji benzynowej. Wracała z pracy, kiedy ją dopadł ten bydlak. No, ale z drugiej strony ludzie mówią coraz dziwniejsze rzeczy...

– Fakt – przyznałam. – Niektórzy mają nawet całkiem ciekawe teorie. Maciej twierdzi, że w okolicy pojawiają się obcy. Ponoć sterują naszymi umysłami, robiąc sobie z miasteczka swój prywatny plac zabaw – powiedziałam, kładąc się na skraju łóżka, gdzie prześcieradło było bardziej schłodzone niż zmięta jasnoróżowa poszwa pode mną.

– Daj spokój! Maciej ma na tym punkcie fioła, odkąd skończył jedenaście lat. Każdy w okolicy wie, że to czubek. Sympatyczny, niemniej jednak czub. Bandytyzm jest wszędzie. Wystarczy włączyć dowolny program informacyjny, żeby do woli nasłuchać się wszelkich

możliwych okropności. – Łukasz najwyraźniej wolał wierzyć w racjonalne wytłumaczenie brutalnych incydentów.

– Nie wiedziałam, że Maciej już w dzieciństwie miał obsesję na punkcie obcych. Nigdy nie mówiłeś, że podchodzi do tego tak serio – zdziwiłam się.

– Nigdy nie było okazji – powiedział Łukasz, całując mnie w ramię.

– Co powiesz na kolejną porcję figli?

– Za gorąco – mruknęłam, siadając na łóżku.

Pomimo że niecałe dwie godziny wcześniej brałam trzeci tego dnia prysznic, czułam się spocona, nieświeża i zmięta. „Wywłoka” – przypomniałam sobie epitet, który usłyszałam od matki Łukasza, i znowu zachciało mi się płakać. „Czemu ta kobieta aż tak mnie nienawidzi?” – zastanawiałam się, poprawiając włosy. Sięgały już niemal do połowy pleców i w takie gorące dni jak ten miałam ochotę obciąć je na krótko, prawie „na chłopaka”. Kiedyś tak lubiłam; w czasach, gdy dużo pływałam i pracowałam w gazecie, nie mając wiele czasu na ich poranne układanie, nosiłam krótką fryzurę z zadziornie postrzępioną grzywką. Zapuściłam je dopiero, kiedy poznałam Emila, i bardziej dla niego niż dla siebie układałam je co rano w efektowne hollywoodzkie fale.

– Ładnie pachniesz – wymruczał Łukasz, błędząc rękoma po moim brzuchu.

– Zostaw, cała się lepię – zaprotestowałam, ale nie słuchał.

Przyciągnął mnie do siebie i, gładząc wewnątrz moich ud, szeptał mi na ucho pikantne świństewka. Boruta wszedł do sypialni, kiedy się całowaliśmy. Lekko wskoczył na parapet, usadowił się pomiędzy niewielką beżową donicą z paprotką a stojącym po drugiej stronie starym miedzianym świecznikiem i, mrużąc ślepią, przyglądał mi się, dopóki nie zamknęłam oczu, całkowicie poddając się pulsującej fali rozkoszy.

– Wiesz, co mówią o czarnych kotach? – szepnął Łukasz kilka minut później, kiedy leżeliśmy objęci, z głowami na jednej poduszce, splecionymi nogami i bijącymi w zawrotnym tempie sercami.

– Że są czarne?

– Że są narzędziem szatana. – Zarechotał i wychylił się w stronę

nocnej szafki, sięgając po stojącą tam wodę. – I oczywiście przynoszą pecha – dodał.

– Aleś wymyślił. Co kraj, to inny zabobon. Podobno w Anglii to białe koty są uznawane za pechowce. Wiedziałaś, że w starożytnym Egipcie za zabójstwo kota groziła kara śmierci? Daj mi trochę wody.

Łukasz podał mi butelkę i zerknął na zegarek.

– Powinienem się zbierać. Na osiemnastą umówiłem się z Sebastianem.

– Odwołaj, nie mam ochoty na samotną kolację – poprosiłam.

Powiedział, że i tak musi jechać do miasteczka, i wstał, rozglądając się za wrzuconymi pod łóżko bokserkami.

– Słuchaj, a może zabierzesz się ze mną? Skoczę do Sebka, załatwię matce parę rzeczy i zjemy razem kolację. Dam się nawet zaciągnąć do konkurencji – podobno w piątki w Borsuku dają całkiem dobre steki.

– Steki w piątek? Muszą się tam stołować sami katolicy. – Zaśmiałam się, zakładając znaną pod poduszką satynową koszulkę. – Jedź sam, powinnam coś napisać.

– Jak chcesz – powiedział.

Pomyślałam, że nie wygląda na szczególnie zawiedzionego i trochę mnie to ubodło. Obserwowałam, jak krząta się po sypialni, tymczasem Boruta nie spuszcza ze mnie wzroku – mrużąc ślepią, rytmicznie uderzał ogonem w okienną szybę, a jego czarna jak smoła sierść lśniła w promieniach wpadającego przez okno słońca.

– Ten czort tak się na ciebie gapi, że robię się zazdrosny – zażartował Łukasz.

– Czasem ten jego wzrok przyprawia mnie o dreszcze – przyznałam.

– Bo chociaż twierdzisz, że nie wierzysz w zabobony, odrobinę się pewnie naszego czarnego koteczka boisz, co? – droczył się ze mną, przeczesując palcami gęste jasne włosy.

– Nie żartuj – parsknęłam, chociaż w tym, co mówił, było ziarno prawdy.

Czasem, budząc się w nocy, zapalałam lampkę, zastanawiając się, czy kot zdołał wślizgnąć się przez uchylone sypialniane drzwi i nie siedzi akurat na komodzie, wpatrując się w nasze łóżko. Nie znałam zbyt dobrze zwyczajów tych zwierząt, jednak od początku wydawało

mi się dziwne, że Boruta tak niewiele sypiał. Zupełnie jakby tego nie potrzebował...

– Dobra, będę się zbierał! – Łukasz pocałował mnie w usta, dopił resztkę mineralnej i wyszedł z sypialni.

Kot wciąż siedział na parapecie, wodząc za mną przymkniętymi ślepiami.

– Zjesz coś? – rzuciłam w jego stronę, spinając włosy znaną na nocnej szafce klamerką.

– Poproszę o tuńczyka i odrobinę mleka – odpowiedział Łukasz, zniechęcając się w uchylonych drzwiach sypialni. – Nie miałem pojęcia, że wdajesz się z Borutą w pogawędki. Liczyłaś na to, że ci odpowie?

– Spadaj, dzieciaku! – Rzuciłam w niego poduszką.

Zabrał swój zegarek i wyszedł, głośno rechocząc. Parsknęłam śmiechem i posłałam skotłowane łóżko, zastanawiając się, jak wykorzystać resztę popołudnia. Zarzekałam się, co prawda, że zasiądę do pisania, jednak upał tak mnie rozleniwił, że pogłośliłam radio, nalałam sobie wina i usiadłam na sofie, nie mając nawet tyle siły, żeby sprzątnąć ze stołu po przygotowanym przez Łukasza obiedzie.

17.

Dzień później obudziłam się z bólem głowy, kompletnie rozbita.

- Chyba wybiorę się pobiegać – powiedziałam, wchodząc do kuchni.
- Strasznie dziś jestem niemrawa...

Łukasz siedział przy stole, bawiąc się swoją komórką. Nawet nie oderwał wzroku od wyświetlacza, co nieco mnie ubodło.

- Ktoś dzwonił? – zapytałam. – Wydawało mi się przed chwilą, że z kimś rozmawiasz.

Ziewnął, dopił swoją kawę i odłożył telefon na stół.

- Obudziłem cię? Sorry. Mirka dzwoniła, ma do mnie sprawę. Wpadnie tutaj za parę minut. Nie masz nic przeciwko?

- Jasne, że nie – skłamałam.

Prawdę mówiąc, niespodziewana poranna wizyta jego siostry była ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzyła. Przepraszam, przedostatnią. Gorzej mogłoby być jedynie w przypadku wizyty jego upiornej mamuni...

- Przebiorę się – powiedziałam, tłumiąc ziewanie.

Nie tak dawno wyzwana przez rodzicielkę mojego faceta od wywłok, nie miałam zamiaru przyjmować Mirki w kusym satynowym szlafroczku. Niestety, mleko już się rozlało. Nie zdążyłam zrobić nawet kroku, kiedy na podjazd przed „Emilówką” zajechał mały, ciemny samochód, z którego wysiadła siostra Łukasza. Pomyślałam, że wygląda na podminowaną. Szybkim krokiem ruszyła w stronę naszych frontowych drzwi, nerwowo grzebiąc w swojej torebce. Zauważyłam, że ubrała się wyjątkowo starannie – jasną sukienkę bez rękawów zdobił fantazyjny naszyjnik z turkusowo-beżowych koralików, a spięte zazwyczaj byle jak mysie włosy rozpuściła i ułożyła w misterne loki. Na nogach miała eleganckie kremowe sandały na grubym koturnie i pomyślałam, że wygląda całkiem atrakcyjnie. W porównaniu do zaniedbanej dziewczyny, którą widywałam do tej pory nad miską z obierkami, tym razem naprawdę zadała szyku.

Nie zdążyła zapukać, kiedy Łukasz otworzył jej drzwi.

– Cześć, siostra. Wchodź – powiedział, wpuszczając ją do środka.

Obserwowałam ich w milczeniu, zastanawiając się, czy tylko mi się wydaje, czy jak na rodzeństwo nie byli zbyt zżyci. On traktował ją grzecznie, jednak z wyczuwalnym dystansem; ona była jakaś spięta, prawie podenerwowana. Przygryzła wargi i nerwowo poprawiła włosy.

– Hej, Mirka – powiedziałam, ruszając w jej stronę.

Wyciągnęłam do niej rękę, ale udawała, że nie dostrzega gestu.

– Dzień dobry – odburknęła tylko, z wyraźną ciekawością rozglądając się po domku. – Więc tutaj sobie pomieszkujesz – syknęła, przyglądając się namalowanemu przez uczelnianą przyjaciółkę Emila obrazowi. – Miłe gniazdko. Nie ma to jak znaleźć sobie babkę z kasą, co? – dodała kąśliwym tonem i cała sympatia, jaką w ostatnich dniach do niej poczułam, momentalnie przepadła.

– Zostawię was samych – powiedziałam lodowatym tonem.

Mirka nie zareagowała. Za to Łukasz wyglądał na lekko rozdrażnionego. Posłał mi przepaszający uśmiech i oboje zniknęli w kuchni. Usłyszałam jeszcze, jak mój facet pyta siostrę, czy napije się kawy, i zamknęłam się w sypialni.

Przebrałam się szybko. Sportowe spodenki, czerwona koszulka na ramiączkach, ulubione adidasy – pięć minut później, nie żegnając się z naburmuszoną Mirką, niepostrzeżenie wymknęłam się z domku. Trawnik wciąż był nieskoszony. Ciesząc się cudownie rześkim porankiem, ruszyłam w stronę lasu. Nie biegałam od dnia, w którym natknęłam się na tajemniczy krąg o nadpalonych krawędziach, jednak tego akurat ranka nie czułam żadnego niepokoju. Ruszyłam wolnym truchtem, mówiąc sobie, że czubki drzew mógł opalić piorun, a tajemniczy okrąg zrobiły pewnie dla zabawy miejscowe dzieciaki. Wystarczyły przecież zapałki i odrobina podpałki do grilla... Upał jeszcze nie męczył, jednak dzień był już ciepły i słoneczny. Zbiegłam ze stromej skarpy i ruszyłam w stronę polany, na której czasem urządzaliśmy sobie z Emilem pikniki. Biegałam, dopóki ciało nie odmówiło mi posłuszeństwa, a ból w nadwreżonej niedawno nodze nie zrobił się zbyt silny. W końcu opadłam na rozgrzaną słońcem

trawę, pośrodku urokliwej dużej polany i leżałam z zamkniętymi oczyma, wsłuchana w odgłosy lasu, pieszczona słońcem i zwyczajnie szczęśliwa. Nie myślałam o niczym. Żadna z moich myśli nie krążyła wokół „Emilówki”, Łukasza, zamkniętego na głucho mieszkania w mieście, marcowego wypadku czy byłych związków.

Leżałam, ciesząc się promieniami porannego słońca na twarzy, kiedy gdzieś za moją głową nagle trzasnęła gałąź, a spłoszone ptactwo śmignęło w niebo, kołując pomiędzy koronami drzew. Zerwałam się na równe nogi, z bijącym sercem oglądając się za siebie.

– Oj, od razu widać, że pannica z miasta! Własnego cienia się boi! – Stary pan Feliks, który lubił sobie czasem urządzać poranne wędrówki po Lisim Wzgórzu, zarechotał. – Pochwalony! Co tam u was słyhać, pani Natalio? – zapytał, podchodząc bliżej.

Mimo zapowiadającego się upału miał na sobie grubą flanelową koszulę w pomarańczowo-beżową kratę, dżinsy z długimi nogawkami i podniszczony filcowy kapelusz. Wyglądał w nim odrobinę jak przemierzający swego czasu Alaskę poszukiwacze złota ze starych amerykańskich filmów. Powiedziałam, że wszystko u nas dobrze i szybko się pożegnałam – stary Feliks jak zawsze podszedł zbyt blisko, niemiłosiernie cuchnął czosnkiem i gapił mi się w dekolt, co pomimo całej sympatii, jaką zawsze go darzyłam, stanowiło mało strawną mieszankę.

– Do widzenia! – rzucił, w żartobliwym geście dotykając dwoma palcami runda kapelusza.

Pomachałam mu i zawróciłam w stronę domu. Upał zdawał się wzmacniać z minuty na minutę i, prawdę mówiąc, byłam skonana, pomimo że zbyt wiele nie przebiegłam. Zbliżając się do „Emilówki,” miałam nadzieję, że Mirki już nie będzie, i widać Bóg był tego ranka łaskawy, bo po jej aucie na podjeździe nie było już śladu. Łukasz też gdzieś pojechał – zniknęło jego szare kombi i na placyku przed domem została jedynie moja samotna czerwona toyota. Weszłam do środka, zaparzyłam sobie kawę i z filiżanką w rękę przygotowałam pachnącą wanilią kąpiel. Woda była idealna, nie za gorąca, ale przyjemnie ciepła. Zanurzyłam się po samą szyję, podłożyłam sobie pod głowę ręcznik i z przymkniętymi oczyma cieszyłam się kąpielą.

Moczyłam się, marząc o niebieskich migdałach, kiedy w przedpokoju cicho skrzypnęła podłogowa deska. Zastygłam w bezruchu i, wstrzymując oddech, wpatrzyłam się w uchylone łazienkowe drzwi.

– Łukasz? – szepnęłam, kurczowo zaciskając dłonie na emaliowanym obramowaniu wanny.

Cisza.

Siedziałam tak może minutę, która wydawała mi się wiecznością, kiedy ponownie usłyszałam wyraźne skrzypnięcie podłogi. Zupełnie jakby jakiś intruz, wolno skradając się na palcach, szedł w stronę łazienki.

– Łukasz, to ty? – zapytałam szeptem, chociaż świetnie wiedziałam, że to nie mógł być on.

Wchodząc do domu, zamknęłam za sobą frontowe drzwi. Gdyby niespodziewanie po coś wrócił, usłyszałabym odgłos otwieranego zamka...

Skrzypnęła kolejna deska, zza uchylonych drzwi doszedł jakiś nieprzyjemny chrobot. Jakby ktoś lub coś drapało pazurami o podłogę. Pomyślałam o kocie. Czy kocur jest na tyle ciężki, żeby pod jego krokami ugięła się drewniana podłoga? Szczerze w to wątpiłam, jednak innego wyjaśnienia nie potrafiłam znaleźć. Wyszłam z wanny, gwałtownie rozchlapując dookoła pachnącą wanilią wodę. Nogi miałam jak z waty, ręce mi drżały. W pośpiechu wycierałam się dużym frotowym ręcznikiem, kiedy coś z całej siły pacnęło o łazienkowe okno. Krzyknęłam, wpatrując się w szybę. Wyglądała normalnie. Żadnych zarysowań, śladów uderzenia, plam. Skrzypienie podłogi ustało i w domu zapadła cisza. Cisza, która powinna być kojąca, a wydawała mi się... grobowa. Wychyliłam się zza łazienkowych drzwi i, wstrzymując oddech, zerknęłam na korytarz. Pusto. Nigdzie nie było widać Boruty. Niewielki dom zdawał się drzemać, odrętwiały od panującego na zewnątrz upału, rozleniwiony i cichy.

Włożyłam zawieszony na łazienkowych drzwiach czerwony szlafrok i na palcach przeszłam do przedpokoju. Gwałtownym ruchem otwarłam drzwi, wychodząc na ganek. Nikogo. Obeszłam dom, przyglądając się łazienkowemu oknu, w które przed paroma

minutami coś uderzyło, jednak nie znalazłam pod nim niczego, co mogłoby spowodować taki głuchy łoskot. Żadnych martwych ptaków, gałązek, drobnych kamieni. Nic. Jedyne wysoka, sprężysta trawa, której z całą pewnością nikt ostatnio nie podeptał.

– Kurwa mać, to jest jakiś obłąd – szepnęłam, na palcach wracając w stronę werandy.

Wchodziłam na ganek, kiedy ktoś zawołał mnie po imieniu. Maciek... Skrzywiłam się, niechętnie do niego machając. Po naszej ostatniej rozmowie był ostatnią osobą, z którą miałabym ochotę gadać, on jednak nie czekał na zaproszenie, tylko pchnął uchyloną bramę i ruszył w moją stronę.

– Cześć, sąsiadko. Błada jakaś jesteś – zauważył, wchodząc na werandę.

– Coś mnie wystraszyło – mruknęłam, nie wdając się w szczegóły.

Uśmiechnął się pod nosem, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?!”, i przyszło mi do głowy, że być może to on rzucił czymś w łazienkowe okno, żeby śmiertelnie mnie nastraszyć. Czemu miałby to robić, nie wiedziałam. „Może żeby udowodnić swoje chore rojenia na temat kręcących się po okolicy obcych?” – pomyślałam, uważnie mu się przyglądając. Wyglądał zwyczajnie. W eleganckiej jasnej koszulce i spranych dżinsach, z zaczesanymi gładko kasztanowymi włosami sprawiał wrażenie wypoczętego i całkiem normalnego. „Jeśli tak miałby wyglądać niepoczytalny wariat, świat byłby zaiste niebezpiecznym miejscem. Jak rozróżnić obłąd od normalności, skoro szaleńcy sprawiają wrażenie zwyczajnych eleganckich i całkowicie spokojnych ludzi?” – pomyślałam.

Maciej powiedział, że wpadł tylko na chwilę. Ciaśniej owinęłam się połami czerwonego szlafroka i ruszyłam przodem, wpuszczając go do domu.

– Napijesz się kawy? – zapytałam.

– Dzięki, już piłem.

– Jak Aneta?

– Ma dość upałów, poza tym dobrze. Słuchaj, przejdę do rzeczy, bo widzę, że jestem nie w porę – powiedział, przesuwając wzrokiem po dekolcie mojego szlafroka.

Dziwnie się poczułam; powiedziałabym, że dość niekomfortowo. Najchętniej zostawiłabym go na moment samego i poszła się przebrać, jednak dałam sobie spokój. „Im prędzej powie czego chce, tym szybciej się wyniesie” – zdecydowałam, dziwiąc się, że jeszcze kilka dni wcześniej Maciej należał do grona moich naprawdę dobrych znajomych. Teraz widziałam w nim jedynie szaleńca na siłę usiłującego zaszczepić w innych wiarę we własne obłąkańcze teorie.

– Obejrzyj sobie. Znalazłem je w pokoju Zuzi. – Maciej otworzył trzymaną pod pachą kolorową teczkę z gumką i położył na stole kilkanaście dziecięcych rysunków.

Chwycałam za pierwszy z brzegu, przyglądając mu się w milczeniu. Jak na stworzony ręką pogodnej kilkulatki, którą przecież świetnie znałam, obrazek wydał mi się zaskakująco ponury – dziecko użyło jedynie czarnych, brązowych, szarych i zgnięzielonych kredek.

– Widzisz? Teraz mi wierzysz? – Maciej wskazał palcem na jeden z obrazków, prosząc, żebym dobrze mu się przyjrzała. – Stoją nad jej łóżkiem! Sama zobacz! A tutaj przy studni za domem i przy naszym płocie!

Przyjrzałam się pierwszemu rysunkowi, w duchu przyznając, że może robić wrażenie. Skulona w niewielkim łóżeczku postać z wplecionymi w jasne włosy wstążkami musiała być Zuzią. Nad jej łóżkiem stały trzy niewysokie, pomalowane na szaro kreatury z ukośnymi czarnymi oczyma i długimi, szponiastymi palcami. Maciej nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby usiłował wysondować, jak mocne wrażenie zrobiły na mnie malunki jego córki. Odłożyłam kartki na stolik i przygryzłam usta, zastanawiając się, co mogłabym mu powiedzieć, żeby raz na zawsze dał mi święty spokój z tą swoją obsesją.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Jesteś ojcem nie od dziś, powinieneś wiedzieć, że dzieci miewają wybujałą fantazję – zaczęłam.

Maciej spojrzał na mnie, jak na kompletną wariatkę.

– Wybujałą fantazję?! Naprawdę w to wierzysz? I niby czemu moja córka miałaby fantazjować o czymś takim?! Dziewczyno, ocknij się! Oni tu są! – krzyknął.

Z politowaniem pokiwałam głową i oddałam mu gruby plik kartek.

– Powiedziałaś ci już jasno i wyraźnie – nie chcę więcej o tym gadać. Pozdrów ode mnie Anetę i miej na tyle oleju w głowie, żeby nie wtajemniczać jej w te swoje pochrзанione teorie. Nie teraz, okay? W końcu na dniach ma rodzić.

– Myślisz, że Aneta o tym nie wie?! – Podniósł głos.

– Maciej, proszę cię! – wybuchłam.

Przeczesał palcami włosy, jakby nie potrafił podjąć decyzji, czy wyjść, czy dalej natrętnie mnie przekonywać. W końcu wstał i zebrał do teczki przyniesione przez siebie rysunki.

– Jasne, rozumiem. Pójdę już. Prawdę mówiąc, mocno się na tobie zawiodłem. Jeśli nie przekonują cię rysunki Zuzi, sam już nie wiem, jak do ciebie dotrzeć – stwierdził.

Pomyślałam, że sąsiad zaczął mi trochę przypominać zapamiętanych z dzieciństwa świadków Jehowy, krążących od domu do domu, od drzwi do drzwi. Większość ludzi nie chciała z nimi rozmawiać, ale i tak wracali, pewni swego, konsekwentni, denerwująco nachalni i ugrzeczniejsi. Maciej wyszedł, zabierając ze sobą obrazki córeczki. „Biedne dziecko – pomyślałam. – Przy takim ojcu może się nabawić bardzo realnych problemów. Stany lękowe, jakieś chore obsesje, paranoja?”. Nie znałam się na dziecięcej psychologii, ale z całą pewnością wiedziałam jedno – Maciek oszalał i, co gorsza, wydawało mu się, że to nie on, ale cały świat dookoła jest szalony.

Kilka minut później włączyłam laptop i napisałam mejla do Emila.

Od: mirabelka457@wp.pl

Do: e-mil.beynar@wp.pl

Cześć, E-mil!

Wybacz, że od razu przejdę do rzeczy, ale mam jedno dość istotne pytanie: Czy w Twojej obecności Maciej zachowywał się ostatnimi czasy dość dziwnie? Boję się, że popada w jakąś psychozę... Ubzdurał sobie rzeczy, o jakich głupio mi nawet pisać. Obcy, uprowadzenia, zło czające się w okolicy. Czy kiedykolwiek zauważyłeś, że dzieje się z nim coś niepokojącego? Zaczynam się o niego martwić. Aneta za kilka tygodni rodzi, a on straszy mnie lądowaniem kosmitów na Lisim Wzgórzu;-)

PS Co u Ciebie? U mnie nic nowego, aż wstyd się przyznać...
Pozdrawiam
N.

Odpisał wczesnym wieczorem, na zadane przeze mnie pytanie odpowiadając w dość niefrasobliwym tonie.

Od: e-mil.beynar@wp.pl
Do: mirabelka457@wp.pl

Hej!

Rzeczywiście Maciej parę razy wspomniał mi o zagadkowych wydarzeniach ze swojego dzieciństwa i rzekomych zjawiskach, do których obecnie dochodzi ponoć w okolicy. Jednak nie potrafię jednoznacznie powiedzieć, czy jego zachowanie zakrawa już na poważne problemy psychiczne. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, poza tym nie znam go na tyle dobrze, żeby ryzykować jakiegokolwiek domorośle diagnozy. Kilkanaście wypitych wspólnie piw, parę spotkań przy grillu i jakieś błahe sąsiedzkie pogawędki nie wystarczą chyba, żebym pokusił się o jakąkolwiek głębszą ocenę jego problemów... Jeśli martwisz się o Anetę, pogadaj z nią, jasno i szczerze zarysowując problem, nie sądzę jednak, żeby z jego strony cokolwiek jej groziło.

PS U mnie wszystko okay. Mam nadzieję, że niebawem pozwolą mi samodzielnie operować, bo jak do tej pory mogę jedynie asystować, co zaczęło mnie już męczyć. Miami ciągle gorące, pełne kubańskich rytmów i smaków (nauczyłem się robić pastę soffrito i picadillo a la habanera – duszoną wołowinę w pomidorach i cebuli). Dodatkowo mój sąsiad, dziewiętnastoletni barman wychowany na Karaibach, co piątek, w ramach sąsiedzkich spotkań przy winie, serwuje mi przysmaki kuchni kreolskiej, co skończyło się już kilkoma\$\$ ma przybranymi kilogramami i niekończącym się apetytem na coraz ostrzejsze przyprawy...

Trzymaj się! Odezwę się niebawem.
E.

Chwilę później skasowałam otrzymanego od Emila mejla, żeby przypadkiem nie natknął się na niego mój facet. Łukasz zrobił się ostatnio dziwnie zazdrosny o moją przeszłość...

Odkurzając dom, pomyślałam, że to dziwne. „Jak to możliwe, że dwie pozostające w związku osoby mogą aż tak odmiennie odbierać rzeczywistość? Będąc z Emilem, byłam pewna, że blisko przyjaźnimy się z Anetą i Maćkiem, tymczasem on w swoim mejlu wyrażał się o sąsiedzie tak, jakby był jedynie naszym dalszym, mało istotnym znajomym” – zastanawiałam się, zapuszczając się z wyjącem jak potępieniec starym odkurzaczem w głąb zakurzonego pokoju.

18.

Obierałam sobie jabłko, kiedy zajrzała do mnie Aneta. Była czerwona na twarzy, co przypisałam zaawansowanej ciąży i wpływowi morderczego upału, niczym jednak nie potrafiłam wytłumaczyć jej zaczerwienionych oczu i nosa.

– Płakałaś? – zapytałam, zaskoczona i zaniepokojona jednocześnie.

W milczeniu potwierdziła, potakująco kiwając głową, i weszła do środka, szurając lekko opuchniętymi w kostkach nogami. Zapytałam, czy czegoś się napije, ale odmówiła. Patrzyłam, jak siada w fotelu, rękoma oparła się o podłokietniki i, posapując, umościła się wygodnie, bezwiednie gładząc okrągły brzuch.

– Co się stało? – Usiadłam na kanapie i posłałam jej krzepiący uśmiech.

„Może to tylko głupie hormony?” – pocieszałam się.

Aneta przez chwilę milczała, w końcu gwałtownie się rozszlochała.

– On nigdy mi tego nie wybaczy – powiedziała, ocierając zaczerwienione oczy rękawem cienkiej turkusowej tuniki.

– Pokłóciliście się z Maćkiem?

– Coś w niego wstąpiło... Siedzieliśmy w kuchni. Zuzia rysowała przy stole, w telewizji leciał jakiś głupawy teleturniej. I nagle Maciej zaczął krzyczeć. Że jestem dziwką, że nie potrafi zapamiętać, że nigdy nie pokocha tego dziecka...

– O czym ty mówisz? – szepnęłam, kompletnie zdezorientowana.

Wbiła wzrok w dywan, nagle zawstydzona własnymi wynurzeniami, w końcu szepnęła, że dziewczynka, która niedługo ma się urodzić, nie jest córką Maćka.

– Przecież powtarzał, że mi wybaczył i że wychowa to dziecko jak swoje, będzie je kochał. A teraz wyzwiał mnie od najgorszych i tak strasznie krzyczał... Zupełnie jakby nagle przeistoczył się w kogoś innego, w kogoś, kogo nie znam.

Siedziałam bez ruchu, zszokowana i odrobinę zażenowana. Dyskusja zdecydowanie była intymna, poza tym bałam się o Anetę – wyglądała

na skrajnie zdenerwowaną i pomyślałam, że z tego wszystkiego jeszcze zaczniesz rodzić. Złość przyszła nagle, na myśl o Maćku robiącym awanturę ciężarnej żonie. W przyływie bezsilnej złości zacisnęłam ręce w pięści.

– Gdzie jest Zuzia? – przypomniałam sobie nagle o małej i spojrzałam w kierunku widocznej przez okno drogi.

– W ogrodzie. Wymknęła się, kiedy zaczęliśmy na siebie wrzeszczeć. Zapytałam o ojca dziecka. Głupio się czułam, wyciągając z Anety takie rzeczy, z drugiej jednak strony to ona przyszła do mnie na zwierzenia.

– Nie wiem, czy jestem gotowa, żeby o tym mówić, Natalia – szepnęła, wyraźnie unikając mojego wzroku.

Przyglądałam jej się w milczeniu, aż nagle poraziła mnie szokująca i zupełnie niespodziewana myśl: „Co jeśli ojcem jest Emil?”. Wzdrygnęłam się, przygryzając wargi. „To przecież niemożliwe, absolutnie nie do pomyślenia! Kiedy Aneta zaszła w ciążę, byliśmy jeszcze razem. Emil by mi tego nie zrobił, nie on!” – uspokajałam siebie.

Sąsiadka milczała, bezwiednie gładząc się po brzuchu. Zapytałam, czy podrzucić ją do rodziców, ale odmówiła.

– Posiedź sobie tutaj, ja pójdę poszukać Zuzi – powiedziałam, wstając.

Złapała mnie za nadgarstek, zaskakująco mocno zaciskając na nim palce.

– Jeśli powiem ci, kto jest ojcem, znienawidzisz mnie – szepnęła.

Wyrwałam rękę, pąsowiejąc na twarzy. „Więc jednak Emil?!”.
– Jak mogłaś? Miałam cię za przyjaciółkę! Przecież wtedy byliśmy jeszcze razem! – krzyknęłam, tracąc nad sobą panowanie.

Aneta spojrzała na mnie jakoś dziwnie i z trudem uniosła się z fotela.

– To Łukasz – sapnęła.

– Co? – wyjąkałam, kompletnie zbita z tropu.

– Łukasz – powtórzyła cicho, opierając się o komodę.

Wyglądała tak, jakby coś ją bolało.

– I chyba nie powinnaś mieć do mnie żalu, przecież wtedy nawet go

nie znałaś... – dodała łagodnym tonem.

– Myślałam, że...

– Emil nigdy by ci tego nie zrobił – weszła mi w słowo. – Odrzuciłaś faceta, który kochał cię do szaleństwa, i będziesz miała w życiu mnóstwo szczęścia, jeśli kiedykolwiek poznasz drugiego takiego. Emil to mężczyzna, jakich już się nie spotyka – dodała.

Minutę później wyszła. Zaproponowałam, że ją odprowadzę, że poszukam z nią Zuzi, pogadam z Maćkiem, postaram się załagodzić atmosferę, ale nie chciała nawet o tym słyszeć.

– To mój mąż, poradzę sobie – ucięła dyskusję, zostawiając mnie w przedpokoju.

Usiadłam na niskiej drewnianej skrzyni, usiłując uporządkować w myślach to, czego właśnie się dowiedziałam.

„Łukasz jest ojcem dziecka Anety?! Czemu nic mi nie powiedział? Mieli romans czy może to była tylko jedna niewiele znacząca noc? Spotykają się nadal? – pomyślałam, od razu wykluczając ostatnią opcję. – Aneta jest w zaawansowanej ciąży, nie w głowie jej chyba teraz łóżkowe harce...”.

Gniew przyszedł nagle. Spojrzałam na leżące przy szafie stare tenisówki Łukasza i zacisnęłam dłonie w wyrazie bezsilnej wściekłości. Praktycznie u mnie mieszkał. Sypiał w moim łóżku, jadaliliśmy przy jednym stole i mówił, że jest wobec mnie szczerzy, nie potrafiąc jednocześnie przyznać się, że ma na boku dziecko z mężatką? I to z kim! Z kobietą, która mieszka jakieś sto pięćdziesiąt metrów ode mnie i którą od lat uważam za przyjaciółkę! Wiedziałam, że dramatyzuję, jednak w pewnym momencie poczułam się podwójnie zdradzona. Oboje w jakiś sposób mnie okłamali i było mi z tym źle.

W przyływie dzikiej wściekłości zaczęłam pakować Łukasza. Koszule, dżinsowe spodnie, kilka motoryzacyjnych magazynów, jakieś porozrzucane po domu kosmetyki, bokserki i przetarte na piętach skarpety – wszystko jak leci ładowałam do dużej podróżnej torby, którą mój facet trzymał na dnie szafy. Kiedy skończyłam, nalałam sobie kieliszek wina i szybko sięgnęłam po drugi.

– Skurwiel! – zakląłam.

Owszem, kiedy był z Anetą, jeszcze nawet się nie znaliśmy. Nie zmieniało to jednak faktu, że zataił przede mną naprawdę istotną rzecz. Będzie ojcem. Pierwsze dziecko to zawsze silne emocje, nawet jeśli sytuacja wyglądała tak, jak wyglądała.

– Cholerny, zakłamany kutas! – rzuciłam mięsem i prosto z butelki dopiłam resztkę ohydnie ciepłego, cierpkawego wina.

„Niech no tylko się tu zjawi! Już ja sobie z nim pogadam!”.

19.

Łukasz wrócił godzinę później, już w przedpokoju wpadając na swoje bambetle.

– Natalia? Co się dzieje? – Przesunął nogą swoją na wpół zapakowaną torbę i ruszył w moją stronę. – Co jest?

– Jedno słowo – Aneta. Coś ci to mówi? – syknęłam.

Ze świstem wypuścił powietrze, przyglądając mi się w milczeniu.

– Nic nie powiesz?! – wybuchłam. – Tygodniami popijałam sobie z nią przedpołudniową kawkę, zagryzając ją drożdżowym ciastem, nie mając pojęcia, że mieszkam pod jednym dachem z dumnym tatusiem jej dziecka!

– Uznałem, że to nie twoja sprawa – powiedział.

– Uznałeś, że to nie moja sprawa?! – krzyknęłam. – Nie no, to są chyba jakieś jaja! To się, kurwa, w głowie nie mieści!

– To była jedna noc, zupełny przypadek. Piłem z kumplami piwo, oglądaliśmy mecz. Aneta pojawiła się wtedy w Zielonym Łabędziu, jakaś dziwnie przygaszona, i samotnie usiadła przy barze. Tankowała w takim tempie, że godzinę później niemal spadła z wysokiego krzesła i zaczęła dostawiać się do jednego takiego palanta. Podszedłem do niej, splawiłem gościa, zabrałem dziewczynę na zaplecze, zaproponowałem kawę z cytryną. Nieco otrzeźwiała i poprosiła, żebym nauczył ją grać w bilard. Do północy bawiliśmy się w gronie moich znajomych, później powiedziała, że będzie już jechać. Zaprotestowałem, bo nie powinna prowadzić w takim stanie. Podwiózłbym ją, ale pożyczyłem akurat auto Sebastianowi. „W biurze jest kanapa, możesz tam przekimać. Obudzę cię koło piątej, zanim zamkniemy” – powiedziałem. Zgodziła się, wyglądała na zadowoloną. Powtarzała, że pokłóciła się z mężem, a córka jest u jej rodziców. Przyniosłem jej poduszkę, znalazłem w schowku wełniany koc. Wtedy praktycznie się na mnie rzuciła, wpijając się w moje usta. Byłem podпиты, szumiało mi w głowie, a ona do brzydkich przecież nie należy. Cycki wylewały jej się z dekoltu, na tyłku miała jakąś

świecąca mini i pomyślałem sobie, czemu nie?

– Czemu nie?! Rzeczywiście wyjątkowo skomplikowany tok myślowy! A nie przyszło ci do głowy, jak możesz namieszać w jej życiu?! Była mężatką, matką kilkulatki! – odparowałam.

– Była ostro napaloną pijaną laską, ochoczo gmerającą mi w rozporku, okay?! Mów sobie, co chcesz, ale wtedy potrafiłem myśleć tylko i wyłącznie o tym! Przespaliśmy się. Rano wlałem w nią kolejną porcję kawy i pojechała. Zanim wyszła, obiecała, że słowem nikomu o tej nocy nie wspomni, i tyle ją widziałem. A kilka tygodni później przyjechała do Łabędzia, blada i zapłakana, oznajmiając mi, że jest ze mną w ciąży. Wpadłem w panikę. Powiedziała, że nigdy nie będzie chciała alimentów, a dziecko wychowa i uzna za swoje jej mąż. Aż tu nagle przychodzi do ciebie i o wszystkim ci opowiada?! – warknął Łukasz, w przyływie nagłej furii waląc pięścią w ścianę.

– Cóż, na to wygląda. Może miała dość beczynnego przyglądania się, jak mnie okłamujesz? – rzuciłam ostrym tonem.

– Jak cię okłamuję?! Rozumiem, że to niezręczna sytuacja, ale chyba nie muszę ci się tłumaczyć?! W końcu nawet się wtedy nie znaliśmy...

– Ale teraz się znamy! Nieważne... Zostawmy to. Po prostu zabierz swoje rzeczy i się stąd wynoś!

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Natalia! Dobrze mi z tobą, nie psuj tego. – Łukasz zrobił krok w moją stronę, ale się cofnęłam.

– Ja mam tego nie psuć?! O czym jeszcze mi nie powiedziałeś, co?! A tak swoją drogą, czy Maciek wie? Może powinien zacząć sypiać z siekierą pod łóżkiem? Może ja też powinnam zacząć się bać? Nie chciałabym któreś nocy obudzić się w płonącym domu!

– Uspokój się, okay? Maciej podobno o nas nie wie. Aneta powiedziała mu, że przespała się z jakimś letnikiem z Opola.

– Sprytnie – mruknęłam.

Łukasz podszedł bliżej i pomimo moich protestów objął mnie, zasypując pocałunkami.

– Przepraszam. Może rzeczywiście powinienem ci powiedzieć... Chociaż z drugiej strony... to sprawa między mną a Anetą. Nie chciałem zdradzać jej sekretu, uznałem, że to nie fair.

– Cóż... Wygląda na to, że Aneta cię wyręczyła.

– Wiesz, co wydaje mi się najśmieszniejsze? Przypadkowo zostałem ojcem, bo pożyczyłem kumplowi furę. Gdybym odwiózł ją wtedy do domu, zamiast pościelić jej na zapleczu, do niczego by pewnie nie doszło.

– Dobry zwyczaj, nie pożyczaj. – Uśmiechnęłam się blado.

Przez dłuższą chwilę staliśmy objęci, w końcu Łukasz zaciągnął mnie do łazienki. Kochaliśmy się pod prysznicem, gdzie w strugach przyjemnie chłodnej wody postanowiłam sobie, że dam nam jeszcze jedną szansę. „W końcu między nami nie miało być nawet na poważnie, czemu więc robię z tego taki wielki dramat?” – powiedziałam sobie.

W nocy długo rozmawialiśmy. O przyszłości, przeszłości, naszych planach, marzeniach, sekretach. Zahaczyłam nawet o moje małżeństwo z Rafałem, co wydało mi się dość zaskakujące. Nie lubiłam o tym rozmawiać, a już na pewno nie w łóżku.

– Nie miałem pojęcia, że byłaś mężatką – zdziwił się Łukasz. – Może powinienem się teraz na ciebie obrazić? Nie powiedziałaś mi prawdy – zażartował.

– Mój były mąż mieszka obecnie w Londynie. A przynajmniej mieszkał tam jakiś czas temu. I mogę dać ci słowo, że od lat nie mamy ze sobą kontaktu. Żadnych mejli, telefonów, SMS-ów, wspólnych znajomych. Jeśli o mnie chodzi, Rafał mógłby nawet zniknąć z powierzchni ziemi i nic by mnie to nie obeszło.

– Hmm, Londyn brzmi bezpiecznie. W przeciwieństwie do mieszkającej jakieś sto pięćdziesiąt metrów stąd Anety, tak? – dokończył za mnie Łukasz.

– W rzeczy samej. – Uśmiechnęłam się, wtulając w jego plecy.

Zasnęłam niemal od razu, do cna wykończona wyczerpującą wymianą zdań. Śnił mi się nóż. Zakrwawiony, ząbkowany, ten, którego Emil używał do krojenia filetów. Zaciskałam na nim palce, nachylona nad łóżkiem, w którym spokojnie spał Łukasz. „Zabij go! Zasłużył sobie!” – powiedział jakiś głos w mojej głowie. Boruta przyglądał mi się z parapetu. Wydawał się obojętny, zupełnie niezainteresowany sytuacją, czułam jednak, że w głębi swojej kociej duszy ochoczo przyklaskuje ewentualnej zbrodni. Podeszłam dwa

kroki bliżej. Z noża skapnęła kropla krwi, plamiąc śnieżnobiałe prześcieradło. Łukasz leżał w całkowitym bezruchu, pogrążony w głębokim, niemal letargicznym śnie. Jednym ruchem odsłoniłam kołdrę, chcąc zadać pierwszy cios, i dopiero wtedy zorientowałam się, że mój facet jest już ranny. Krew była wszędzie. Na nagim torsie Łukasza, jego brzuchu, udach, penisie. Krzyczałam, zataczając się w tył, ale głos w mojej głowie wrzeszczał jeszcze głośniej: „Zabij go jeszcze raz! Zasłużył! Zasłużył! Zasłużył!”.

Obudziłam się z ochryłym krzykiem, niemal pewna, że całe dłonie mam w ciepłej, lepkiej posoce. Wytarłam je w prześcieradło, dopiero po paru sekundach zdając sobie sprawę, że to tylko pot. Zerknęłam na Łukasza. Spał. Zdusiłam w sobie chęć odkrycia kołdry i sprawdzenia, czy łóżko po jego stronie nie tonie w krwawych barwach. „To przecież niedorzeczne” – powiedziałam sobie. Wstałam. Dom spał, z zewnątrz również nie dochodziły żadne niepokojące odgłosy. Przetarłam oczy, otrząsając się z resztek upiornego snu, i na palcach wyszłam do kuchni. Pomimo panującego w domu zaduchu było mi zimno i cała się trzęsłam. Wyjęłam kubek z szafki i nalałam sobie wody z kranu. Smakowała dziwnie, miała metaliczny posmak. Wypiłam połowę i wróciłam do łóżka, jednak do białego świtu nie zmrużyłam już oka.

20.

Wyjeżdżam – powiedziałam rano, wstawiając wodę na kawę. – Muszę wpaść do mojego bielskiego mieszkania, odebrać pocztę, przewietrzyć pokoje. Podobno przyszły do mnie jakieś dwa poleccone, sąsiadka dzwoniła już kilka razy.

Łukasz wyglądał na niezbyt zachwyconego moją decyzją.

– Musisz jechać akurat dzisiaj? Myślałem, że wieczorem pójdziesz ze mną do Łabędzia. Będą moi dawni znajomi; wrócili na stare śmieci tylko na parę dni.

– Ci z Liverpoolu? – zapytałam.

– Dokładnie. To jak? Już im powiedziałem, że będziesz.

– Wybacz, ale jadę do Bielska. Mogłeś mi wczoraj o wszystkim przypomnieć, bo, prawdę mówiąc, na śmierć o tym zapomniałam.

– Jasne, rozumiem. Wciąż jesteś na mnie wściekła i będziesz się pewnie nade mną pastwić w jakiś zakamuflowany sposób, tak? Bierna agresja, te klimaty?

– Po prostu wyjeżdżam – wycedziłam, zalewając wrzątkiem swoją kawę.

– Okay, prześpię się w miasteczku.

– Nie musisz, Łukasz! Czemu nagle wynajdujesz jakieś dziwne problemy? Wróc tutaj, w niedzielę zrób grilla, zaprosz przyjaciół. Rób, co chcesz, w końcu tutaj mieszkasz. Przepraszam, pomieszkujeś – jak to kiedyś ujęła twoja siostra.

– Prześpię się w miasteczku – powtórzył, z zaciętą miną rozsmarowując na chlebie resztkę truskawkowego dżemu.

– Jak sobie chcesz – powiedziałam, wstając.

Byłam cholernie niewyspana i nie miałam najmniejszej ochoty na kolejną awanturę. Skoro chciał spać pod dachem swojej upiornej mamuni, jego sprawa.

Wyjechałam kilka minut przed dziewiątą. Nie miałam przed sobą szczególnie dalekiej trasy, chciałam jednak uniknąć największego upału.

W Bielsku było odrobinę chłodniej. Niebo zasnuwały szare chmury, zanosiło się na deszcz. Przejeżdżając przez miasto, usiłowałam wykrzesać z siebie chociaż odrobinę nostalgii, zdałam sobie jednak sprawę, że wcale się nie stęskniłam za starymi kątami. Zaparkowałam przed moim blokiem i wysiadłam z auta, biorąc ze sobą niewielki plecaczek i błękitny, rozpinany sweter, który zamierzałam zostawić w szafie. Ostatnio prawie w ogóle go nie nosiłam...

Na cuchnącej przypalonym mlekiem klatce wpadłam na Brzezińską, największą plotkarę w okolicy. Babę tak ciekawską, że prawie chorą ze wścibstwa.

– Pani Natalio, dawno pani nie widziałam! – Stara raszpla wyraźnie ożywiła się na mój widok i, posapując, zeszła kilka stopni niżej, przystając na półpiętrze. – A co tam u pana Emila słyhać? – zapytała, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

Zupełnie jakby kalkulowała, czy moja opalenizna pochodzi z rodzimych gór, czy może z Seszeli i czy przypadkiem nie jestem może we wczesnej ciąży, w depresji, czy w innym godnym zainteresowania stanie.

– Emil wyjechał – mruknęłam, szukając w plecaku kluczy.

Jak na złość przepadły gdzieś pośrodku całego tego bajzlu, który upchałam tam, pospiesznie się pakując, a Brzezińska wciąż dyszała mi na kark.

– A szkoda, szkoda. Taka ładna z was była para! – Sąsiadka pokiwała głową, z ożywionym wyrazem twarzy przyglądając się mojemu plecakowi.

„Ładna z was para” – skrzywiłam się, przypominając sobie, jak ta fałszywa stara klepa rozpowiadała po całym osiedlu, że żyję w konkubinacie z jakimś podstarzałym rozwodnikiem.

– Wyjechał? A dokąd, jeśli można wiedzieć? – drążyła dalej sąsiadka.

– Do Honolulu – skłamałam gładko, wymijając ją w ciasnym przejściu, gdyż szczęśliwie właśnie znalazłam klucze.

– Gdzie? – zdziwiła się Brzezińska, w wyrazie skrajnego zaskoczenia otwierając usta.

– Do widzenia – uciełam dyskusję, wbiegając po dwa schody na

górze.

– A pani na długo?! – krzyknęła jeszcze Brzezińska w ślad za mną, najwyraźniej mocno rozczarowana moją dyskrecją.

„Chryste, co za babsztyl! – Skrzywiłam się. – Wyciska człowieka jak mokrą gąbkę, byle więcej, do ostatniej kropli...”.

– Na trochę – odpowiedziałam wymijająco.

„Na trochę” – całkiem zgrabnie wyszło. „Trochę” mogło znaczyć godzinę, tydzień czy nawet miesiąc. Uśmiechnęłam się pod nosem, wchodząc do mieszkania. „Niech się teraz baba głowi, ile wlezie, byle trzymała się z daleka” – pomyślałam, z ulgą zamykając za sobą drzwi.

Zaduch w pokojach prawie zwałił mnie z nóg, jednak szybko opanowałam sytuację. Stałam w otwartym na oścież oknie, popijając znaną w lodówce colę, kiedy kątem oka zauważyłam, że ktoś kręci się przy moim samochodzie.

– Hej! – krzyknęłam.

Siedzące na barierce balkonu sąsiada spłoszone gołębie gwałtownie poderwały się do lotu, a przechodząca parkingiem kobieta z małym pieskiem na smyczy posłała mi zdziwione spojrzenie. Kręcący się przy mojej toyocie smarkacz wsunął coś pod wycieraczkę i czmychnął między bloki, zanim zdołałam zbiec na dół. Na parkingu uważnie rozejrzałam się dookoła i ostrożnie, jakbym się bała, że złożona na pół kartka rozsypie się w moich dłoniach, wyjęłam zza wycieraczki wiadomość. „Mamy cię na oku” – przeczytałam.

Zakreśliło mi się w głowie. „Kto wie, że tu jestem? I czemu miałyby bawić się ze mną w takie gierki? – zastanawiałam się. – Stara Brzezińska? Bez żartów... Łukasz? Aneta? Maciej? ONI?”. Na myśl o tych ostatnich parsknęłam nerwowym śmiechem. „Jacy oni? Naprawdę wierzę w to, że jakiś dzieciak wsunął mi za wycieraczkę wiadomość od obcych? Wariuję tak jak Maciek czy może to tylko zmęczenie?”. Zmiełam w dłoniach kartkę i rzuciłam ją na popękany beton. „Osiedlowi smarkacze pewnie wyjątkowo się nudzą”.

Wracając do mieszkania, musiałam przejść przez wąską, ciemną bramę. Pchnęłam drzwi i spojrzałam w głąb pogrążonego w mroku korytarza. W jego czeluściach coś się poruszyło, szybko znikając za uchylonymi drzwiami od wewnętrznego dziedzińca. Cofnęłam się,

obracając przez ramię, w końcu znalazłam w sobie tyle odwagi, żeby przejść kilka kroków w kompletnej ciemności i znaleźć się na zalanym słońcem zaśmieconym dziedzińcu. Podwórze było puste. Omiotłam wzrokiem trzepak, duży kontener na śmieci i drewnianą ławkę, jednak nie zauważyłam żywej duszy. Ruszyłam w stronę drzwi, kiedy zza kontenera dobiegł mnie jakiś dziwny odgłos – coś, co brzmiało jak syk jadowitego węża, chociaż przecież być nim nie mogło. Skąd w Bielsku miałyby się wziąć jadowity wąż? Owszem, zdarzały się przypadki, kiedy hodowcy „gubili” swoich pupili, jednak były na tyle rzadkie, że od razu wykluczyłam taką opcję. Syk się powtórzył. Tym razem wyraźniejszy i bardziej zajadły. Jakby w tym czymś zza śmietnika narastała wściekłość.

Przez dłuższą chwilę na nogach jak z waty tkwiłam pośrodku niewielkiego dziedzińca, w końcu zrobiłam niepewny krok w kierunku pełnego cuchnących śmieci metalowego kubła. Miałam zajrzeć za kontener, kiedy za moimi plecami głucho zatrzasnęły się drzwi. Jednym susem skoczyłam w ich stronę, szarpiąc za klamkę. Nic. W przypiływie nagłej hysterii zaczęłam bić w nie pięściami, krzyczeć i kopać, jednak nie ustępowały.

Pięć minut później z okna na pierwszym piętrze wyjrzała stara Gawrylukowa.

– A ta co się tak miota?! – krzyknęła piskliwym głosem, strącając przy okazji z parapetu trzymaną tam poduszkę.

Pewnie służyła jej za oparcie dla łokci, kiedy z zapalem kryminalnego śledczego godzinami lustrowała podwórze.

– Drzwi się zacięły! Zawołałaby pani dozorcę?! – odkrzyknęłam.

– Nigdy się nie zacinają! – skrzeknęła stara Gawryluk głosem nałogowej palaczki i jeszcze mocniej wychyliła się przez okno. – Poduszkę mi przyniesie, jak już jej otworzą! – dodała, znikając w głębi pokoju.

Czekałam jakiś kwadrans, zanim dozorca, otyły, posapujący i rudawy wąsacz, zaczął gmerać w zamku.

– I jak?! Słyszysz mnie pan, panie Edku?! – krzyknęłam przez drzwi, starając się nie panikować.

W uszach wciąż brzmiał mi dziwny dochodzący zza śmietnika syk, a

rozszała ze strachu serce uspokajało się zaskakująco długo.

– Słyszę, co mam nie słyszeć? – mruknął pan Edek, waląc czymś w drzwi. – No co za żelastwo parszywe, że też się, kurwa, akurat teraz zaciąć musiało! Obiad żona zaraz poda, klopsy w sosie śmietanowym będą, a pani mi tu na dobre utknęła przy tym przeklętym śmietniku! – psioczył gderliwym tonem.

Krzyknęłam, że bardzo mi przykro, ale nie odpowiedział. Minęło kolejnych kilka minut, zanim pan Edek zdołał otworzyć drzwi i wypuścić mnie do bramy.

– To może ja coś za fatygę panu...

– Daj pani spokój. – Dozorca wielkodusznie machnął ręką, przy okazji wchodząc mi w słowo. – To do miłego! – dodał i, posapując, ruszył na górę.

Weszłam na klatkę. Na schodach wciąż cuchnęło przypalonym mlekiem i pomyślałam, że to pewnie Nowicka spod piątki znowu przypaliła wnuczce kukurydziankę. W uszach dźwięczał mi dochodzący zza śmietnika syk, serce wciąż biło jak oszalałe. Obejrzałam się przez ramię. Cisza, żywego ducha... Ciężkie kroki ciecia wyraźnym echem odbijały się jeszcze od ścian, jednak niczego więcej nie słyszałam.

Wbiegłam do mieszkania i zamknęłam drzwi na wszystkie zamki, po drodze zaglądając do wnękowych szaf, pod łóżka, stoły, a nawet za prysznicową zasłonkę. Pusto. Nic, tylko kilka dorodnych kłaków kurzu i zagubiony kąpielowy kłapek, który zlokalizowałam pod kanapą. Pod oknem ktoś przenikliwie wrzasnął. Zanim zdałam sobie sprawę, że to goniące się po parkingu znudzone latem w mieście nastolatki, aż podskoczyłam ze strachu.

– Ja wariuję – szepnęłam, sprawdzając kuchenną szafkę pod zlewem, pod którą mógłby się przecież bez trudu wcisnąć w miarę szczupły dzieciak.

Mieszkanie było ciche i puste. Wyjęłam z szafki krakersy i zjadłam kilka, zastanawiając się, co dalej. Planowałam zostać w Bielsku trzy, może cztery dni, jednak po zagadkowym zajściu na dziedzińcu zatęskniłam za „Emilówką”. Tam przynajmniej był Łukasz... Tutaj mogłam się co najwyżej gapić w ścianę i zastanawiać, czy

przypadkiem nie odjęło mi rozumu. Sprawdziłam wszystkie okna, przejrzałam odebrane od życzliwej sąsiadki listy, zamknęłam mieszkanie i zbiegłam do auta. Na myśl o spędzeniu samotnej nocy w Bielsku, przechodziły mnie ciarki. Wyobrażałam sobie, jak leżę w pustym łóżku, wsłuchując się w ciszę, i czekam aż rozlegnie się dziwny syk, który słyszałam zza śmietnika.

Z samochodu udało mi się dodzwonić do Łukasza. Najpewniej był w Zielonym Łabędziu, skoro złapał zasięg. Odebrał, z przekąsem pytając, jak mi się udała wycieczka. Rozpromienił się dopiero, kiedy powiedziałam, że jednak wracam i pójdę z nim na wieczorną imprezę.

– Cieszę się. Naprawdę – powiedział. – Muszę kończyć, matka jest dzisiaj wyjątkowo upierdliwa – dodał, rozłączając się po szybkim pożegnaniu.

Opuszczając rodzinne miasto, zastanawiałam się, jakim cudem dwójka dorosłych dzieci nadskakuje znęcającej się nad nimi fizycznie i psychicznie kobiecie z naprawdę paskudnym charakterem, nie zdołałam jednak wymyślić niczego sensownego. Może miało to coś wspólnego z pojawiającym się czasem dobrym nastrojem ich matki? Łukasz opowiadał mi kiedyś, że zazwyczaj skwaszona i marudna, potrafi od czasu do czasu być dla nich naprawdę miłą. „Sprytnie” – pomyślałam, wjeżdżając na dwupasmówkę.

Do „Emilówki” dotarłam zmęczona jazdą w upale, senna i spragniona. Moja toyota nie miała klimatyzacji – nigdy jej nie lubiłam, jednak w dni takie jak ten, zdarzało mi się żałować podjętej podczas kupna decyzji. Łukasz był w domu. Specjalnie dla mnie zrobił naleśniki z borówkami i ogarnął kuchnię. Nastawił nawet pranie, co uznałam za przejaw skrajnej skruchy. Przypochlebiając mi się w taki sposób, chciał pewnie zatrzeć niemiłe wrażenie po naszej ostatniej, trudnej rozmowie, i pomyślałam, że w zasadzie mu się udało. Lubiłam mężczyzn, którzy o mnie dbali. Są ponoć kobiety, które wolą opiekować się słabszym partnerem, jednak nigdy do nich nie należałam. Ze smakiem zjadłam naleśniki, barwiąc sobie zęby na granatowo, przepłukałam usta wodą z cytrynowym sokiem i wzięłam szybki prysznic, z ulgą zrzucając zbyt ciasną w biuście sukienkę, którą – Bóg jeden tylko wie czemu, włożyłam na podróż.

Dopiero wycierając włosy, przypominałam sobie o poduszce starej Gawrylukowej. O ile baba nie pofatygowała się po nią sama, jej spłowiła od słońca, wysłużona poducha wciąż pewnie leżała na dziedzińcu. Przez chwilę zrobiło mi się żal staruszki, szybko jednak przypominałam sobie, jaką aferę stara jędza zrobiła nam półtora roku wcześniej, kiedy urządziliśmy z Emilem sylwestra. Uprzedzaliśmy ją wcześniej, że może być głośno. Z tego, co pamiętam, żeby zołzę ugłaskać, Emil kupił nawet szwajcarskie czekoladki i mimo tego wszystkiego baba tuż po północy wezwała policję, narzekając na „piekielny harmider, niewdzięcznych sąsiadów i zwykły burdel pod moim dachem” – tak mniej więcej to ponoć ujęła...

„Niektóre stare krowy żyją chyba tylko po to, żeby zatruwać życie młodym” – pomyślałam, krzywiąc się na wspomnienie utarczki z sąsiadką. Minutę później zdałam sobie sprawę, że mnie samej niewiele brakuje do czterdziestki, a później już tylko z górki... I tak mnie ta myśl przeraziła, że zrobiłam sobie wyjątkowo staranny makijaż, wbiłam się w obcisłą czarną kieckę z dekoltem i odstawiona niczym tirówka w drodze na pobocze przejrzałam się w dużym sypialnianym lustrze.

– Nieźle – mruknęłam pod nosem, poprawiając włosy. – Naprawdę nieźle.

– Wyglądasz oszałamiająco. – Łukasza na mój widok kompletnie zatkało.

– Nie przesadzałabym, ale dziękuję.

– Nie przesadzam – powiedział, całując mnie w kark. – I jak zawsze ładnie pachniesz.

– Robię, co mogę – zażartowałam.

21.

Dwie godziny później samochodem Łukasza wyruszyliśmy do Zielonego Łabędzia. Kiedy dotarliśmy do zajazdu, znajomi mojego faceta już na nas czekali. Zajęli jedną z umiejscowionych na półpięterku przegrodzonych wysokimi parawanami łóż i sączyli piwo, bez większego zainteresowania przyglądając się stałym bywalcom lokalu.

– Cześć, jestem Natalia. – Podałam rękę dziewczynie. Witając się ze mną, nawet nie raczyła wstać.

– Joanna – powiedziała z kwaśną miną, mierząc mnie przy okazji taksującym wzrokiem.

Może oceniłam ją zbyt szybko, ale od samego początku miałam nieprzyjemne wrażenie, że panna jest wyniosła, opryskliwa i zwyczajnie niesympatyczna. Jej facet był zdecydowanie miłszy i cholernie przystojny.

– Grzegorz! – krzyknął, starając się przedrzeć przez dudniącą muzykę, i ścisnął moją rękę, mocno nią potrząsając.

Miał ładne zielone oczy, mocną męską szczękę i głos, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden radiowy spiker.

Usiadłam obok Joanny. Przesunęła się niechętnie, krzywiąc się przy tym tak, jakby duszkiem wypić szklanek octu. Łukasz z Grzegorzem zasiedli naprzeciwko nas, od razu wdając się w pogawędkę o jakichś starych znajomych z miasteczka. Joanna milczała, bawiąc się swoim kuflem. Zauważyłam, że ma przyozdobione sztucznymi diamencikami przerażająco długie paznokcie i zdecydowanie jest nie w sosie. Zapytałam, czym się zajmuje. Nie żeby cokolwiek mnie to obchodziło – chciałam jedynie nawiązać zwykłą grzecznościową rozmowę. Burknęła, że jest kosmetyczką, i zajęła się swoją komórką. Przez następny kwadrans wysłała chyba sto SMS-ów, aż w końcu wstała i nie przepraszając nikogo z towarzystwa, ruszyła w stronę damskiej toalety.

„Nadęta pinda” – skrzywiłam się.

Łukasz przyniósł mi piwo i postawił na stole miskę z orzeszkami.

– Grzegorz jest himalaistą! – powiedział, kiedy jego kumpel na moment zostawił nas samych. – Hobbystycznie, rzecz jasna. Z wykształcenia jest geologiem, pracuje w jednym z liverpoolskich muzeów. Ostatnio ze znajomymi Włochami prawie dotarli na K2, ale pogoda popsowała im szyki. W każdym razie gość jest niesamowity. Podróżuje stopem po całej Azji, wspina się, pływa i gra w zespole rockowym.

– Nieźle – przyznałam. – Szkoda tylko, że ma marny gust, jeśli chodzi o kobiety.

– No coś ty? – obruszył się Łukasz. – Przecież Joasia jest fantastyczna! Inteligentna, sympatyczna, zabawna i...

– Sympatyczna?! Zabawna?! Przepraszam cię, ale mówimy chyba o dwóch różnych osobach. – Uśmiechnęłam się złośliwie.

– Daj jej trochę czasu, na pewno się polubicie – bronił starej przyjaciółki Łukasz.

– Jasne, a jutro na Lisim Wzgórzu spadnie śnieg – powiedziałam z przekąsem. – Widzę znajomego, pójdę się przywitać – dodałam, przeciskając się pomiędzy sofą a przystawionym zbyt blisko ciężkim stolikiem.

Łukasz odprowadził mnie wzrokiem. Zdałam sobie sprawę, że jest mu przykro, nie potrafiłam jednak przełamać się na tyle, żeby znowu zacząć rozmawiać z jego dawną koleżanką. Laska wydała mi się chamska, tępa i zwyczajnie nudna. Przecisnęłam się w stronę baru i wdałam się w pogawędkę z dawno niewidzianym znajomym. Leszek Kornat był jednym z nielicznych rok w rok przyjeżdżających w tę okolice letników, z którymi udało mi się zaprzyjaźnić. Emil lubił jeździć z nim na rowerowe przejażdżki i parę razy wybraliśmy się we troje w okolice ruin pobliskiego zamku, urządzając sobie tam piknik.

– Natalia! Super cię widzieć, dziewczyno! Wiem, że Emil od jakiegoś czasu jest w Stanach, i nie spodziewałem się...

– Rozstaliśmy się – powiedziałam, wchodząc mu w słowo.

Odstawił na barowy kontuar pusty kufel i zmrugał oczy, przyglądając mi się w nikłym świetle lokalu.

– Żartujesz, prawda? W życiu nie wiedziałem bardziej zgranej pary

niż wy – zdziwił się. – Byłem nawet pewny, że niebawem zaprosicie mnie na jakieś huczne weselisko, a tu takie marne wieści...

– Czasem sama nie mogę w to uwierzyć, chociaż to ja odeszłam – powiedziałam cicho.

Kornat musiał zauważyć, że rozmowa robi się dość bolesna, więc szybko porzucił dalszą dyskusję i pociągnął mnie w głąb sali, gdzie akurat zwolnił się jeden ze stolików.

– Tu będzie nam wygodniej – powiedział i szarmancko podsunął mi krzesło.

– Dalej fotografujesz ptaki? – zapytałam, kiedy usiedliśmy, a Leszek zapalił umieszczoną w miedzianym kaganku maleńką świeczkę.

– Aparat mi ukradli i chwilowo znalazłem sobie nowe hobby. – Roześmiał się, machając na przechodzącą obok kelnerkę. – Poprosimy o dwa duże piwa. Chyba że chcesz co innego? – zwrócił się do mnie.

Powiedziałam, że piwo zawsze brzmi dobrze, i zapytałam, czym się teraz pasjonuje.

– Przygotowuję się do maratonu, postanowiłem wziąć udział w kilku większych ulicznych biegach.

– Brzmi zdrowo.

– Brzmi męcząco, ale satysfakcja na mecie jest ponoć olbrzymia. A co u ciebie? Nadal pisujesz do babskich gazet? Emil zawsze chwalił twoje lekkie pióro.

– W sumie tak. Krótkie artykuły, felietony. Myślę też nad kryminałem, który od dłuższego czasu chodzi mi po głowie, ale jakoś nie potrafię się do tego zabrać. Niby mam już zarysowaną fabułę i pomysł na główną bohaterkę, ale utknęłam gdzieś pomiędzy czwartym a piątym rozdziałem i dalej ani rusz – przyznałam.

– Książka to całkiem niezły plan. Spróbuj się zmobilizować do dalszej pracy, może strzelisz jakiś bestseller? Mój dobry znajomy wydał niedawno horror i już pisze kolejny. Ponoć świetna zabawa, a dodatkowo niezły zastrzyk gotówki.

– Jeśli chodzi o powieść grozy, brakuje mi chyba wyobraźni – powiedziałam, bardzo się starając nie myśleć o ostatnich wydarzeniach.

„Koszmarne sny, dziwne rojenia, dochodzący zza śmietnika syk,

skrzypienie podłogowych desek, mrozące krew w żyłach opowieści Macieja... Coś mi mówi, że to moje własne życie zamienia się w horror” – pomyślałam, dopijając piwo.

– To co? Jeszcze po jednym? Zostaw mi swój numer, odezwę się któregoś dnia. Miło będzie wybrać się na rower, zjeść jakąś kolację nad samym jeziorem...

– Jasne, zapisz sobie od razu. – Uśmiechnęłam się.

Leszek wyjął z kieszeni telefon i wpisał do jego pamięci namiary na mnie. Kiedy bawił się swoją komórką, zauważyłam, że znacznie schudł i lekko posiwił na skroniach. Szczęśliwym dla niego trafem odrobina siwizny na jego piaskowych blond włosach była ledwie zauważalna. „Farciarz, pomimo skończonej niedawno czterdziestki wygląda świetnie – pomyślałam z lekką zazdrością. – Dla nas, kobiet, czas nie bywa aż tak łaskawy...”.

– Będę w okolicy do końca lipca, na pewno zadzwonię – obiecał tymczasem Leszek i schował telefon do kieszeni znoszonej sztruksowej kurtki w kolorze brudnego piachu.

Rozmawialiśmy o starych czasach, kiedy chwiejnym krokiem podszedł do nas Łukasz. Zauważyłam, że jest mocno podпиты i wyraźnie podminowany.

– Łukasz, to jest...

Nie zdążyłam ich sobie przedstawić, bo mój facet odepchnął mnie i ruszył w stronę Kornata.

– Przystawiasz się do mojej panny?! – warknął, nachylając się nad Leszkiem.

– O czym ty...? – zaczęłam.

– Zamknij się! – warknął, oskarżycielsko celując we mnie palcem. – Na moich oczach kokietujesz jakiegoś fagasa?! Wyglądam ci na frajera, który po prostu będzie się temu przyglądał?! – wrzasnął Łukasz, szarpiąc Leszka za rękaw kurtki. – Wstawaj, koleś! Pogadamy na zewnątrz! No, już, podnoś dupę!

– Łukasz, przestań! – krzyknęłam, usiłując odciągnąć go od kompletnie zszokowanego jego zachowaniem Kornata.

– No, wstawaj, tchórzliwa cioto! Pogadajmy jak faceci!

Ogarnięty jakąś dziwną furią Łukasz najwyraźniej dopiero się

rozkręcał. Złapałam go za rękaw, ale ponownie mnie odepchnął. W panice rozejrzałam się po dusznej, zatłoczonej sali, jednak jak na złość nie zauważyłam nikogo ze znajomych. Nawet Grzegorz z Joanną gdzieś przepadli... Łukasz z Leszkiem zaczęli się szarpać – najpierw stłukli kilka kufli, później runęli na stół, przewracając go razem z dwoma krzesłami. Zanim kilku młodych facetów zdołało ich rozdzielić, mój kochanek rozkwaśił Leszkowi nos, wyzywał go od najgorszych i rozbił na jego głowie cudem ocalały z szamotaniny kufel. Zwalony z nóg ostatnim ciosem Kornat runął na podłogę, niefortunnie upadając pomiędzy ostre odłamki szkła.

– Niech ktoś wezwie karetkę! – histerycznie krzyknęła jakaś młoda dziewczyna, przedzierając się przez tłum.

Uklęłam, kładąc głowę Leszka na swoich kolanach. Krew zaplamiła mi sukienkę, gdzieś ponad naszymi głowami Łukasz szarpał się z ochroną.

– Puszczaj, gnoju! Wiesz, z kim masz do czynienia?! Jestem współwłaścicielem tej budy, głupi chuju! – wyzywał ochroniarza mój pijany w sztok facet, na oślep miotając rękoma.

Byłam mocno zażenowana całą tą sceną, najbardziej jednak było mi żal Kornata. Mocno krwawił i wyglądało to tak, jakby nieźle mu się dostało.

Karetka dotarła zaskakująco szybko. Sanitariusze nie pozwolili mi jechać z Leszkiem do szpitala, co do końca wytrąciło mnie z równowagi. Stojąc na parkingu, miętosiałam w dłoniach jego sztruksową kurtkę, którą zdjął przed bójką, i z uczuciem narastającej bezsilności wpatrywałam się w ciemność tuż za szosą. Miasteczko się bawiło – nie było jeszcze północy i przez ulice przelewały się roześmiane tłumy. Wróciłam do środka, chcąc zabrać moją torebkę.

Łukasz siedział w łoży, którą wcześniej zajęli jego przyjaciele, a idiotycznie rozszczebiotana Joanna rąbkiem chusteczki usiłowała wytrzeć z jego twarzy krew. „Głupia pizda – pomyślałam ze złością, z trudem zwalczając chęć odepchnięcia jej na bok. – Za kogo ta cipa się uważa? Niech lepiej pilnuje tego swojego himalaisty, zanim konkurencja zwinie go jej sprzed nosa. A tak swoją drogą, co on w niej widzi? W tej puste, nadętej, wyniosłej lali?” – zastanawiałam się,

sięgając po moją torebkę.

– Będę się zbierać – powiedziałam.

– Aha, to cześć – rzuciła Joanna wyniosłym tonem.

Łukasz wybełkotał coś o tym, żebym została z nim na noc w miasteczku. Zignorowałam go i wyszłam, wcześniej dosłownie w przelocie żegnając się z Grzegorzem. Patrząc mi głęboko w oczy, przytrzymał moją rękę odrobinę dłużej niż to było konieczne i wyobraziłam sobie, jak pieprzę się z nim w damskiej toalecie. Wizja była tak wyraźna, że poczułam ciepło w podbrzuszu. W myślach wiłam się pod nim na lodowato zimnej podłodze; on poruszał się we mnie gwałtownie, prawie brutalnie, z dziką samczą żądzą.

– Przykro mi z powodu tego zajścia – powiedział.

Otrząsnęłam się z zamyślenia i bąknęłam pod nosem jakieś podziękowanie. Idąc w stronę drzwi, czułam na sobie jego wzrok i pomyślałam, że fajnie byłoby wrócić, wyciągnąć go na zewnątrz i zabawić się z nim w pobliskim lasku. Na złość tej piździe Joannie, a może po prostu z czystej namiętności... „Co się ze mną dzieje?” – zastanawiałam się. Przecież byłam z Łukaszem, zależało mi na nim...

Przed lokalem stały grupki podpitych młodych turystów i paru miejscowych kolesi, których znałam z widzenia.

– Cześć, słodziutka. Napijesz się z nami? Jest wódeczka, są paluszki.

– Jeden ze sterczących przy samym wyjściu gości podszedł do mnie z debilnym uśmiechem na nieogolonej gębie, ale wyminęłam go, zanim zdołał złapać mnie za rękę.

Moja toyota została na Lisim Wzgórzu i zrozumiałam, że albo uda mi się znaleźć jedną z nielicznych w okolicy taksówek, albo zniszczę sobie buty, zasuwając do „Emilówki” pieszo. Byłam w połowie parkingu, kiedy z Zielonego Łabędzia wybiegł Łukasz.

– Natalia! Czekaj! – krzyknął i ruszył w moją stronę.

Przyspieszyłam, prawie łamiąc sobie obcas na nierównej płytce.

– Czekaj, mówię!

Przystanąłam, niechętnie się odwracając.

– Czego chcesz?!

– Nie wychodź, noc jest jeszcze młoda.

– Za to ty już nie całkiem świeży.

– Oj tam, no! Trochę wypilem i mnie poniosło. Koleś gapił ci się w dekolt, sam widziałem! – bronił się.

– Leszek to tylko stary znajomy, przyjaźnił się z Emilem! Nie miałeś prawa rzucać się na niego z pięściami! – wrzasnęłam.

– No nie wiem... Facio wyglądał tak, jakby miał ochotę zerznąć cię na stole bilardowym! Myślisz, że nie wiem, co mu chodzi po głowie?! Udaje przyjaciela, a potem...

– Jesteś żaloszny, Łukasz – weszłam mu w słowo.

Chwytał mnie za rękę.

– Zostań, proszę cię – zaskamlał tonem, którego nigdy u facetów nie lubiłam.

– Bawcie się dobrze – powiedziałam. – Pozdrów ode mnie tę nadętą pinde, Joannę – dodałam złośliwym tonem. – Puść, jestem zmęczona.

– Jak sobie chcesz – mruknął.

Ruszyłam w stronę centrum. Pachnącą wodą kolońską Leszka sztruksową kurtkę narzuciłam sobie na ramiona – od strony pobliskiego jeziora szedł chłód. Łukasz stał przed lokalem, odprowadzając mnie wzrokiem – nie musiałam się obracać, żeby się o tym przekonać – jego spojrzenie dosłownie wypalało mi dziurę w plecach. Byłam jakieś dziesięć metrów przed nim, kiedy znowu mnie zawołał.

– Natalia, czekaj – wybełkotał.

Niechętnie przystanęłam pośrodku pełnego nierównych płytek chodnika. Łukasz podbiegł do mnie i złapał mnie za rękę.

– To dlatego, że jestem o ciebie zazdrosny. To wszystko z miłości.

Wyrwałam dłoń i, przeklinając cholerne obcasy, ruszyłam wąskim chodnikiem, modląc się, żeby gdzieś, całkiem blisko, akurat czekała jakaś wolna taryfa. Miałam fart – taksówka stała przed pobliską smażalnią, a kierowca okazał się przemiły. Odwiózł mnie pod samą bramę „Emilówki”, obszedł ze mną dom, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i z szerokim uśmiechem życzył mi spokojnej nocy.

Zamknęłam drzwi na łańcuch, mając nadzieję, że pijany Łukasz nie zacznie się dobijać w środku nocy. W końcu z ulgą zrzuciłam niewygodne buty i zrobiłam sobie drinka. Byłam zmęczona i chciało

mi się spać, nie mogłam jednak przestać myśleć o bójce, której byłam świadkiem. Kilkakrotnie przeanalizowałam w duchu scenę po scenie i chociaż bardzo się starałam w jakiś sposób usprawiedliwić Łukasza, wciąż wychodziło na to, że właściwie bez powodu rzucił się na Leszka, rozbił mu nos i pchnął go na stół, rozbijając mu głowę kuflem.

Leżałam w ciemności, zasłuchana w odgłosy nocy. Przed drugą nad ranem przypomniałam sobie ostrzeżenia Maćka i chyba po raz pierwszy przyjąłam do wiadomości, że być może w okolicy naprawdę dzieje się coś złego.

22.

Łukasz pojawił się na Lisim Wzgórzu z samego rana – skruszony, wyraźnie skacowany, z podbitym okiem i brzydko rozciętą wargą. Cuchnął przetrawionym alkoholem, papierosowym dymem i nutką zwietrzałego piwa. Biało-zielona koszulka i sprane dżinsy, które miał na sobie, były „wczorajsze”, co bynajmniej nie dodawało mu seksapilu. Wyglądał fatalnie i chyba tak samo się czuł.

– Cześć – powiedział cicho.

Kiedy podszedł bliżej, zauważyłam, że ma ziemistą cerę, podkrążone oczy i szpeciniasty zarost na policzkach. Zazwyczaj golenie się było jedną z pierwszych czynności, za jakie zabierał się każdego ranka, tym razem jednak sobie darował. Pomyślałam, że sprawia wrażenie skrajnie zmęczonego, i lekko zmiękło mi serce. „Może powinnam mu odpuścić? Jestem w końcu kobietą, a każdej kobiecie schlebia męska zazdrość. A że połała się krew? Cóż, faceci rozwiązują swoje problemy w dość konkretny sposób”. Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Dla ciebie. Zerwałem po drodze. – Łukasz wręczył mi kolorowy bukiet z polnych kwiatów i ciężko usiadł za kuchennym stołem. – Przepraszam, Natalia... Zachowałem się jak skończony idiota. Co z twoim znajomym?

– Sześć szwów, parę siniaków i mocno potłuczone męskie ego. Będzie żyć. Ciesz się, że zdecydował się nie wnieść oskarżenia. Gdyby kilku świadków zeznało, że praktycznie rzuciłeś się na niego bez powodu, miałbyś poważne kłopoty – powiedziałam, wkładając kwiaty do śmiesznego pękatego wazonu, prezentu od matki Emila, który jakieś dwa lata wcześniej starsza pani przywiozła dla nas aż z Maroka.

Łukasz wyglądał tak, jakby naprawdę mu ulżyło.

– Podziękuj mu, okay? Słuchaj, a może powinienem przeprosić go osobiście? Chybaby wypadało? Zastanawiałem się na tym przez cały ranek, ale nadal nie wiem, co we mnie wstąpiło, naprawdę. Piliśmy z Grzegorzem, Joaśka poszła pogadać z jakąś przyjaciółką. Gadka szmatka, czas mijał w sympatycznej atmosferze, aż nagle zdałem

sobie sprawę, że siedzisz z jakiś wymuskany typkiem, i...

– I postanowiłeś przefasonować mu gębę. Tak dla sportu, co? Łukasz, doceniam, że tak ci na mnie zależy, ale zapamiętaj sobie jedno – wyjątkowo nienawidzę chorobliwie zazdrosnych facetów. Nienawidzę, słyszysz?! Mój były mąż... Zresztą nieważne. – Wzruszyłam ramionami, napełniając wodą pełen polnych kwiatów wazon.

Łukasz odgarnął mi włosy z czoła i spojrzał prosto w oczy.

– Czy on...? – zaczął cicho.

Nie musiał kończyć, od razu zrozumiałam, do czego zmierza.

– Co? Pytasz, czy mnie bił? Uderzył mnie tylko raz. O jeden raz za dużo – powiedziałam ostrym tonem, a wspomnienie wykrzywionej gniewem twarzy i twardej pięści tego skurwysyna Rafała sprawiło, że w oczach zalśniły mi łzy.

Walnął mnie wtedy w nos. Na jego oczach zalałam się krwią, co chyba go otrzeźwiło. Wymamrotał „Jezus Maria” i pobiegł do łazienki po ręcznik. Zanim kazałam mu wypierdalać z domu, podał mi jeszcze opakowanie mrożonego szpinaku i szklanek wody. Aspirynę znalazłam już sama, po tym jak, histerycznie krzycząc, kazałam mu się wynosić. Krwotok był niewielki, jednak bardziej niż puchnący nos bolała mnie dusza. Do tej pory często się z Rafałem kłóciliśmy, jednak nigdy wcześniej nie podniósł na mnie ręki. Aż do tamtego dnia, w którym na dobre przejrzałam na oczy... Godzinę później byłam już na pogotowiu, gdzie zrobiono mi obdukcję. I chociaż mój ślubny dosłownie na kolanach błagał, żebym jeszcze przemyślała kwestię rozwodu, uznałam nasze małżeństwo za definitywnie zakończone.

– Przykro mi, kotku. – Łukasz wyglądał na szczerze przejętego.

– Niepotrzebnie. To stare dzieje.

– Tak, ale... Kurwa, jak można uderzyć kobietę?! Gdybym dorwał tego sukinsyna...

– Piłeś już kawę? – Gładko zmieniłam temat.

– Nie – powiedział.

– Zrobię.

Nastawiłam wodę i wyjęłam z szafki opakowanie oblanych mleczną czekoladą zbożowych herbatników, które kupiłam specjalnie dla

Łukasza. Zaszumiał czajnik i pomyślałam, że życie składa się z mnóstwa na okrągło powtarzanych codziennych rytuałów, co w pewien sposób bywa kojące.

– Zapowiadali dalsze upały – mruknął mój facet i z powrotem usiadł za stołem. – Chyba przesadziłaś ze słońcem. Schodzi ci skóra z pleców – dodał.

Wzruszyłam ramionami. Zawsze lubiłam się opalać. I nawet mając świadomość, że to niezdrowe, zdarzało mi się zbyt długo smażyć na słońcu.

– Leszek zaprosił mnie na rower. Jak za starych czasów. Tyle że tym razem bez Emila – powiedziałam, ignorując jego uwagę o pogodzie.

Łukasz odstawił na blat trzymany w ręku garnuszek i spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Mam nadzieję, że odmówiłaś? – zapytał.

Zdałam sobie sprawę, że jest wściekły, ale nie zamierzałam zmieniać planów. Czasy, w których faceci mówili mi, co mam robić, dawno odeszły do lamusa.

– Nie, czemu? Mam ochotę na wycieczkę, zresztą po wczorajszym incydencie w pubie chamstwem byłoby odmówić. Nie dość, że rozkwaśnięś mu nos, to jeszcze mam się nagle od niego odwrócić? Znamy się od dawna, zawsze dobrze nam się gadało. Nie widzę powodu, dla którego nagle miałabym zakończyć naszą znajomość.

– Ten facet na ciebie leci, nie widzisz tego?! – krzyknął Łukasz.

– Czy ty siebie słyszysz?! Niejeden na mnie leci, i co z tego?! Przecież wie, że kogoś mam! Zresztą wczoraj uświadomiłeś mu to w dość wymowny sposób.

– Nie chcę, żebyś z nim jechała! Nie chcę słyszeć, że włączysz się po okolicy z tym oślizgłym typkiem! – huknął na mnie.

Roześmiałam mu się w twarz.

– Nie chcesz o tym słyszeć? Cóż, wygląda na to, że masz pecha. Umówiliśmy się na pojutrze – powiedziałam, czując dziwną satysfakcję z faktu, że udało mi się zrobić Łukaszowi na złość.

Co się z nami działo?

– Jeśli z nim pojedziesz...

– To co?! – wrzasnęłam.

Nie odpowiedział. Ze złością zatrzasnął drzwiczki od szafki i porzucając zamiar wypicia ze mną kawy, zostawił mnie samą w kuchni.

– Dupek! – mruknęłam pod nosem. Chyba usłyszał, ale miałam to gdzieś.

Trzasnęły frontowe drzwi. Z okna obserwowałam, jak mój facet wsiada do samochodu, wycofuje auto z podjazdu i znika mi z oczu w tumanach kurzu. Wiedziałam, że bywa zazdrosny. Nie podobała mu się moja znajomość z Maćkiem, był wściekły, kiedy choćby jednym słowem wspomniałam Emila, jednak takiego zachowania nie zamierzałam tolerować.

Zrobiłam sobie kawę i usiadłam przed laptopem, mając nieprzyjemne wrażenie, że od dłuższego czasu uciekam przed życiem. Kogo usiłuję oszukać? Powinnam znaleźć sobie nową pracę, wrócić do Bielska, zacząć odkładać jakąś kasę, zamiast udawać, że te grosze, które zarabiałam na pisaniu króciutkich artykułów do kobiecych magazynów pozwolą mi utrzymać mieszkanie, samochód i w miarę wygodny poziom życia. Fakt, miałam jeszcze sporo oszczędności. Spadek po ciotce Lidii i część forsy, którą zarobiłam, pracując w gazecie – było tego na tyle, żebym nie musiała się martwić o jutro, ale na ile wystarczy pieniędzy, które topniały w takim zastraszającym tempie? Na pół roku? Rok? Żyłam w miarę skromnie. Zresztą czego potrzebuje kobieta w samym środku tej głuszy? Jednak coś przecież musiałam jeść i z czegoś opłacać rachunki. Benzyna też nie taniała i pewnie lada moment będę musiała naruszyć odłożone na czarną godzinę zapasy.

Kawa była niedobra. Kwaskowata, wręcz cierpka, przy tym zbyt chłodna. Upiłam kilka łyków, resztę wylałam do zlewu. Myłam zostawione na stole talerze, kiedy zadzwoniła moja komórka. „Pewnie Łukasz ochłonął i chce mi podarować kolejne tego ranka przeprosiny” – pomyślałam. Niestety... Następnego aktu skruchy ze strony mojego faceta tym razem się nie doczekałam. Dzwonił sąsiad.

– Cześć, Maciek! Coś z Anetą? – zaniepokoiłam się.

Chrząknął w słuchawkę, jakby nie wiedział, od czego zacząć, w końcu powiedział, że wszystko jest okay.

– Po prostu chciałem z tobą pogadać. Masz chwilę? – zapytał.

– Teraz? – zdziwiłam się.

– Byłoby najlepiej – przyznał.

Wydawał się zdenerwowany, co do końca wytrąciło mnie z równowagi. Pewnie zamierzał sprzedać mi kolejną ze swoich wyssanych z palca historyjek o zakradających się nocami do domów szarych istotach. Skrzywiłam się.

– Słuchaj, nie wiem... Właśnie się zabrałam za pisanie i sam rozumiesz... – skłamałam, jednak nie czułam się winna.

Mój święty spokój liczył się dla mnie o wiele bardziej niż jego chęć wygadania się. Ku mojej radości zbytnio nie naciskał.

– Jasne, rozumiem. Odezwę się innym razem – powiedział tylko i po krótkim pożegnaniu szybko się rozłączył.

W jego głosie nie usłyszałam nawet cienia wyrzutu, jednak znałam go na tyle, żeby wiedzieć, że najprawdopodobniej udało mi się go urazić. Cóż, trudno... Nie miałam ochoty na kolejne bajeczki o sterujących naszymi umysłami obcych.

Dzień minął mi na pisaniu. Zabrałam się za rozpoczęty niedawno kryminał i bez cienia samochwalstwa musiałam przyznać, że szło mi nieźle. „Jeśli utrzymam tempo, z końcem lata będę miała całość” – cieszyłam się w duchu, nie mając pojęcia, jak kręta i kamienista okaże się ścieżka, na którą właśnie weszłam.

23.

Brakowało paru minut do dziesiątej przed południem. Leszek czekał na mnie przy starej gorzelni, niedaleko szosy, z której parę dni wcześniej zabrałam do samochodu błakającą się po okolicy dziewczynę. Zauważyłam, że kupił sobie nowy, raczej drogi rower i mocno się opalił – musiał spędzić przynajmniej kilka bitych godzin nad wodą.

- Cześć! – Pomachałam mu.
- Cześć. – Uśmiechnął się.
- Jak szwy? Mam nadzieję, że nie będziesz mieć blizny...
- Gdyby co, będzie na pamiątkę. Takie miłe lato – powiedział zaskakująco lekkim tonem.
- Posłuchaj, naprawdę jestem ci wdzięczna, że nie zrobiłeś z tego zajścia jakiejś wielkiej sprawy. Wiem, że mogłeś narobić Łukaszowi sporych nieprzyjemności. W końcu praktycznie się na ciebie rzucił i masz na to świadków.
- Nie jestem pamiętliwy. Chłopak trochę sobie wypił i go poniosło. Zresztą mając taką fantastyczną dziewczynę, sam byłbym pewnie zazdrosny. – Mrugnął do mnie.
- Pochlebca. – Roześmiałam się.
- To co? Jedziemy w stronę zamku czy może masz ochotę na zwiedzanie poniemieckich bunkrów?
- Daj spokój. Nawet Emilowi nigdy nie udało się mnie tam zaciągnąć. Umieram ze strachu na samą myśl o nietoperzach. – Wzdrygnęłam się. – Może nad jezioro? Poopalamy się – zaproponowałam.
- Mam lepszy pomysł. Odkryłem ostatnio rewelacyjne miejsce.
- Daleko? – zapytałam.
- Tylko nie mów, że już jesteś zmęczona?
- Odrobinę. – Roześmiałam się ponownie.
- Maruda. Ale masz fart. W zasadzie to niedaleko. Jakies czterdzieści minut leniwego pedałowania i będziemy na miejscu.

– Dobra, skoro tak mówisz.

Ruszyliśmy wzdłuż drogi. Powietrze falowało od upału, a po nieskazitelnie lazurowym niebie nie żeglowała nawet jedna chmurka. Szosa była pusta i pełna kolein. Jechałam za Leszkiem, starając się utrzymać dość ostre tempo, które mimowolnie mi narzucił. Nogi rozboleły mnie żenująco szybko, mięśnie ud dosłownie piekły, w prawej łydce złapał mnie lekki skurcz. „Jeśli on nazywa tę przejażdżkę leniwym pedałowaniem, po drodze chyba padnę” – pomyślałam, wyraźnie zwalniając.

– Na popołudnie zapowiadali burzę – powiedział Leszek, odwracając głowę w moją stronę.

– Żartujesz?! Dawno nie było takiego bezchmurnego dnia.

– Pożyjemy, zobaczymy – rzucił i lekko zwolnił, jakby w końcu do niego dotarło, że za bardzo pędzi.

Przez kilka kolejnych minut jechaliśmy równym rytmem. We włosach tańczył mi wiatr, słońce pieściło policzki. Przyglądając się mijanemu krajobrazowi, nie mogłam przestać myśleć o Emilu. „Ile razy tędy przejeżdżaliśmy? Dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt?” – zastanawiałam się, tymczasem Leszek krzyknął, że już niedaleko. Jakiś kilometr później wjechaliśmy w las. Powietrze pachniało żywicą, upał zdawał się lekko zelżeć. Pedałowaliśmy w milczeniu – Leszek pogwizdując, ja pogrążona we własnych myślach. Kwadrans później mój znajomy powiedział, że ostatni kawałek musimy pokonać pieszo.

– Jest zbyt stromo, żeby dalej jechać. Dasz radę wciągnąć rower tą ścieżką pod górę? Gdyby co, zajmę się obydwoma – zaproponował.

– Dam radę – uparłam się, czego szybko pożałowałam.

Dróżka była wąska, pełna nierówności i wyrastających gdzieś z udeptanej ziemi białych wapiennych kamieni. Szłam, pchając przed sobą rower, dopóki ramiona całkiem nie odmówiły mi posłuszeństwa.

– Poczekaj tutaj. Wniosę mój rower i wrócę po twój – powiedział Leszek nieznośnym sprzeciwu tonem.

Tym razem się poddałam – nie miałam siły iść dalej. Kornat ruszył pod górę, pchając przed sobą swój rower z taką łatwością, jakby ważył tyle, co nic. Zaklinowałam tylne koło mojego „górala” o duży

kamień i ciężko oparłam się o ramę. Upał w połączeniu z kolejną nieprzespaną nocą zdawał się wysysać ze mnie resztkę energii.

– Dawaj go! – Leszek zwinnym zygzakiem zbiegł ścieżką w dół i wziął ode mnie rower.

Ruszyłam w ślad za nim, coraz ciężiej oddychając na bezlitośnie pnącej się w górę stromiźnie.

– Daleko jeszcze? – sapnęłam, opierając się o pień wysokiej sosny.

– W zasadzie jesteśmy na miejscu. Jeszcze parę kroków. No, chodź, nie ociągaj się! Warto się wdrapać, bo widok stąd jest fantastyczny! Odkryłem to miejsce rok temu. Zazwyczaj wpadam tutaj podczas dłuższego joggingu, ale dzisiaj nawet wizja wtaszczenia rowerów pod tę górę mnie nie zniechęciła! Jesteś? – Obejrzał się przez ramię i podał mi rękę.

Polana, na której leżały oba nasze rowery, była skąpana w słońcu. Pośrodku niej porośnięta wysokimi krzewami stała stara kamienna baszta.

– To musi być fragment jakichś dawnych fortyfikacji. Tam dalej jest jeszcze spory kawał obronnego muru. – Leszek wskazał ręką. – Spójrz w dół! Jezioro widać, jak na dłoni.

– Pięknie – przyznałam, rozglądając się dookoła. – Aż dziw bierze, że nie zastaliśmy tu dzikich tłumów letników. Sama nie miałam pojęcia, że w okolicy jest takie urokliwe miejsce.

– A widzisz. Przy mnie zawsze się czegoś nauczysz. – Uśmiechnął się. – Chodź, wdrapiemy się na basztę. Schody są w dobrym stanie, a z góry jeszcze lepiej widać panoramę miasteczka.

Ruszyłam przez wysoką trawę.

– Pomyślałem, że posiedzimy sobie tutaj przez jakiś czas. Mam piwo, krakersy, pastę z łososia i mandarynki. Jesteś głodna?

– Nie bardzo. Ale niebawem zgłodnieję. Pojeździe w tym upale wyjem ci pewnie z pół plecaka. – Roześmiałam się. – W sumie powinnam pomyśleć i zabrać jakieś ciasto...

– Daj spokój. To ja cię zaprosiłem. Chodź, tędy. – Leszek podał mi rękę, kiedy usiłowałam precyzyjnie się do środka kamiennej wieży poprzez zarośnięte wysokimi pokrzywami, przerdzewiałe i na wpół uchylone drzwi.

W środku panował przyjemny chłód. Cuchnęło jednak stęchlizną, a na popękanej kamiennej podłodze pełno było drobinek szkła.

– Ostrożnie. Idź w ślad za mną.

Zmrużyłam oczy, usiłując przyzwyczaić wzrok do panoszącego się w środku półmroku. Schody były ukruszone. Zrobiłam kilka niepewnych kroków, starając się na nic nie nadepnąć. Śmieci były wszędzie – puszki po piwie, papierki po cukierkach, zużyte prezerwatywy i mnóstwo najprzeróżniejszych odpadów dosłownie zawałało posadzkę.

– Chyba jednak nie tylko ty odkryłeś to miejsce. – Uśmiechnęłam się krzywo, przystając na półpiętrze.

Przez zakratowane wąskie okienko zauważyłam nasze rowery i coś, jakiś ciemny cień, który przemknął pomiędzy drzewami. Sylwetką przypominał niewysokiego, szczupłego człowieka, jednak zwinność, z jaką przesunął mi się przed oczyma, nie miała w sobie nic ludzkiego. Zdawał się dosłownie płynąć pomiędzy rosnącymi na skraju polany iglakami; jakby poruszała nim jakaś dziwna niezemska siła.

Leszek stał tuż za mną, czułam na karku jego ciepły oddech.

– Widziałeś? – szepnęłam.

– Co? – zdziwił się.

– Ktoś tam jest. Mignęła mi pomiędzy drzewami czyjaś sylwetka. – Wskazałam palcem polanę.

– Nie żartuj. Nikogo nie widziałem.

– Leszek, ktoś tam był! – upierałam się.

Błysnęło i lazur spokojnego przedpołudniowego nieba przecięła dziwna srebrno-zielonkawa błyskawica.

– Przed chwilą nie było nawet jednej chmurki – szepnęłam, przejęta nagłym strachem.

Pomimo panującego na zewnątrz upału przeszedł mnie zimny dreszcz.

– Boisz się burzy? – zapytał Kornat, nawet nie kryjąc rozbawienia. – Przy mnie nie musisz się niczego bać – dodał tonem rasowego macho.

Wciąż staliśmy na półpiętrze. Nagle Leszek objął mnie w pasie i pocałował w szyję.

– Cudownie pachniesz – wymruczał, błędząc rękoma po moich piersiach.

W pierwszej chwili, zbyt zszokowana jego niespodziewanym zachowaniem, stałam jak wmurowana, nie mogąc się ruszyć. W końcu pchnęłam go na ścianę i rzuciłam się schodami w dół, niemal się wywracając na kilku ukraszonych ceglach.

– Natalia, czekaj! Przecież wiem, że o mnie myślałaś! – krzyknął za mną.

Potknęłam się i niemal upadłam. Przy okazji zdarłam sobie skórę na łokciu. Leszek dopadł mnie w wąskim przejściu i przyciągnął do siebie.

– No, chodź, co ci szkodzi? Nie mów, że wolisz tego smarkacza od prawdziwego faceta? – szepnął.

Głos mu drżał, w oczach płonął ogień nagłego pożądania. Jego ręce były wszędzie. Wsunął je pod moją bluzkę, błądził po moich plecach, brzuchu i pośladkach. Krzyknęłam, ale zasłonił mi usta.

– Ćśśś, nie drocz się ze mną – warknął, a w jego głosie nie słyszałam już nawet cienia czułości.

Wyciągnął mnie na zewnątrz i pchnął mnie na trawę. Poleciałam na plecy, lądując ramieniem w wysokich pokrzywach. Zwalił się na mnie w momencie, w którym udało mi się wymacać palcami dużą, solidną cegłówkę. Powiedział, że zawsze mu się podobałam. Kazałam mu przestać, ale nie słuchał. Szarpiąc się z zapęciem moich spodenek, wymruczał, że marzył o tej chwili od dawna. Chyba wtedy do mnie dotarło, że on naprawdę zaraz mnie zgwałci. Ochryple krzyknęłam, ale tylko się zaśmiał.

– Krzycz sobie, ile wlezie. Nie ma tu żywego ducha – powiedział ostrym, chrapliwym tonem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam.

Nie mogłam oddychać. Jego ciężar na moim ciele, coraz nachalniejsze pocałunki, zamglony z pożądania wzrok – to już nie był dawny znajomy, z którym wybrałam się na rowerowy piknik. Miałam do czynienia ze zwyrodniałym gwałcicielem, który z premedytacją zaciągnął mnie na to odludzie! Wzięłam zamach, celując w jego głowę. Cegła była zaskakująco ciężka, ale nie zawahałam się nawet przez ułamek sekundy. Trafiony w głowę Leszek jęknął, przez chwilę skupiając się na swoim bólu. Wysunęłam się spod niego, krzycząc,

gryząc i drapiąc. Krew z jego rozbitej skroni skapnęła mi na dekolt, plamiąc koronkę beżowej bluzki na cieniutkich ramiączkach. Rzuciłam się do biegu, w panice przedzierając się przez wysoką trawę. Rowery leżały jakieś dwadzieścia metrów dalej, jednak wiedziałam, że taszcząc ze sobą „górala” stromą, wąską ścieżyną nie mam najmniejszych szans na ucieczkę. Wbiegłam pomiędzy drzewa, jednak tym razem chłód gęstego lasu nie przyniósł mi ukojenia. Było mi gorąco i zimno jednocześnie, nogi miałam jak z waty. „Biegnij! – mówiłam sobie. – Biegnij i nie oglądaj się za siebie!”.

Upadłam mniej więcej w połowie skarpy – przebierałam nogami coraz szybciej, aż w końcu grunt usunął mi się spod nich i runęłam jak długa. Pociemniało mi w oczach, przecięta warga i rozbity łokieć bolały, jednak nie na tyle, żeby mnie spowolnić. „Musisz biec!” – powiedziałam sobie, zbierając się z ziemi. Spojrzałam w tył i krzyknęłam, zasłaniając usta dłonią. Leszek był już w połowie ścieżki i pędził prosto w moją stronę. Zwinny, zdesperowany, trawiony jakąś chorą żądzą.

– Natalia! – wrzasnął i coś w jego głosie dodało mi sił.

Popędziłam w dół. Zniknął ból, zmęczenie upałem i strach – był tylko dziki, zwierzęcy pęd w stronę szosy, ludzi, cywilizacji. Dopadł mnie jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, złapał za rękę i przyciągnął do siebie.

– Przepraszam – szepnął.

Szarpnęłam się, ale trzymał mocno.

– Przepraszam, musisz mi wybaczyć. Nie wiem, co we mnie wstąpiło... Nie planowałem tego, słyszysz?! Myślałem o tych krakersach z łososiową pastą i piwie, które już się pewnie za bardzo nagrzało, a wtedy stanęliśmy na półpiętrze i... to był jakiś impuls, jakby nagle coś odezwało się w mojej głowie: „Zerznij ją, przecież zawsze ci się podobała...”. Ja nie chciałem, musisz mi uwierzyć! Jestem miłym facetem, zawsze byłem! – krzyknął. – Wróćmy na polanę, pogadajmy. Błagam cię, nie żegnajmy się w taki sposób!

– Puszczaj! – wrzasnęłam, odpychając go.

Zachwiał się, ale nie upadł.

– Natalia, to nie byłem ja! Musisz mi uwierzyć, musisz zrozumieć!

Przepraszam cię, ja...

Rzuciłam się do biegu, starając się nie myśleć o krwi na jego twarzy, obłędzie w oczach i tajemniczym cieniu, który przemknął pomiędzy drzewami na chwilę przed tym, co się stało. Biegłam aż do szosy, mokra od potu, oszalała z przerażenia, chora z upokorzenia. Bluzka przylepiła mi się do pleców, łydki zharatałam do krwi o gałęzie. Dopiero idąc wzdłuż jezdni, pomyślałam o Łukaszu. Przyjedzie po mnie, jeśli po niego zadzwonię? Tylko co mu powiem, kiedy zapyta, co się stało? Jeśli zarysuję mu całą sytuację, gotów jeszcze zabić Leszka. Zbyt dobrze pamiętałam jego wściekłość podczas tamtej bójki w Zielonym Łabędzie, żeby ryzykować ich kolejną konfrontację. Wyjęłam z kieszeni telefon, którego jakimś cudem udało mi się nie zgubić. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić po Maćka, kiedy ktoś zatrąbił. Ośloniłam oczy od słońca, przyglądając się jadącemu w moją stronę staremu granatowemu autu. Dopiero chwilę później zdałam sobie sprawę, że za kierownicą siedzi pan Feliks – ekscentryczny, noszący kowbojski kapelusz staruszek, którego spotykałam czasem spacerującego po Lisim Wzgórzu.

- Co się stało? – zapytał, kiedy wsiałam do samochodu.
- Spadłam z roweru – skłamałam, nie patrząc mu w oczy.
- A rower gdzie? – zdziwił się.
- Zostawiłam go w lesie. Kupa złomu, jutro po niego podjadę. – Machnęłam ręką, odgarniając z czoła lepiący się od potu kosmyk włosów.
- Możemy go zabrać od razu – zaproponował pan Feliks. – Jeszcze ktoś go ukradnie...
- Nie! To znaczy, wolałabym jechać prosto do domu – powiedziałam.
- Jasne, jak sobie panienska życzy – zgodził się staruszek, zawracając na wąskiej drodze.

Pomyślałam, że tym razem mnie jakaś litościwa dusza zgarnęła do samochodu, kiedy zakrwawiona i przerażona szłam poboczem, i wydało mi się to tak żalosne, że zaczęłam płakać.

- Oj, chyba nie za starym rowerem tak dziewczyna rozpacza? – zapytał pan Feliks, na moment odrywając wzrok od drogi.

– Z Łukaszem się pokłóciłam – rzuciłam pierwsze kłamstwo, które przyszło mi na myśl.

– No i trzeba było tak od razu. Bo już myślałem, że upał panience zaszkodził. Na takim słońcu z odkrytą głową za długo lepiej nie siedzieć – mruknął staruszek.

– To nie upał – powiedziałam.

Na szczęście stary Feliks nie podjął dyskusji. Włączył radio i, podśpiewując do wtóru z Rodem Stewartem, wcisnął gaz, wymijając wlokącą się przed nami mazdę.

– Jedzie, jucha, jakby chciał, a nie mógł. Pewnie baba jakaś, bo kto by inny? Baby za kierownicą to istna zmora, ale co niby człowiek poradzi? Przecie im się prawa jazdy nie odbierze, bo dopiero by te wszystkie feministki zaczęły ujadać. Nie raz widziałem, jak jedna z drugą jedzie! Jak żyrafa na łyżwach, tak się po tych szosach poruszają, poczwary! – psioczył staruszek. – O, baba! Nie mówiłem, że baba?! – triumfował, wyprzedzając mazdę.

Nie chciało mi się nawet tego komentować, więc kompletnie się wyłączyłam. Docinki na temat bab za kierownicą zawsze wyjątkowo mnie wkurzały. Może i zdarza nam się powodować więcej stłuczek, ale to nie my zabijamy siebie i innych, prując prawie dwieście na godzinę, często gęsto na podwójnym gazie. Więc niech nam faceci nie wmawiają, że jesteśmy marnymi kierowcami, bo nigdy w to nie uwierzę!

– Co dziewczyna tak zamilkła? – zainteresował się w końcu stary Feliks.

Na końcu języka miałam jakąś złośliwą uwagę, ale dałam sobie spokój. W końcu staruszek zawsze był dla mnie miły, a że miał dość dyskusyjne poglądy, to już nie moja sprawa.

24.

Dochodziła dziewiętnasta. Ogarnęłam się na tyle, żeby nie wyglądać jak siedem nieszczęść, i zrobiłam sobie kanapkę. Kładąc ser na grubo posmarowanej masłem kromce chleba, zauważyłam, że lekko drżą mi dłonie, ale w zasadzie to było wszystko. Ból głowy minął, a niepokój, jaki czułam przez większość dnia, szczęśliwie też gdzieś się ulotnił. Boruta jednym susem wskoczył na stół, dostojnym, leniwym krokiem przechadzając się pomiędzy zostawionymi tam przez Łukasza talerzami po ciastkach.

– Złaż! – Podniosłam głos. – Wiesz, że tego nie znoszę! Cicho miauknął, rytmicznie machając ogonem.

– Złaż ze stołu! – Rzuciłam w niego lnianą ścierką.

Zwinnie zeskoczył na podłogę, żeby chwilę później usadowić się na podarowanym nam kiedyś przez Macieja krześle z wysokim rzeźbionym oparciem. Soląc leżące na kanapce cieniutkie plasterki ogórka, miałam nieprzyjemne wrażenie, że kot nie spuszcza ze mnie swoich zmrużonych ślepiów. Ugryzłam pierwszy kęs, kiedy w mojej głowie usłyszałam obcy, dziwnie metaliczny głos: „Nie mów, że nie chciałaś się z nim pieprzyć... Jasne, zawsze warto pobawić się w niedostępną, ale – tak między nami – miałaś na niego chrapkę, co?”.

Krzyknęłam, strącając stojącą na samym brzegu stołu wysoką szklankę po lemoniadzie. Kilka długich sekund zajęło mi pojęcie, że w niezrozumiały dla mnie, szokujący sposób telepatycznie przemówił do mnie... kot.

„No co się tak gapisz? Przecież od dawna podejrzewałaś, że coś jest ze mną nie tak... To chciałaś się z nim pieprzyć czy nie? W sumie przystojny facet, a okazja taka romantyczna. Łukasz raczej by się nie dowiedział, zresztą tym akurat nigdy się nie przejmowałaś... Z tego, co wiem, Emila też kiedyś zdradziłaś. Kiedy to było? Dwa lata temu? Dwa i pół?”.

– Zamknij się! – krzyknęłam, łapiąc się za głowę. „No co? Może kłamię? Możesz sobie udawać cnotkę niewydymkę, ale oboje znamy

prawdę”.

– Stul tę japę – wycedziłam.

Kot cicho miauknął i zmrużył ślepią. Rzuciłam w niego papciem. Uskoczył. Wpadłam w szal, dosłownie jakbym była w jakimś amoku.

– Jesteś tylko pierdolonym kotem! Nie możesz do mnie mówić, nie mogę cię słyszeć w mojej głowie! Wynoś się stąd, ty miauczająca kreaturo, wypierdalaj z mojego domu! Słyszałeś, kurwa?! Wypieprzaj mi stąd! – wrzasnęłam.

Śmignął do przedpokoju. Z drugim pantoflem w rękę wybiegłam za nim, przy okazji boleśnie uderzając gołeniami o kant drewnianej skrzyni.

„Auć!”.

– Zamknij się! – wrzasnęłam, usiłując złapać kota w ciasnym pomieszczeniu.

– Co ty wyprawiasz? – Łukasz wszedł do domu w momencie, kiedy wyzywając Borutę od najgorszych, usiłowałam wyrzucić go przez frontowe drzwi.

Oparłam się o ścianę, nie mogąc powstrzymać płaczu.

– Ten kot... Z tym kotem jest coś nie tak. Obserwuje mnie, śledzi, łązi za mną krok w krok, a teraz to!

– A teraz co? Natalia, dobrze się czujesz? – Łukasz sprawiał wrażenie naprawdę zszokowanego moim wybuchem.

Osunęłam się na podłogę, zakrywając twarz dłońmi.

– Boże jedyny, czyja zwariowałam? Ja tracę rozum, słyszysz?!

Łukasz kucnął, złapał mnie za ramiona i delikatnie mną potrząsnął.

– Skąd te siniaki? Natka, co się z tobą dzieje? Kotku, powiedz coś.

Wytarłam oczy i usiłowałam wstać, jednak nogi tak mi się trzęsły, że nie potrafiłam podnieść się z podłogi.

– Natalia, co ci się stało? Co tu się, kurwa, wyprawia? Jesteś ranna, uderzyłaś się w głowę?

– Spadłam z roweru – powtórzyłam kłamstwo, które kilka godzin wcześniej sprzedawałam staremu Feliksowi.

Łukasz usiadł obok mnie i objął mnie ramieniem. Trzęsłam się jak osika, jednak bliskość jego ciała podziałała na mnie kojąco. Pocałował mnie w szyję i delikatnie pogłaskał po włosach.

– Darłaś się na tego futrzaka tak, że naprawdę się przeraziłem – powiedział cicho.

Na wzmiankę o czworonogu znowu się zdenerwowałam.

– Z nim jest coś nie tak! To nie jest kot! – krzyknęłam.

– Nie kot? – jak echo powtórzył Łukasz.

W jego głosie usłyszałam skrajne niedowierzanie. Zupełnie jakby usiłował uwierzyć w coś, co na siłę chciał mu wmówić ktoś niespełna rozumu.

– Wyrzuć go stąd! Nie chcę go widzieć w tym domu! – Rozplakałam się.

– Tak się nie robi! Karmisz go od dłuższego czasu, a teraz...

– Niech stąd wypierdala! – krzyknęłam histerycznie, zrywając się z podłogi.

Boruta, niemy świadek naszej kłótni, przyglądał nam się z drewnianej skrzyni, rytmicznie machając ogonem.

„Daj spokój, słyszysz samą siebie? Chłopak gotów jeszcze zadzwonić po karetkę. A coś mi mówi, że nie spodobałoby ci się u czubków” – usłyszałam w głowie pełen ironii metaliczny głos.

– Zamknij się! – szepnęłam, szarpiąc się z frontowymi drzwiami.

– Natalia, co się z tobą dzieje? Zdajesz sobie sprawę, że kiedy wszedłem, z pantoflem w dłoni, bluzgając jak opętana, goniłaś kota?

– To nie jest zwykły kot! – szepnęłam.

„Serio? Sporo czasu zajęło ci odkrycie, że mam z kotem tyle wspólnego, co tuńczyk z wielorybem”.

„Zamknij się!” – pomyślałam.

– Natalia? – Łukasz z zatroskaną miną podał mi szklanekę wody.

Zrozumiałam, że jeśli nie powiem czegoś, co chociaż w pewnym stopniu go uspokoi, Łukasz naprawdę weźmie mnie za wariatkę.

– Przepraszam, mam migrenę. Kocur rozbił mój ulubiony wazonik i trochę mnie poniosło – łamiącym się głosem rzuciłam pierwsze lepsze kłamstwo, jakie przyszło mi do głowy.

Przytulił mnie bez słowa, jednak czułam, że wciąż jest zszokowany moim zachowaniem.

– Zrobię nam coś do jedzenia – powiedział chwilę później.

Poszłam za nim do kuchni i uchyliłam okno. Wciąż cała się trzęsłam,

jednak robiłam wszystko, żeby nie okazywać emocji. Wyjęłam z szafki opakowanie pełnoziarnistego makaronu i znalazłam w jednej z szafek stary, kupiony lata temu przez Emila durszlak. Na jego widok przypomniały mi się „świderki” ze słodką śmietaną i truskawkami, które latem lubił serwować Emil, a wspomnienie naszych wspólnie jedzonych na polanie przed domem śniadań wydało mi się zaskakująco bolesne.

Łukasz nastawił wodę, a dźwięk pracującego czajnika wyrwał mnie z zamyślenia.

– Mam ochotę na spaghetti. Zrobisz? – zapytałam.

– Jasne, przygotuję carbonarę. Przynieś trochę szczypiorku, okay? – poprosił.

„I co? Już po całej aferze? Muszę przyznać, że jestem lekko rozczarowany. Nieźle się zapowiadało, a tu taki klops... Swoją drogą, naiwny z tego Łukasza gość, skoro dał sobie wcisnąć tę bajeczkę o rozbitym wazoniku. Na jego miejscu zadzwoniłbym po doktora od czubków” – usłyszałam w głowie głos kota.

Wciąż siedział na drewnianej skrzyni w przedpokoju i wyraźnie szukał zaczepki, jednak minęłam go bez słowa, świetnie wiedząc, że futrzany skurwiol ponownie chce mnie sprowokować. Przed domem, zrywając szczypiorek, zaczęłam się zastanawiać, gdzie się teraz szwenda Boruta. Wciąż siedzi w przedpokoju? A może wymknął się przez niedomknięte drzwi i przyczał się gdzieś za moimi plecami, żeby sączyć mi do głowy te swoje wywody? Obejrzałam się przez ramię. Pusto.

– Idiotka – mruknęłam pod nosem i parsknęłam nerwowym śmiechem.

Jednak na widok wyłaniającego się z za domu Boruty, instynktownie się cofnęłam i wbiłam nienawistne spojrzenie w jego ślepie. Wiedziałam, że to idiotyczne, ale nagle zdałam sobie sprawę, że panicznie boję się własnego kota.

„Daj spokój, przecież nie gryzę. Drapię, owszem, ale nie gryzę. Wyglądasz, jakbyś zobaczyła upiora” – kot odezwał się w mojej głowie i śmignął w wysoką trawę.

Kiedy wróciłam do kuchni, Łukasz rozmawiał przez telefon.

– Dobrze, uspokój się. Będę za parę minut, okay? Mirka, uspokój się! Zamknij się w kuchni i czekaj na mnie. Już jadę! Nie becz i nie otwieraj jej drzwi!

– Co jest? – zapytałam, kiedy się rozłączył.

Wsunął komórkę do tylnej kieszeni dżinsów i chwycił kluczyki.

– Mirka potrzebuje pomocy. Chyba coś zaszło między nią a matką. W każdym razie młoda strasznie płakała, ledwo mogła mówić...

– Jadę z tobą – zdecydowałam.

– Skoro koniecznie chcesz być świadkiem żenującej rodzinnej awantury, nie mam nic przeciwko. – Wzruszył ramionami.

Rzuciłam szczypiorek na kuchenny blat, w pośpiechu zamknęłam dom i wybiegłam na podjazd.

– Wsiadaj! – ponaglił mnie Łukasz i zapalił silnik.

Zapytałam, co dokładnie się stało, ale nie potrafił mi odpowiedzieć.

– Przekonamy się na miejscu – powiedział tylko, gwałtownie ruszając.

Do miasteczka dotarliśmy w rekordowo szybkim czasie – szaleńczej jazdy Łukasza nie powstydzilby się żaden drogowy pirat, jednak nie mogłam mu się dziwić. W końcu chodziło o jego siostrę. Dziewczyna potrzebowała pomocy, a ja znałam już ich matkę na tyle, żeby wiedzieć, że sytuacja mogła być poważna.

25.

Mirkę zastaliśmy w kuchni. Zabarykadowała zarówno drzwi od strony lokalu, jak i te prowadzące z parkingu.

– To ja, otwórz, do cholery! – Łukasz dobijał się chyba ze trzy minuty, zanim siostra wpuściła go do środka.

Na jej widok krzyknęłam, instynktownie się wycofując. Miała rozbitą głowę, zalaną krwią sukienkę i brzydko rozciętą wargę. Posoka zachlapała też białe kafelki i skapywała z kuchennego blatu, prosto na podłogę.

– Ukruszyła mi zęba. – Dziewczyna rozplakała się i, jakby wyssana z resztek sił, oparła się plecami o ścianę.

– Matka? Matka ci to zrobiła? – dopytywał się Łukasz. – Mirka, powiedz mi, co jest grane! – krzyknął.

Wyglądał tak, jakby miał ochotę nią potrząsnąć, na siłę chcąc wydobyć z pobitej dziewczyny prawdę. Położyłam mu rękę na ramieniu, co odrobinę go przystopowało.

– Usiądź, trzeba cię opatrzeć – powiedział łagodniejszym tonem.

Wyjęłam z szuflady białą lnianą szmatkę i zmoczyłam ją.

– Daj spokój, apteczkę trzeba znaleźć – ofuknął mnie, jednak w jego głosie nie było złości. Bardziej coś na kształt bezsilności.

– Może zawieźmy ją do szpitala? – wyszeptałam.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna, przycupnąwszy na jednym z kuchennych taboretów, na których obierała zazwyczaj warzywa.

– Spokojnie, pokaż to. – Łukasz przemawiał do niej kojącym, pełnym ciepła tonem i chyba po raz pierwszy, odkąd go poznałam, uwierzyłam, że pomimo dystansu, jaki dzielił tych dwoje, mój facet naprawdę kochał młodszą siostrę.

Rozglądałam się po dusznej kuchni w poszukiwaniu apteczki, kiedy ktoś załomotał w ciężkie drzwi od strony lokalu.

– Otwieraj! Jeszcze z tobą nie skończyłam! – Usłyszeliśmy zachrypnięty głos gospodyni.

Mirka krzyknęła, chowając się za plecami brata.

– Otwieraj, dziwko! – Matka Łukasza nie przebierała w słowach.

Poczułam się zbędna. „Co ja robię pośrodku tej krępującej rodzinnej afery?” – pomyślałam. Przyjechałam, żeby wspierać Łukasza, nagle jednak dotarło do mnie, że on jest po prostu zażenowany moją obecnością.

– Chyba nic tu po mnie, poczekam na ciebie na zewnątrz – zaczęłam cicho.

– Łap! – Łukasz rzucił mi kluczyki do swojego kombi. – Jedź do domu, tak będzie najlepiej.

Zapytałam, jak zamierza wrócić do „Emilówki”.

– Podrzuci mnie któryś z kumpli, nie martw się.

Spojrzałam na Mirkę. Wyglądała na zachwyconą moją decyzją, zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Krzyżyk na drogę!”. Wiedziałam, że dziewczyna się wstydzi, znałam to przecież z autopsji. Nigdy nie zapomnę tych ciężkich, wścibskich spojrzeń gapiów ze szpitalnego korytarza, kiedy czekałam na obdukcję, po tym jak uderzył mnie mąż. Chciałam wtedy zniknąć, zapaść się pod ziemię, przepaść, jednak musiałam tam tkwić i, gapiąc się w ścianę, udawać, że nie stało się nic wielkiego...

Wyszłam na parking, zatraskując za sobą ciężkie drzwi.

Byłam w połowie drogi na Lisie Wzgórze, kiedy zdałam sobie sprawę, że nie mam najmniejszej ochoty wracać do domu, w którym nie czeka na mnie nic i nikt, oprócz sfiksowanego kota-niekota, gadającego w mojej głowie rzeczy, których z całą pewnością nie chciałam usłyszeć. Zjechałam w prawo i zatrzymałam auto pośrodku niewielkiego leśnego parkingu z kilkoma drewnianymi ławami i starą nieczynną budką, w której parę lat wcześniej młody chłopak z miasteczka sprzedawał w sezonie gofry. Interes nie szedł jednak tak, jak oczekiwał, i od dłuższego czasu budka stała zamknięta, a nocą na opuszczonym parkingu urządzali sobie zakrapiane imprezy miejscowi smarkacze. Wysiadłam, łapczywie wdychając balsamicznie pachnące powietrze, i usiadłam na jednym z drewnianych stołów. Bolał mnie rozbity przed południem łokieć i chciało mi się płakać. Mówiłam sobie, że to nie dzieje się naprawdę, że to tylko moja wybujała wyobraźnia, kilka sennych koszmarów i ponad trzydziestostopniowy

upał, który mąci mi w głowie. Wiedziałam jednak, że wszystko to, co do tej pory wydarzyło się na Lisim Wzgórzu, było tak samo realne, jak ten pełen spokoju moment pośrodku leśnej głuszy.

Siedziałam z przymkniętymi oczyma, starając się skupić na spokojnym oddechu, kiedy usłyszałam znajomy szum. Tym razem brzmiał jednak bardziej jak rój brzęczących nad moją głową pszczół niż śnieżący telewizor, jak było do tej pory. Otwarłam oczy, kurczowo zaciskając palce na krawędzi drewnianego piknikowego stołu. Las dookoła zastygł w nienaturalnym bezruchu. Szumiało mi w głowie i czułam mrowienie w czubkach palców, a otaczające mnie drzewa stały się nagle dziwnie zamazane, jakby spowiła je gęsta mlecznobiała mgła.

Nagle otoczyły mnie twarze. Szare, ściągnięte, z brzydtko napiętą skórą przypominającą zeschnięty pergamin. Migdałowate ciemne oczy wsysały atramentową czernią, hipnotyzujące spojrzenia dziwnych istot gwałtownie mnie uziemiły. Nie mogłam swobodnie oddychać. Strach narastał z każdą sekundą, byłam chyba bliska obłądu. W lesie zrobiło się szaro, polanę spowiła mgła w kolorze ciemnego grafitu; znacznie się też ochłodziło. Czułam się tak, jakbym w poszukiwaniu waniliowych lodów, na moment włożyła głowę do zamrażarki. Spazmatycznie łapałam oddech, chcąc krzyknąć, jednak z mojego zaciśniętego gardła wydobył się tylko cichy, ochryply skrzek.

„Mamy już wobec ciebie plany” – usłyszałam w głowie, a potem cała koszmarna wizja w jednej sekundzie zniknęła, a świat znowu nabrał barw.

Zeskoczyłam z piknikowego stołu i pobiegłam w stronę samochodu. „Mamy już wobec ciebie plany” – dźwięczało mi w głowie. Wsiadłam do auta, w panice zamykając drzwi. Przekreśliłam kluczyk, jednak silnik nie zapalił.

– No, dalej, nawet nie żartuj! – krzyknęłam, w bezsilnej złości waląc rękoma w kierownicę.

Jeszcze jedna próba. Nic.

– Kurwa mać!

Mdłości przyszły nagle, gwałtowną falą gorąca i wyczuwalnej w gardle złości. Otwarłam drzwiczki i zwymiotowałam na ściółkę,

starając się nie myśleć o tym, że wciąż jestem w miejscu, w którym spotkało mnie coś koszmarnie niewytłumaczalnego. Przez dłuższą chwilę starałam się uspokoić oddech. W końcu udało mi się zapalić samochód i odjechać.

Mijając bramę „Emilówki,” zdecydowałam, że wyjeżdżam. Załatwię tylko sprawę z robotnikami, wybrukuję dla Emila ten podjazd i wyjeżdżam z tego chorego miejsca! Nie miałam pojęcia, co, do kurwy nędzy, działo się w okolicy, ale jednego byłam pewna – nie chciałam mieć z tym nic wspólnego!

Boruta siedział na werandzie, mrużąc ślepią w kojącym świetle zachodzącego słońca. „Naprawdę wierzysz, że uda ci się stąd wyjechać? Wierzysz, że będziemy cię mieć na oku tylko tutaj? Byliśmy z tobą w Bielsku, wiesz? Te syki zza śmietnika, zacinające się drzwi od podwórza, karteczka za wycieraczką. Dawno się tak nie ubawiłem. Swoją drogą, bardzo łatwo cię wystraszyć” – usłyszałam w głowie metaliczny głos, jakim przemówił do mnie wcześniej.

– Kolacji nie będzie. Chyba nie sądzisz, że dostaniesz swój whiskey i miskę mleka? – syknęłam, wymijając go na schodkach.

„Obejdzie się. W zasadzie nie muszę jeść, żeby przeżyć. Jestem czymś pomiędzy bytem duchowym a nieznaną wam. Ziemiańom, formą życia”.

– Gównu mnie obchodzi, czym jesteś! Interesuje mnie tylko jedno – wypierdalaj z mojej werandy! – krzyknęłam.

„Jak niegrzecznie. A jeszcze niedawno byliśmy przyjaciółmi...”.

Nie odpowiedziałam. Wyjęłam z torebki klucze i otwierałam frontowe drzwi. Kot chyba wciąż siedział na najwyższym stopniu – czułam, że świdruje mnie wzrokiem, jednak nie zamierzałam dawać mu satysfakcji i obracać się. W domu było duszno i dziwnie cicho. Pomyślałam o Łukaszu: „Kiedy zamierza wrócić? I czy w ogóle pojawi się tego wieczoru?”. Nagle chęć przytulenia się do niego stała się tak silna, że do oczu napłynęły mi łzy. „Czy to możliwe, że jednak zakochałam się w tym smarkaczu?” – pomyślałam, wstawiając wodę na kawę. Po dziwnym incydencie w lesie czułam się senna, rozbita i otepiała. Miałam ochotę położyć się spać, nie chciałam jednak przegapić momentu, w którym Łukasz wróci do domu. „Może

rzeczywiście zaczynam do niego czuć coś, czego nie było w planach?”.

Boruta zmaterializował się w kuchni, kiedy szukałam słoika z neską.

– Jak... Przecież zostałeś na zewnątrz, okna są zamknięte...

„Jak tu wszedłem? Przeszkody fizyczne, takie jak ściana, nie są dla mnie żadną barierą”.

– Czego chcesz?

„Coś bym jednak zjadł. Nie miałem pojęcia, że ta kocia karma jest taka smaczna...”.

W pierwszym odruchu miałam zamiar wyjąć z szafki pozostałe puszki z jego żarciem i cisnąć je do śmieci, coś mi jednak powiedziało, że nie powinnam drażnić tej upiornej kreatury. Sięgnęłam po jego zieloną miskę i wydłubałam widelcem kilka solidnych kawałków wołowiny w sosie. Kot czekał, wpatrując się we mnie zmrużonymi ślepiami.

– Zadowolony? – syknęłam, stawiając miskę w kącie pod oknem.

„Chwilowo. Dzięki, doceniam gest”.

Zaczął jeść. Obserwowałam go zza stołu, nie mogąc się nadziwić nagłej transformacji – wmiatając kocią karmę, nie miał już w sobie nic demonicznego. Ot, zwykły domowy kocur z apetytem wsuwający swoją porcję mięsa.

26.

Godzinę później byłam z powrotem w miasteczku. Wypita w pośpiechu diabelnie mocna kawa z dwiema kopiastymi łyżeczkami cukru zdołała orzeźwić mnie na tyle, żebym nabrała ochoty do życia. Przejeżdżając obok Zielonego Łabędzia, miałam ochotę zadzwonić do Łukasza, ale dałam sobie spokój. Miał teraz własne problemy. Przejechałam przez centrum i podjechałam pod Toskę. Taras na tyłach pubu był w miarę pusty i zdecydowałam, że posiedzę tam, dopóki nie wymyślę, co dalej. Laptop wzięłam ze sobą – zamierzałam poczytać w sieci coś na temat paranormalnych zjawisk. „Może jeszcze komuś przytrafiło się coś podobnego? Może jest jakieś racjonalne wytłumaczenie?” – mówiłam sobie.

Pucułowaty młody kelner pojawił się przy mnie z oprawioną w tandetną czerwień poplamioną kartą dań. Menu ohydnie się lepilo i wyglądało na wyjątkowo sfatygowane, co do reszty odebrało mi apetyt.

– Podłączyć kabelek? – usłużnie zapytał chłopak, kiedy wyjęłam z torby mój leciwy laptop.

– Gdyby był pan tak uprzejmy.

– Co podać? – zapytał chwilę później, przestępując z nogi na nogę, niczym przedszkolak usiłujący zapanować nad własnym pęcherzem.

Poprosiłam o mrożoną kawę z porcją waniliowych lodów. Niczego innego nie byłabym pewnie w stanie przełknąć...

– Już przynoszę. – Kelner posłał mi jeden ze swoich starannie wystudiowanych służbowych uśmiechów i zniknął mi z oczu.

Wpisałam w Google hasło „spotkania z UFO”. Raporty pilotów, niezidentyfikowany obiekt latający nad Glasgow, fundacja Nautilus, czynnik Oz, polskie spotkania z obcymi – przeleciałam wzrokiem kilka pierwszych odnośników i rozmasowałam pulsujące bólem skronie. W końcu, starając się skupić, zaczęłam czytać tekst o poglądach Terence’a McKenny, ekologa i filozofa wierzącego w możliwość komunikowania się z istotami z innych rzeczywistości.

Mrożona kawa pojawiła się na stole pół minuty później, a ja z ulgą zamknęłam czytany tekst i wdałam się w niezobowiązującą konwersację z młodym kelnerem. Wyraźnie znudzony chłopak okazał się całkiem rozmowny. Opowiedział mi o zbliżającym się festynie, letnikach z Rzeszowa, którzy w pijackim widzie wywrócili żaglówkę, i swoim siedmioletnim schorowanym psie, który nigdy wcześniej nie był agresywny, a ostatnio pogryzł listonosza.

– Mówi się, że psy nie lubią mundurów, ale nigdy bym nie przypuszczał, że Zet pogryzie pana Waldka. – W zamyśleniu pokiwał głową.

Momentalnie przypomniałam sobie opowieść Maćka i naszą wyprawę na choleryczny cmentarz. Sąsiad opowiadał mi przecież podobne historie, w które do tej pory nie chciałam uwierzyć. Nagle pomyślałam, że może kelner wie coś więcej, i zapytałam, czy słyszał o jakichś dziwnych zjawiskach, do których niedawno doszło w okolicy.

– Ma pani na myśli te zielonkawe błyskawice? Takie burze zdarzają się tutaj od lat, każdy to pani powie. – Wzruszył ramionami.

– I nie dziwi to pana?

– Mieszkam tu od dziecka i chyba się przyzwyczailem. Paru miejscowych oszołomów opowiada bajeczki o UFO, ale nigdy w to nie wierzyłem. Jedna taka baba, która kiedyś pracowała w szkolnej bibliotece, twierdzi nawet, że obcy porywają ją nocą z jej własnego łóżka, ale niech mi pani powie, kto w to wszystko uwierzy. Chłopa kobita nie ma od lat, to sfiksowała. Stara panna, wiadomo – rzucił chłopak i wyszczerzył się w szerokim uśmiechu. – O, albo taki jeden brodaty gość z domku nad jeziorem, ten to dopiero ma nasrane pod kopułą! Opowiada, że kosmici robią mu po nocach pranie mózgu i każą mu bić żonę. Tłukłby ją pewnie i bez namów obcych, bo zawsze dużo pił i bywał agresywny. No, ale nie ma to jak znaleźć sobie usprawiedliwienie dla własnego skurwysyństwa, co? – Kelner zniżył głos.

– W każdej okolicy znajdzie się paru czubków – powiedziałam, udając, że lekko i bez większego zainteresowania traktuję temat.

– Pewnie tak – przyznał chłopak i podrapał się w głowę. – Super się gawędziło, ale muszę wracać do roboty. Jak mnie szefowa przyłapie

na takim obijaniu się, to mam przesrane – dodał.

Roześmiałam się, rozbawiona jego szczerością, i wróciłam do przeglądania Google. Szybko jednak zniechęciła mnie zamieszczona w sieci ilość zwierzeń najprzeróżniejszych oszołomów, z których większość brzmiała niczym bełkot mocno pijanego scenarzysty. Siedziałam w Tosce jeszcze ponad godzinę. W końcu zadzwonił Łukasz i zapytał, gdzie jestem.

– Sebek odwiózł mnie właśnie do „Emilówki”, ale na górze pusto i cicho...

– Jestem w miasteczku, zaraz będę. Jak Mirka?

– Marnie. Pogadamy, kiedy przyjedziesz. Zrobić ci kanapkę? – zapytał i zdałam sobie sprawę, że nie licząc mrożonej kawy z lodami, od rana nie miałam niczego w ustach. Jednak na myśl o jedzeniu mój żołądek dosłownie zawiązał się na supeł.

– Nie jestem głodna. Możesz znaleźć w szufladzie jakąś czekoladę. Będę za kwadrans – obiecałam.

– To pa.

– Pa.

Kiedy dotarłam na wzgórze, Łukasz czekał na mnie na werandzie. Siedział w fotelu, a u jego nóg, zwinięty w połyskliwy kłębek czarnego futra, leżał Boruta. Na widok kota zacisnęłam dłonie w pięści, jednak nie powiedziałam ani słowa. Zresztą co mogłabym powiedzieć? Podeszłam do drzwi. Kot miauknął, kilka razy rytmicznie zamachał ogonem i... otarł się o moją łydkę. Zdrętwiałam.

„Nie spinaj się tak, bo ci jeszcze ciśnienie skoczy... W twoim wieku...”.

– Żartowniś – syknęłam.

– Co? Do kogo ty mówisz? – zdziwił się Łukasz.

– Nie, nic. Piłeś? Masz takie szkliste oczy...

– Jedno piwo. Nie znalazłem czekolady, ale są pierniczki.

– Wszystko jedno. Należesz mi wino?

– Jasne.

Weszliśmy do domu. Kot został na zewnątrz. Wolałam się nie zastanawiać, czy zjawi się niespodziewanie gdzieś pośrodku salonu, czy może w obecności Łukasza będzie udawał najzwyczajniejszego

dachowca pod słońcem. Usiadłam na sofie i okryłam nogi wełnianym pledem. Po spotkaniu na leśnym parkingu wciąż było mi zimno, a wypita w Tosce mrożona kawa jeszcze wzmogła uczucie chłodu.

– Co jest? Marnie wyglądasz. – Łukasz usiadł obok i objął mnie ramieniem.

– Przyganiał kocioł garnkowi – mruknęłam. – Więc... jak twoja siostra?

– Odwieźliśmy ją z Sebkiem do przyjaciółki, piętnaście kilometrów stąd, i kazałem jej tam zostać. Jak się matka stęskni, to się pogodzą. Nie pierwszy raz tak ostro się pozały, ale nigdy wcześniej matka nie uderzyła Mirki.

– Widziałeś się z nią?

– Z matką? W przelocie. Zaczaiła się na mnie na parkingu, wyglądała na skruszoną.

– Powiedziała, dlaczego pobiła Mirkę? – zapytałam.

– Nie.

– To nie pierwszy raz, Łukasz. Sama kiedyś widziałam, jak twoja matka uderzyła twoją siostrę chochlą! Rozbiła jej nos, skłęła dziewczynę od najgorszych... Bluzgała tak, że uszy wędły.

– Nigdy się nie dogadywały.

– Nie dogadywały się?! Łukasz, nie mówimy tutaj o zwykłych sprzeczkach! Twoja matka znęca się nad Mirką fizycznie i psychicznie! – krzyknęłam.

– Przesadzasz – mruknął.

Wyglądał na poirytowanego. I chociaż wiedziałam, że nie przepada za swoją matką, lojalnie stanął po jej stronie.

– Przesadzasz – powtórzył. – Matka jest jaka jest, ale na swój sposób kocha Mirkę.

– Ja przesadzam?! I co to za miłość, wybacz?! – uniosłam się.

Łukasz wstał i przeczesał włosy palcami. Znałam już ten gest; robił tak zawsze, kiedy był wytrącony z równowagi.

– Sorry, ale nie będziemy o tym gadać! – powiedział.

– Czemu? Bo nie należę do twojej rodziny?

– Bo nie mam ochoty na tę dyskusję!

– Łukasz, nie widzisz, że Mirce dzieje się krzywda?!

– To co mam zrobić?!

– Zareagować.

Milczał.

Zapytałam, czy zdaje sobie sprawę, w jakim stanie jest jego siostra.

– Ta dziewczyna wygląda, jakby ktoś wyssał z niej całą energię! Zawsze kiedy ją widzę, mam wrażenie, że ma naprawdę wszystkiego dość...

– Natalia, to naprawdę nie jest twoja sprawa – odburknął Łukasz.

– Okay, jak chcesz. Położę się, miałam fatalny dzień – ucięłam dyskusję, chociaż czułam, że powinnam zrobić dla Mirki coś więcej.

W sypialni było zaskakująco chłodno. Przykryłam się kołdrą i wtuliłam twarz w poduszkę. Bolała mnie głowa i lekko mi się w niej kręciło, a myśli skakały mi pod czaszką, goniły, pędziły, wierciły się, sunąc każda w inną stronę. Zamknęłam oczy, jednak zawroty głowy jeszcze się nasiliły. Zasnęłam dopiero przed północą, ale sen nie przyniósł mi ukojenia. Śniła mi się Aneta. Siedziałyśmy w jej niewielkim ogrodzie, popijając mrożoną herbatę. Popołudnie było upalne, ciche i sielskie. Wokół dzbanka z herbatą kręciła się natrętna osa. Zuzia rysowała coś na rozłożonym nieopodal kocu, z wysuniętym koniuszkiem języka, zamaszyście zdobiac kartkę kwiatami. „Niedługo rodzę” – powiedziała Aneta, głaszcząc się po brzuchu. Zaczęłam krzyczeć. Że nie pozwolę jej zmarnować życia Łukaszowi, że dziecko jest jego, że powinna je nam oddać. „Oddaj nam to dziecko!” – wrzasnęłam. Nagle w mojej dłoni znalazły się duże krawieckie nożyce, którymi pchnęłam ją w brzuch. Buchnęła krew, śluz i wnętrzności, które zaczęły przelewać mi się przez ręce, a chwilę później z rozprutego brzucha ciężarnej sąsiadki z dziwnym chrzęstem wysypały się setki obrzydliwych połyskujących w popołudniowym słońcu chrabąszczy z czarnymi pancerzami. Krzyczałam, dopóki Łukasz nie wyrwał mnie z macek upiornego snu, potrząsając za ramię.

– Chryste, jak się miotalaś. Co ci się śniło? – zapytał, tuląc mnie w ramionach, troskliwy niczym młody ojciec usiłujący uspokoić wyrwane z nocnego koszmaru dziecko.

– Boże – szepnęłam, z trudem łapiąc oddech.

Pogłaskał mnie po policzku.

– Już dobrze, jestem tu – powiedział tym swoim aksamitnym tonem, który tak u niego lubiłam.

– Która godzina? – szepnęłam.

– Nie ma jeszcze pierwszej. Wiesz, że ja też mam ostatnio sporo koszmarnych snów? Wczoraj śniło mi się, że przejechałem samochodem psa matki, a tydzień wcześniej, że zabiłem siekierą naszego sąsiada. Krwawił jak zarzynana maciora, a ja goniłem go przez całe podwórko, wykrzykując naprawdę straszne rzeczy.

Usiadłam na łóżku.

– Posłuchaj, wiem, że to brzmi idiotycznie, ale co jeśli Maciek ma rację? Co jeśli w okolicy naprawdę dzieje się coś złego? W miasteczku dowiedziałam się, że dom starego Józefa ktoś podpalił. Do tego ta sprawa ze zgwałconą przez nauczyciela córką letników, dziwne zachowanie twojej matki, nasze koszarne sny. Co jeśli rzeczywiście dzieje się coś, czego nie jesteśmy w stanie pojąć? – zapytałam cicho.

Łukasz cofnął rękę, którą mnie obejmował i podał mi szklanę wody. Wypiłam ją duszkiem. Miała obrzydliwy metaliczny smak, ale mnie tak bardzo chciało się pić. Serce powoli przestało mi się szarpać w piersiach, jednak nieprzyjemne zawroty głowy pozostały.

– Łukasz? Powiedz coś! A jeśli Maciek się nie myli?

– Daj spokój! – zachnął się. – Nie mów mi, że zdołał namącić ci w głowie. To zwykły czubek! Wiedziałaś, że tuż po zaręczynach z Anetą spędził ponad miesiąc w szpitalu psychiatrycznym? Aż dziw bierze, że taka fajna babka wciąż z nim jest.

– Kochają się, co w tym dziwnego?! – Podniosłam głos.

Zazdrość przyszła nagle, jak zawsze wściekła, nieproszona i pełna żółci. Oczyma wyobraźni zobaczyłam Łukasza kotłującego się na kanapie z Anetą – oboje nadzy, rozpaleni, szepczący sobie czułe słówka, pikantne wyznania, miłosne deklaracje. Pieścił jej piersi, całował jej usta, bładził dłońmi po jej nagim ciele... „Przestań, idiotko! To była jedna jedyna noc” – upomniałam się, ale obraz Łukasza pieprzącego sąsiadkę wciąż uparcie tkwił gdzieś w moich myślach.

– Kochają się! – parsknął, wyraźnie poirytowany. – Kocha ją, dopóki nie uroi sobie, że zagnieździł się w jej ciele jakiś obcy. Wtedy

zwyczajnie zaciuka ją i dziewczynki, bo to zwykły świr!

– Jak możesz tak mówić?! Jak w ogóle możesz insynuować coś tak ohydneho?! Maciek nigdy nie skrzywdziłby rodziny! – wybuchłam.

– Taka jest prawda, kotku. Z nim zawsze było coś nie tak!

– I dlatego właśnie postanowiłeś przelecieć mu żonę i przypadkiem zrobić jej dziecko?! – rzuciłam ze złością.

– Wiesz co?! Żałuję, że w ogóle zaczęliśmy tę dyskusję! – Łukasz odrzucił na bok kołdrę i wyszedł z sypialni, z furią zatrzaskując za sobą drzwi.

Rozpłakałam się i długo nie mogłam się uspokoić. Co się z nami stało? Jeszcze kilka tygodni wcześniej byliśmy pełną radości, hołdującą idei wolnych związków parą. Teraz wykłócamy się niczym małżeństwo z piętnastoletnim stażem, a zżerająca mnie od środka zazdrość dosłownie wypala mi trzewia.

27.

Policja pojawiła się na Lisim Wzgórzu z samego rana. Nie było jeszcze ósmej, kiedy weszli na werandę, dobijając się do frontowych drzwi. Otwarłam im w samej nocnej koszuli, a rozszalała wyobraźnia podsuwała mi coraz bardziej mroczne wizje. – Łukasz miał wypadek w drodze do Zielonego Łabędzia, coś się stało Emilowi, mąż zrobił krzywdę Anecie... Na myśl o Maćku poczułam wyrzuty sumienia. Wciąż nie wierzyłam, że byłby zdolny do jakiegokolwiek przemocy, jednak rozmowa z Łukaszem na dobre zasiała we mnie ziarno niepokoju.

Obaj policjanci byli młodzi i wyraźnie nieopierzeni – na oko mieli jakieś dwadzieścia pięć lat i wyglądali na tak samo zażenowanych całą sytuacją, jak ja.

– Można? – zapytał w końcu ten niższy. Miał odstające uszy, ładne niebieskie oczy i świeżą opaleniznę, której nie powstydziliby się żaden serialowy gliniarz z Miami.

Wyższy chrząknął i uważnie rozejrzał się dookoła, jakby bał się, że zza domu wyskoczy nagle jakiś uzbrojony po zęby bandzior. Weszliśmy do środka. zaproponowałam kawę, ale obaj odmówili.

– Chodzi o Leszka Kornata. Znała go pani?

– Czy znałam? – zdziwiłam się. – Znam.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni? – zapytał wyższy z policjantów, zanim usadowił się na jednym z krzeseł.

– Kiedy?

– Kiedy – powtórzył.

– Nie wiem, wczoraj? Byliśmy na rowerach i...

– I co? – zainteresował się ten drugi.

Nagle załała mnie fala gorąca. Przypomniałam sobie dłonie Leszka pod moją bluzką, natarczywe pocałunki i ciężar jego ciała wgniatającego mnie w porośniętą pokrzywami ziemię, i zrobiło mi się niedobrze. Czy to już zakrawa z mojej strony na przestępstwo? Czy to, że ukrywam przed policją incydent z próbą gwałtu jest już złamaniem

jakichś paragrafów? A jeśli Leszek Kornat będzie tego próbował z inną kobietą? Co jeśli następnym razem nie skończy się na przepychankach? Albo jeśli...

– Proszę pani? – stojący bliżej mnie policjant z rosnącym zniecierpliwieniem usiłował ze mnie wyciągnąć jakiegokolwiek informacje. – Dobrze się pani czuje? Więc widziała go pani wczoraj, tak? O której to było?

– Coś mu się stało? – zapytałam cicho.

Bardzo się starałam, żeby gliniarze nie usłyszeli w moim głosie zdenerwowania, ale ich podejrzliwe spojrzenia jeszcze bardziej wytrąciły mnie z równowagi.

– To my tutaj zadajemy pytania – upomniał mnie ten wyższy, tonem rasowego serialowego gliny.

– Umówiliśmy się na dziesiątą – zaczęłam.

– Rano?

– Tak. Przed południem. Pojechaliśmy rowerami w stronę jeziora, później przez dłuższą chwilę posiedzieliśmy przy tej kamiennej baszcie i wróciłam do miasteczka.

– Sama? – zdziwił się ten z odstającymi uszami.

– Sama.

– Można wiedzieć, dlaczego taką obiecującą sielankową wycieczkę zakończyła pani samotnym powrotem? – zapytał wyższy z policjantów i nie trując się, żeby zasłonić dłonią usta, szeroko ziewnął. – Przepraszam, ciężka noc. Ostatnio fatalnie sypiam.

– Skąd ja to znam – mruknął ten drugi, wbijając we mnie uważne spojrzenie. – To jak to w końcu było? W jedną stronę z nim, w drugą samotnie...? Nie trzyma mi się to wszystko kupy...

– Pokłóciliśmy się i wróciłam wcześniej – przyznałam.

– A te siniaki? Rozbity łokieć, zadrapania na łydkach? – Ten z odstającymi uszami okazał się spostrzegawczy.

– Spadłam z roweru.

– Przed czy po rozstaniu z Leszkiem Kornatem?

– Przepraszam, ale o co panom chodzi?! Jestem o coś podejrzana?! Coś się stało Leszkowi?! – Podniosłam głos.

– Kornat zaginął. Wynajmująca mu pokój starsza kobieta zgłosiła

nam, że nie wrócił, na noc, chociaż obiecał, że będzie najpóźniej o dwudziestej pierwszej – miał jej ustawić antenę.

Wzruszyłam ramionami.

– Żartuje pan? I co z tego, że nie wrócił na noc? To dorosły facet. Może zabalował z jakąś przygodnie poznaną babką, w końcu jest na wakacjach. Trochę wypili, wylądowali w łóżku, został u niej na śniadanie.

– Czyli nie mają państwo romansu? W jego telefonie, który gospodyni zlokalizowała w kuchni, znaleźliśmy kilka SMS-ów od pani i...

– To tylko przyjaciel. Dawny znajomy mojego byłego faceta. I nie, nie mamy romansu.

– Rozumiem. Czyli od wczoraj nie widziała pani Leszka Kornata, nie miała pani z nim żadnego kontaktu i nie ma pojęcia, gdzie może się podziewać?

– Nie, nie i nie – odparłam, lekko poirytowana.

– A ta kłótnia? O co poszło?

– O dom – skłamałam.

– Dom? – zdziwił się ten uszaty.

– Mój były chłopak uprzedził Leszka, kupując ten dom. Myślałam, że już sobie wszystko wyjaśniliśmy, ale, jak się okazało, Kornat wciąż ma o to żal – łągałam w żywe oczy.

Nie wyglądał na przekonanego, a mnie obleciał nagły strach. Okłamywanie policji z całą pewnością nie było dobrym sposobem na rozpoczęcie dnia.

– Czyli Kornat miał żal, bo stracił okazję do kupna domu?

– Właśnie – przyznałam, czując się jak ostatnia idiotka.

Brzmiało to co najmniej dziwnie, skoro twierdziłam, że byliśmy z Leszkiem przyjaciółmi, jednak nie potrafiłam się już wycofać, a słowo się rzekło.

– Jeszcze jedno. Podobno pani dobry znajomy pobił się z Kornatem w Zielonym Łabędzie? Świadkowie mówią, że rzucił się na niego bez powodu.

– Powód był. Zazdrość. – Uśmiechnęłam się krzywo.

– Niemal każdy facet bywa zazdrosny. Co nie oznacza, oczywiście,

że można bezkarnie bić ludzi – filozoficznym tonem rzucił ten z odstającymi uszami.

– Leszek nie wniósł oskarżenia – przypomniałam mu.

– Owszem, ale teraz nagle bardzo nas to zainteresowało. Sama pani przyzna, to dość ciekawe – pani rzuca się na niego z pięściami, a chwilę później Kornat przepadł bez wieści.

– Nie przepadł bez wieści, tylko nie wrócił na noc! Jedna noc! To dorosły facet, a wy wszczynacie larum, bo nie ustawił anteny jakiejś kobiecie?!

– Obiecał pomóc, a gospodyni twierdzi, że jest bardzo słowny.

– No więc złamał obietnicę i zapomniał telefonu. Coś jeszcze?

– Dobra, na razie to tyle. Gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania, wiemy, gdzie pani szukać – mruknął ten wyższy, drapiąc się po głowie.

– Co za ulga – powiedziałam nieuprzejmym tonem, jednak na policjantach moja arogancja nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

Grzecznie się pożegnali i wyszli, zanim zdążyłam zapytać ich, co podejrzewają w związku z tajemniczym zniknięciem Kornata. Nie żebym jakoś szczególnie przejęła się problemami tego zboczonego dupka, ale gryzła mnie ciekawość. W końcu jednak powiedziałam sobie, że gdziekolwiek Leszek polazł, nie było to moją sprawą. Facet prawie mnie zgwałcił, a ja miałabym się nim przejmować?

Łukasz pojawił się w „Emilówce” koło południa.

– Przywiozłem ciasto, matka dla nas upiekła.

– A dodała trutkę na szczury czy odrobinę tojadu? – zapytałam z przekąsem.

– Nie przeginaj! Ona naprawdę się stara.

– Stara się?! Ty wiesz, jak mnie kiedyś nazwała?! Zaszłam do Zielonego Łabędzia, bo chciałam z tobą pogadać. Wyzwała mnie od wywłok i pogoniła! A teraz podsyła mi jakieś zakalcowate gówna?! – wybuchałam.

– Dzięki, Natalia! Zawsze potrafisz spierdolić mi humor! – Łukasz walnął o blat trzymaną w rękę brytfanką i nalał sobie wody.

– Leszek zaginął. Niedawno była tu policja – powiedziałam. – Przepraszam, przegięłam. Po prostu nie lubię twojej matki i myślę, że

to się prędko nie zmieni.

– Nie miała łatwego życia.

– Jak większość z nas.

– Jasne, zwłaszcza ty – parsknął.

– Nic o mnie nie wiesz!

– Nic?

– Niewiele.

– Może kiedyś mi opowiesz?

– Może.

– To co z tym Kornatem? – zapytał, a w jego głosie usłyszałam autentyczną troskę.

– Tylko nie mów, że się przejąłeś? Po waszej bójce...

– Facet zaginął, Natalia! – wszedł mi w słowo Łukasz, nerwowo obracając w dłoniach szklanke. – Przyznasz, że brzmi to poważnie.

– Nie lubiłeś go.

– Nie znałem go, okay?!

– Czemu na mnie krzyczysz? Nie mam pojęcia, co z nim!

– Przepraszam, właściwie to nawet nie chodzi o niego. Przypomniał mi się ojciec.

– Ojciec? Nigdy o nim nie wspominasz...

– Myślę, że w pewien sposób wciąż jestem na niego wściekły.

Usiadłam za stołem. Łukasz przycupnął obok i zapatrzył się w zalaną słońcem polanę za oknem.

– Zniknął w dziewięćdziesiątym piątym. Była niedziela, mroźne marcowe popołudnie. Rodzice słuchali radia, ja czytałem horror Wilsona. Nagle ojciec zerwał się z kanapy i powiedział, że musi wyjść. Matka dopytywała się, dokąd idzie, ale nie odpowiedział. Jakby go coś gnało... Zrzucił ze stóp kaptcie, założył wysokie buty, w locie zapiął kurtkę i tyle go widzieliśmy. Nawet się nie przebrał – wyszedł z domu w starych, znoszonych portkach i naddartej bluzie. Kiedy nie wrócił do drugiej nad ranem, matka zaczęła kompletnie świrować. Zwołała sąsiadów, zaczęli go szukać. Mróz dochodził do minus piętnastu i mało komu chciało się przeczesać okolicę, ale ona się uparła, że coś mu się stało. Dzień później policja znalazła w sąsiednim miasteczku dużego fiata ojca. Z otwartymi drzwiami i kluczami w

stacyjce tkwił na poboczu mało uczęszczanej drogi. Po ojcu ani śladu. Gliniarze podejrzewali, że gdzieś zapił, zaczęli nas przygotowywać na najgorsze. „Jest taka opcja, że padł w jakimś rowie, a mróz zrobił swoje” – powiedzieli nam, jednak ciała nigdy nie znaleziono. Ojciec przepadł, a my do dziś nie wiemy nawet, czy żyje.

– Boże drogi... Straszne.

– Owszem. Wiesz, co wspominał najgorzej? Reakcję ludzi. Większość sąsiadów zachowywała się życzliwie i okazała nam mnóstwo współczucia, ale byli też tacy, którzy śmiali się z matki za jej plecami. „Chłop Gienki wyszedł po papierosy i na dobre dał nogę” – powtarzała taka jedna. Matka w końcu wzięła się z nią za łby i baba zamknęła japę. Ale niesmak pozostał...

– Przykro mi, naprawdę. To historia, która nie powinna się zdarzyć w żadnej rodzinie.

– Stare dzieje. – Wzruszył ramionami, odkładając na bok trzymaną w rękę szklanę. – To co z tym Kornatem?

– Nie mam pojęcia. Gliniarze pytali o waszą bójkę w Zielonym Łabędzie.

– Nic dziwnego. Pewnie w ich oczach urosłem do miana głównego podejrzanego.

– Daj spokój, Łukasz!

– Mówię, jak jest. To co? Zjesz kawałek ciasta?

– Jasne, ukrój mi trochę. I... przepraszam. Za twoją matkę.

– Rozumiem. Zawsze miała trudny charakter.

– Dyplomatycznie to ująłeś.

– Nie zaczynaj! – mruknął.

Przytuliłam się do jego pleców i nagle dotarło do mnie, że jestem w nim zakochana. Miała być dobra zabawa, przelotny romans i odrobina szaleństwa. Czysty seks, dzika namiętność i sypialniane figle do białego świtu. Miłości nie planowałam, a jednak przyszła.

Łukasz zabrał się za krojenie ciasta. Podałam mu talerzyki i usiadłam za stołem. Powiedział, że musi lecieć – matka czekała na niego w zajeździe.

– Podziękuj jej za ciasto – poprosiłam.

– Szczerze?

- Szczerze. I wcale nie jest zakalcowate.
- No, ja myślę. Moja matka ma wiele wad, ale piecze bosko. Czego jak czego, ale tego zakalca nigdy by ci nie wybaczyła. – Uśmiechnął się. – To cześć. Lecę.
- Uważaj na siebie – poprosiłam.
- Daj spokój. – Machnął ręką, w locie łapiąc jeszcze kawałek placka.
- Będę wieczorem!
- Pa.

Odpowiedziała mi już tylko cisza.

Myślałam zalegające w zlewie talerze, kiedy do kuchni wślizgnął się Boruta. „Że też go diabli nadali!” – pomyślałam z niechęcią.

„Gość w dom, Bóg w dom, co?” – odezwał się w mojej głowie kot. – „Zjadłbym coś, gdybyś była tak uprzejma...”.

Roześmiałam się głośno, histerycznie. Śmiałam się i śmiałam, nie mogąc przestać. „To się nie dzieje naprawdę. To się nie może dziać naprawdę. To jakiś chory, porąbany sen, który śnię i śnię, i śnię, nie mogąc się obudzić” – pomyślałam.

„Co ci tak wesoło? Kochaś wpadł do ciebie na kwadrans, było trochę ckliwych zwierzeń i już promieniejesz. Ech, kobiety... A tak na marginesie, matka twojego chłopaka napluła do tego ciasta. No dobra, już dobra – żartowałem! Ale miała ochotę, tego możesz być pewna”.

Wzruszyłam ramionami, stawiając przed nim miskę z wołowiną w sosie – jego ulubionym przysmakiem. Zabrał się za jedzenie, nie poświęcając mi więcej uwagi. Dobre i to.

28.

W samym środku dusznej lipcowej nocy ktoś pięściami załomotał o frontowe drzwi. Brutalnie wyrwana ze snu, szarpnęłam za ramię śpiącego obok Łukasza.

– Co jest? – wymamrotał. Łomot na moment ustał, zaraz jednak ktoś zapukał w sypialniane okno. Łukasz zerwał się na równe nogi, każąc mi zostać w łóżku. Zerknęłam w stronę okna. W ciemnościach majaczyła męska sylwetka.

– Maciej? Co jest grane? – Łukasz otworzył okno, z niedowierzaniem przyglądając się sąsiadowi.

Założyłam szlafrok i wstałam.

– Aneta rodzi? – zapytałam. – Co się dzieje, Maciej?

– Aneta zniknęła – powiedział łamiącym się głosem.

– Co?! Kiedy?

– Nie wiem. Kiedy się obudziłem, nigdzie jej nie było. Sprawdziłem dom, ogród, drogę. Ani śladu. Zuzia smacznie spała w swoim łóżeczku, a Aneta przepadła. Rozejrzycie się ze mną po lesie? Weźcie jakieś latarki, najlepiej tę halogenową.

– Jasne, zaraz się zbierzemy – zapewniłam, gorączkowo poszukując swoich dzinsów.

Kilka minut później we trójkę wyszliśmy na drogę.

Noc była wyjątkowo duszna, chyba zanosilo się na burzę.

– Aneta! – krzyknął Maciek, bezradnie rozglądając się dookoła.

Promienie światła z naszych latarek omiały pnie pobliskich drzew, pośród nich nie dostrzegłam żadnego ruchu. Noc była w miarę jasna – księżyc zbliżał się do pełni. Weszliśmy w las, wolno, gęsiego, potykając się o wystające korzenie.

– Może powinieneś wrócić do domu? Sprawdzić jeszcze raz, czy Aneta nie wróciła? – zasugerował Łukasz.

– Dzwon na policję. Chodzi w końcu o kobietę w zaawansowanej ciąży. Przecież ona na dniach ma rodzić! – krzyknęłam.

– Już dzwoniłem. Obiecali, że przyjadą i zawiadomią kilku

chłopaków z ochotniczej straży.

– A znajomi? Warto by podzwonić po ludziach.

– Jest trzecia nad ranem – zawahał się Maciej.

Spojrzałam na niego jak na wariata.

– I?! Maciek, chodzi o Anetę! Jeśli zgubi się w lesie...

– Zna te lasy od dziecka.

– Zna? W tych ciemnościach? W ciąży, może w szoku?! Co ty gadasz?!

– Może to jakaś ciężowa psychoza? – zasugerował Łukasz.

– Moja żona nie ma tego typu problemów! – Maciej od razu się obruszył.

– To nie żaden wstyd, ja tylko...

– Przestańcie! – krzyknęłam. – Nie rozumiecie, że zamiast w ciemno ustalać przyczynę, trzeba teraz szukać Anety?

Kilka minut później zjawiała się policja, przyjechało też kilka osób z miasteczka – czterech młodych chłopaków, dwaj wąsaci faceci koło pięćdziesiątki i szczupła kobieta w ciemnym dresie.

– Strażacy będą tu lada chwila – powiedział jeden z policjantów. – Pokłóciliście się państwo tej nocy? – zwrócił się do Maćka.

– Nie, do cholery! Co pan w ogóle sugeruje?! Obudziłem się parę minut przed trzecią. Żony nie było w łóżku. Obszedłem cały dom, zajrzałem w każdy kąt ogrodu, wołałem ją z drogi. Później pobiegłem do sąsiadów, do „Emilówki”. I to w zasadzie tyle.

– A dziecko? Mają państwo córkę, prawda?

– Tak, mała śpi.

– Zuzia nie powinna zostawać sama. A jeśli się obudzi i zacznie was szukać? – zaniepokoiłam się nagle.

– Przecież się nie rozdwoję! – warknął na mnie wytrącony z równowagi Maciej.

– Pójdę tam. Tutaj i tak się nie przydam. Potykam się o własne nogi, słabo znam las...

Zawróciłam i, przyświecając sobie latarką, ruszyłam w stronę drewnianego domku przyjaciół. Byłam na drodze, kiedy pod lasem pojawiły się kolejne samochody – stary łązik, zdezelowana furgonetka w musztardowym kolorze i biały opel. Pomyślałam, że jednym z

plusów życia na wsi jest właśnie taka bezinteresowna sąsiedzka życzliwość. Ludzie potrafili się skrzyknąć dosłownie w parę minut i nikt nie zostawał obojętny wobec tego, co się działo w okolicy.

Pchnęłam furtkę. Skąpany w srebrnej poświacie księżycy drewniany domek wyglądał wyjątkowo idyllicznie. Z lasu, gdzieś zza moich pleców, dochodziło nawoływanie. „Aneeeta!” – imię przyjaciółki pulsowało mi w głowie i nie chciało odejść.

– Aneta? – szepnęłam, wchodząc do niewielkiego salonu, pełnego wystruganych przez Maćka drewnianych figurek najprzeróżniejszych świątków.

Cisza. Przez chwilę naprawdę miałam nadzieję, że jakimś cudem wróciła i zastanę ją w „Maćkówce”, jednak przyjaciółki nigdzie nie było. Ruszyłam w głąb domu. W korytarzu paliła się maleńka lampka z wydzierganym na drutach śmiesznym kloszem. Pchnęłam drzwi do sypialni małej i, wstrzymując oddech, weszłam do środka. Zuzia spała. Rączki rozrzucone za głową, pościel skotłowana, w nogach łóżeczka duży pluszowy aligator. Usiadłam w fotelu, wyglądając przez uchylone okno – pokoiik małej wychodził na tyły domu. Studnia stała pośrodku świeżo skoszonego, zadbanego trawnika, a przy niej...

Krzyknęłam, zasłaniając usta dłonią. Mała wymamrotała coś przez sen i obróciła się na drugi bok. Zerknęłam jeszcze raz, wmawiając sobie, że coś mi się przywidziało, ale nie – ubrana w połyskliwy kombinezon postać patrzyła prosto w moją stronę. Zamknęłam okno, szarpiąc się z klamką, i z tłumionym płaczem wróciłam na fotel. „To się nie dzieje naprawdę. To tylko jeden z tych pochrzanionych koszmarnych snów, które męczą mnie od tygodni” – powtarzałam sobie. Siedziałam tak może dziesięć minut, kiedy Zuzia zaczęła mówić przez sen.

– Nie... Nie moja mamusia, nie mamusia... Zostawcie ją, idźcie stąd... Nie, nie... Tatusiu!

Obudziła się z płaczem. Tuliłam ją, powtarzając, że tatuś z mamusią zaraz wróca, ale nie chciała się uspokoić.

– Oni tu są, wrócili! Nikt mi nie wierzy, tylko tatuś! Oni wrócili i zabrali mamusię! – szlochała.

Włożyłam jej sweterek i wyszliśmy na zewnątrz. Miałam nadzieję,

że widok kręcących się po lesie ochotników sprawi, że mała przestanie się bać, jednak wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną.

– Nocą wychodzą z lasu – szepnęła, kurczowo łapiąc mnie za rękę.

– Kto? – zapytałam.

Usiadłyśmy na ganku, wzięłam ją na kolana i, gładząc po głowie, na próżno usiłowałam uspokoić.

– Szarzy – szepnęła, bojaźliwie zerkając w stronę furtki.

– To tylko złe sny – powiedziałam.

Pokręciła głową, trąc piąstkami oczy.

– To nie są sny, ciociu. Oni do mnie przychodzą!

Zapytałam, czego chcą.

– Lubią, kiedy się boję – szepnęła.

Chciałam powiedzieć coś, co w jakiś sposób zdoła ją pocieszyć, ale na wspomnienie stojącej przy studni istoty straciłam chyba dar przekonywania. Jak miałabym podtrzymać na duchu śmiertelnie przerażone dziecko, które widziało zbyt wiele koszmarów? Siedziałyśmy w milczeniu, w końcu Zuzia zasnęła, ufnie we mnie wtulona. Okryłam ją pledem i, zerkając w stronę lasu, odliczałam minuty. „Aneeeta!” – stłumione, odległe wołanie wciąż kołatało mi się w głowie. „Co jeśli nigdy jej nie znajdą?” – Ta upiorna w swojej wymowie myśl towarzyszyła mi przez najbliższe, pełne bezsilnej złości godziny.

29.

Przez cały następny dzień opiekowałam się Zuzią. Zabrałam ją do miasteczka na gofry, karuzelę i przejażdżkę łódką po pobliskim jeziorze. Wszystko po to, żeby chociaż na moment odwrócić jej uwagę od zaginięcia Anety. Cóż, wyszło mi marnie – mała co chwilę pytała o matkę, płaczącym głosem powtarzając, że chce już wracać do domu.

Kilka minut przed siedemnastą zadzwonił do mnie Maciej.

– Znalazła się – powiedział, jednak w jego głosie nie usłyszałam nawet cienia radości. Brzmiał raczej jak ktoś, komu nagle i bez ostrzeżenia zawaliło się całe dotychczasowe życie.

Chociaż starałam się nie panikować, zaczęłam myśleć o najgorszym.

– Czy ona...? – Urwałam, nie chcąc, żeby Zuzia usłyszała coś, co jeszcze bardziej ją przerazi. Dziewczynka i tak przeżyła już zbyt wiele.

– Jest w szpitalu – powiedział Maciej. – Gdzie teraz jesteście? Podjadę, to pogadamy.

– Na Olsztyńskiej, w tym dużym parku. Siedzimy na ławce, tuż przy tej drewnianej fortecy dla dzieciaków.

– Ulubione miejsce Zuzi. Zaraz będę – obiecał Maciej.

Chciałam jeszcze o coś zapytać, ale już się rozłączył. Schowałam telefon do torebki i uważnie rozejrzałam się po pełnym ludzi parku. Spacerujące pary, siwy wążacz z jamnikiem na smyczy, spowita w beże babcia z rozwrzeszczanym wnuczkiem, jakieś rozchichotane nastolatki. Nikt nie wyglądał groźnie. Nikt też dziwnie nam się nie przyglądał i pomyślałam, że dopada mnie paranoja, którą zaraził mnie Maciej.

Zuzia szarpnęła mnie za rękaw i zapytała, czy dzwonił tatuś.

– Dzwonił i obiecał, że zaraz tu przyjedzie – powiedziałam.

– Super! – ucieszyła się.

Znalazłam w torebce obłany mleczną czekoladą, zbożowy baton i dałam go dziewczynce.

– Ale ci ciocia urządziła dzień, co? Same słodczyce, mnóstwo atrakcji...

– Fajny – przyznała, jednak wciąż wyglądała na smutną.

– Czekał, zaraz zgubisz spinkę. – Poprosiłam, żeby usiadła, i zaplotłam jej włosy w króciutki warkocz.

– Mama lubi mnie czesać – cicho powiedziała Zuzia.

Przytuliłam ją i zapytałam o ulubioną bajkę.

– Jestem za duża na bajki – powiedziała bardzo poważnym tonem i zabrała się za budowanie fortecy ze znalezionych na trawniku gałązek, a ja mogłam mieć nadzieję, że jej „klocków” nie obsikały wcześniej biegające po parku psy.

Maciej pojawił się w parku parę minut później. Miał zmiętą koszulę, podkrążone oczy i wygląd człowieka balansującego na skraju szaleństwa. Zuzia z piskiem radości rzuciła mu się na szyję i przez kilka minut, żywołowo gestykulując, opowiadała, co robiłyśmy.

– Gdzie mamusia? – zapytała w końcu, bawiąc się falbanką swojej dzinsowej spódniczki.

Maciej kucnął i złapał małą za rękę.

– Mamusia musi na trochę zostać w szpitalu.

– Urodziła dzidziusia? – Wyraźnie podekscytowana dziewczynka aż podskoczyła.

– Tak, urodziła dzidziusia – powiedział cicho Maciej, a w jego oczach zalśniły łzy.

Położyłam mu rękę na ramieniu i poprosiłam małą, żeby jeszcze przez moment pobawiła się w piaskownicy.

– My z tatusem jeszcze przez chwilę sobie porozmawiamy, a później wszyscy razem pójdziemy nad jezioro. Chciałaś pooglądać żaglówki, pamiętasz? No, idź, pobaw się – zachęciłam ją. – Gdzie masz łopatkę?

– Tu jest – powiedział Maciej i podał córce różowe wiaderko z całym jego wyposażeniem.

Dziewczynka w podskokach pobiegła w stronę piaskownicy i zostaliśmy sami. Zapytałam, co z Anetą. Maciej przecesał włosy rękoma i wziął głęboki wdech.

– Znaleźli ją godzinę temu i od razu zabrali do szpitala. Błąkała się

po lesie w sztywnej od krwi nocnej koszuli, z rozharatanymi stopami... Jest odwodniona i w zasadzie nie ma z nią kontaktu. Mówią, że urodziła i przegryzła pępowinę, jak jakaś dzikuska – powiedział.

Chwilę później ukrył twarz w dłoniach, a jego ciałem wstrząsnął szloch. Zapytałam, co z dzieckiem. Sądząc po jego zachowaniu, podejrzewałam, że nie przeżyło porodu, nie byłam jednak gotowa na to, co miałam usłyszeć.

– Nie wiadomo, co z dzieckiem – powiedział Maciej. – Aneta musiała być w jakimś poporodowym szoku i porzuciła je w lesie. Policjanci usiłowali wydobyć z niej cokolwiek sensownego, ale powtarzała tylko, że to oni zabrali jej córeczkę.

– Oni? – szepnęłam.

– Oni. Teraz mi wierzysz czy dalej będziesz się upierać, że opowiadam ci jakieś bzdury?

– Maciek, takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. W kiepskich scenariuszach klasy C. W życiu...

– W życiu najwidoczniej też się dzieją! – krzyknął.

Pokiwałam głową, jakbym chciała odpędzić od siebie wszelkie złe myśli, a on lekko musnął moją dłoń.

– Przepraszam cię, Natalia. Nie powinienem się na tobie wyżywać tylko dlatego, że miałem koszmarny dzień. Zostaniesz jeszcze chwilę z Zuzą? Jadę szukać małej. Setki ochotników przeszukują lasy. Jakiś starszy facet przyjechał nawet z Czech, podobno ma świetnie wyszkolonego psa, z którym brał już udział w podobnych akcjach.

– Jasne, jedź. I, Maciej... tak cholernie mi przykro. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musisz teraz przeżywać. Ale musisz wierzyć, że wszystko będzie dobrze, musisz być dobrej myśli!

– Podobno cuda się zdarzają. Tak mi powiedziała jedna młoda policjantka. Jej koledzy wyglądali już na odrobinę bardziej sceptycznych... Jadę. Nie wołaj Zuzi, bo zacznie się dramat – pewnie myślała, że zaraz zabiorę ją do domu. Ona czuje, że dzieje się coś złego, a ja nie potrafię jej jeszcze powiedzieć, że być może nigdy nie pozna swojej młodszej siostrzyczki. Tyle na nią czekała, a teraz... Kurwa! Jadę, zanim kompletnie się tu rozsypię. Pilnuj jej, proszę.

- Nawet na moment nie spuszczę jej z oka – obiecałam.
- Uśmiechnął się, co jednak bardziej przypominało grymas.
- Złota jesteś. To ja już zmykam. Powiedz jej, że musiałem jeszcze załatwić coś na mieście. A gdyby płakała...
- Poradzę sobie, Maciek, nie przejmuj się. Jakoś ją zagadam, a ty jedź, szukaj dziecka.
- Dzięki. Nigdy ci nie zapomnę tego, jak nam pomogłaś – powiedział łamiącym się głosem.
- Chwilę później szybkim krokiem przemierzył parkową alejkę i zniknął mi z oczu.
- Tata pojechał? – Zuzia zjawiała się przy mnie z różowym wiaderkiem w ręku.
- Była wyraźnie zawiedziona i wyglądała tak, jakby za moment miała się rozplakać.
- Musi coś jeszcze załatwić. Ale wróci, jak tylko będzie mógł.
- Chcę zobaczyć siostrzyczkę! – Mała tupnęła i z nadąsaną minką rzuciła zabawkę w trawę.
- Nie teraz, myszko. Chodź, pójdziemy nad jezioro.
- Chcę do mamy! Do mamy, słyszysz?! I czemu tatuś sobie pojechał?! Mieliśmy razem oglądać żaglówki, przecież obiecał! – Rozplakała się.
- Przez następne godziny mała robiła wszystko, żeby wytrącić mnie z równowagi. Nie chciała wsiąść do samochodu, bo uparła się, że przyjedzie po nią ojciec. Później, już w drodze powrotnej, zaczęła na mnie krzyczeć, żebym zawiozła ją do szpitala, do mamy. Zanim dotarliśmy do „Maćkówki”, rozboleła mnie głowa. Wiedziałam, że powinnam zrobić jej coś konkretnego do jedzenia, nie miałam jednak pomysłu co. W końcu znalazłam w lodówce berlinki, a w chlebaku połowę bagietki.
- Nie chcę jeść! – oznajmiła Zuzia, przyglądając się mojej krzątaninie.
- Powinnaś. Chociaż troszeczkę. Nie jadłaś dzisiaj niczego pożywnego.
- Batoniki jadłam!
- Właśnie. – Uśmiechnęłam się. – Podasz mi z parapetu ogórka?

– Nie! – Naburmuszyła się i zniknęła w swoim pokoju.

Zanim wmusiłam w nią kolację i położyłam ją spać, byłam wykończona.

Maciej pojawił się w domu kilka minut przed dwudziestą drugą i od razu zaznaczył, że wpadł tylko na chwilę.

– Odwiozę Zuzię do rodziców i wracam do lasu. Przyjechała telewizja, w poszukiwaniu spontanicznie włączyło się też kilkudziesięciu letników. Może jeszcze stanie się cud – powiedział cicho.

Pomyślałam, że powinnam go jakoś pocieszyć. Powiedzieć coś krzepiącego, w każdy możliwy sposób podnieść go na duchu. Staralam się nie myśleć, ile długich godzin minęło od zaginięcia małej i jak marne są szanse na odnalezienie jej żywej. Na siłę chciałam wykrzesać z siebie chociaż szczyptę optymizmu.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam, chociaż gdzieś w głębi ducha wciąż czułam, że tym razem happy endu nie będzie...

Maciej nie odpowiedział. Usiadł na kanapie i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili gwałtownie wstał i podszedł do okna.

– Parę dni temu strasznie się z Anetą pokłóciliśmy. Wykrzykiwałem takie koszarne rzeczy. Że nie chcę tego bachora, że ona jest dziwką... A teraz dałbym wszystko, żeby po prostu przywieźć je obie do domu...

– Poniosły cię nerwy, zdarza się. Aneta wie, że zawsze bardzo ją kochałeś – powiedziałam.

– Spakuję małą. Śpi? – zapytał.

– Niedawno zasnęła, była wykończona.

– Dzięki, Natalia. Zadzwoń, jeśli coś się zmieni.

– Będę czekać. Cześć.

– Cześć.

Odprowadził mnie do drzwi. Pomyślałam, że powinnam powiedzieć mu o istocie, którą widziałam przy studni, po chwili jednak zdecydowałam, że to nie był dobry moment. Zresztą, sądząc po naszych ostatnich rozmowach, pewnie świetnie zdawał sobie sprawę, jakie licho nocami pałęta się po jego ogrodzie.

30.

Kiedy wróciłam do „Emilówki”, Łukasza jeszcze nie było. Pojawił się dopiero przed czwartą nad ranem i był mocno pijany. Zionąc jak cała gorzelnia, wszedł do sypialni i zatoczył się na stolik, strącając z niego ozdobną ramkę z moim zdjęciem. Uniosłam się na łokciu i zapaliłam nocną lampkę.

– Wydaje mi się czy jesteś w trzy dupy napity? – zapytałam, otrząsając się z resztek snu.

– Zgaś i śpij, ja już się kładę – wymamrotał.

Ściągnął koszulę i zaczął się szarpać z paskiem od swoich znoszonych spodni. Chwilę później stracił równowagę i z impetem wpadł na stojące przy oknie krzesło.

– Kurwa mać! – zaklął szpetnie, usiłując pozbyć się zaplątanych wokół kostek dżinsów.

Poczułam złość. Jakim prawem wracał do domu w takim stanie?! Cuchnął wymiocinami, jakby po drodze rzucił gdzieś w krzakach soczystego pawia, i był prawie nieprzytomny.

– Ja już się kładę, już, tylko te kurewskie spodnie, one mi się teraz zaplątały, w dupę kopane. Kurwa mać, ciemno tu jakoś – mamrocząc pod nosem bez ładu i składu, Łukasz strącił z komody wystruganą przez Maćka drewnianą figurkę nagiej kobiety i głośno czknął, co do reszty wytrąciło mnie z równowagi.

– Tak rozwiązujesz problemy? W pijackim widzie? – syknęłam.

Wkurzył się.

– I co się tak rzucasz?! Chodzi w końcu o moje dziecko! – burknął.

Zaniemówiłam. Więc dlatego tak ostro się upił? Bo nagle poczuł się odpowiedzialny za nowo narodzoną istotę, którą jeszcze do niedawna w ogóle się nie przejmował?!

– O twoje dziecko?! – krzyknęłam. – Czy ty siebie słyszysz, Łukasz?! Mówiłeś, że to był nic nieznaczący epizod, że dzieciak nic cię nie obchodzi, a teraz nagle jesteś ojcem roku?!

– To jest moje dziecko, nie rozumiesz tego?! – wrzasnął i jednym

kopniakiem posłał pod łóżko swoje ubłocone tenisówki.

Wstałam.

- Zanim się położysz, bądź łaskaw wziąć prysznic.
- Nie mam siły – wymamrotał, zwalając się na łóżko.
- Łukasz, jesteś kompletnie pijany! Nie chcę cię więcej widzieć w takim stanie!
- A ty kto? Moja stara?! Przepraszam, że wróciłem do domu na rauszu, okay? Masz wałek? To zrób z niego użytek. Będzie ci pasował, bo niezła z ciebie zołza!
- Dupek! – wycedziłam przez zaciśnięte zęby i wyszłam z pokoju.

W kuchni zrobiłam sobie kakao i wyjęłam z lodówki brzoskwiniowy jogurt. Wyjadałam z plastikowego pojemniczka resztki owocowego musu, kiedy mój facet wyszedł z sypialni. Głośno klnąc, szukał w przedpokoju butów, później głucho trzasnęły frontowe drzwi i Łukasz zniknął w atramentowych ciemnościach dusznej lipcowej nocy. Przez chwilę zastanawiałam się, jak w takim stanie dotrze do miasteczka, w końcu zdecydowałam, że to nie moja sprawa. „Niech idzie, chociażby pieszo, nie trzeba było tyle chlać” – pomyślałam mściwie.

Złość jednak szybko mi minęła i zupełnie niespodziewanie zaczęłam płakać. Głupie łzy płynęły i płynęły, a ja jeszcze długo nie mogłam się uspokoić. Czemu nagle byłam tak wściekle zazdrosna o Anetę? Była w końcu moją przyjaciółką, dlaczego więc nie mogłam jej wybaczyć tej jednej nocy? A może wcale nie chodziło o nią? Może chodziło o... dziecko? Nagle przypomniałam sobie odrapany korytarz starego szpitala położniczego i poszarzałą ze zmęczenia twarz szpakowatego dyżurnego lekarza. „Przykro mi, ale nie ma pani najmniejszej szansy na utrzymanie kolejnej ciąży...”. Przez lata wmawiałam sobie, że rozstaliśmy się z byłym mężem, bo kompletnie do siebie nie pasowaliśmy, ale jakaś część mnie czuła, że było inaczej. Rafał odsunął się ode mnie, bo nie mogłam dać mu dziecka. Najpierw poronienie, później ciąża pozamaciczna, którą niemal przypłaciłam życiem... W końcu zaczęły się ostre kłótnie, wyzwiska i wzajemne oskarżenia. Uderzył mnie, wyrzuciłam go z domu i obiecałam sobie, że nigdy więcej nie wyjdę za mąż. A teraz spotykałam się z facetem, który właśnie został ojcem i to nie ja byłam matką... To bolało, nawet

jeśli przez te wszystkie lata prawie udało mi się przekonać samą siebie, że żadne zasmarkane dziecko w żaden sposób nie jest mi potrzebne do szczęścia...

Do świtu przesiedziałam w pustej kuchni. Tuż przed szóstą rano wróciłam do sypialni i zapadłam w płytki, pełen majaków sen. Obudziło mnie trzaśnięcie frontowych drzwi i w pokoju pojawił się Łukasz.

– Obudziłem cię? Sorry. Dochodzi dziesiąta.

– Nic się nie stało – powiedziałam pojednawczym tonem.

Byłam w znacznie lepszym humorze i miałam nadzieję, że lada moment naprawdę czule się pogodzimy. Łukasz miał jednak inne plany.

– Przykro mi, że tak wyszło, Natalia, ale chyba nie ma sensu dłużej tego ciągnąć. Przyjechałem po swoje rzeczy – rzucił zachrypniętym głosem.

– Co? – wyjąkałam, kompletnie zaskoczona. – O czym ty gadasz?

– Słyszałaś. Wyprowadzam się – powiedział spokojnie.

Z rosnącym niedowierzaniem obserwowałam, jak się pakuje. Komoda, szafa, porozrzucane na oparciach krzeseł ciuchy – w wyraźnym pośpiechu ładował swoje bety do przyniesionej ze sobą torby, upychając je byle jak, byle szybciej...

– Możesz mi wyjaśnić dlaczego? – zapytałam cicho.

Znieruchomiał z wyjętymi spod łóżka ubłoconymi tenisówkami w dłoni.

– Żartujesz? Naprawdę nie rozumiesz? – prychnął. – Ostatnio nie robimy przecież nic innego, tylko skaczemy sobie do gardeł!

– Każdy związek miewa trudne chwile.

– Związek? Z tego, co pamiętam, między nami nie miało być na poważnie. Coś się zmieniło? – zapytał.

W jego głosie usłyszałam kpinę i w tej właśnie chwili obiecałam sobie, że nie będę się przed nim płaszczyć.

– Idź do diabła! – warknęłam, w bezsilnej złości rzucając w niego poduszką.

– Rozstańmy się z klasą, okay?

Wyszłam. Nie mogłam dłużej na niego patrzeć... Rozstanie? Tak po

prostu? Jednego dnia pieprzymy się jak króliki, jemy ze wspólnego talerza i szepczemy sobie na ucho czułe świństewka, a drugiego on wpada z samego rana i zaczyna pakować manatki? Nagle zrozumiałam – musi być jakaś inna kobieta! Musi być ktoś, dla kogo on nagle zapragnął wolności – nie ma innego wyjścia!

Wróciłam do sypialni. Łukasz przeczesywał nocną szafkę w poszukiwaniu tych swoich szmatławych mrocznych kryminałów w miękkich okładkach, które namiętnie czytywał późnymi wieczorami.

– Masz kogoś, tak? No, powiedz prawdę, odważ się! – krzyknęłam.

Powiedział, że jestem śmieszna. Podeszłam bliżej – dzieliły nas może dwa metry.

– Łukasz, spójrz mi w oczy. Masz kogoś, prawda? – powtórzyłam.

Miałam ochotę go uderzyć, ale tylko zacisnęłam dłonie w pięści i z narastającą gdzieś w trzewiach nienawiścią mierzyłam go wzrokiem.

– No, powiedz, przyznaj się! Kogo posuwasz?! – wrzasnęłam.

Powiedział, że jestem wulgarna i nie zamierza kontynuować rozmowy w takim tonie.

– Jakby nagle ci to przeszkadzało – syknęłam.

Cisnął do torby wyjęte spod krzesła brudne kraciaste bokserki i spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie mam nikogo, Natalia. Ale wiesz co? Potrafisz każdemu wygarnąć, a swoich wad jakoś nie widzisz. Parę dni temu powiedziałaś, że nienawidzisz zazdrosnych mężczyzn, a teraz sama zachowujesz się jak furiatka. Idę, zanim jeszcze powiem coś, czego długo będę żałować!

Uderzyłam go w twarz. Nie wytrzymałam, po prostu go walnęłam. Pchnął mnie na łóżko i z furią zatrzaskał szufladę nocnej szafki.

– Jesteś zwykłym gnojkiem, wiesz?! – Rozpłakałam się.

– Skoro tak mówisz...

Wyszedł minutę później. Stałam w oknie, z niedowierzaniem obserwując, jak pakuje do bagażnika te nieliczne rzeczy, które u mnie trzymał. Kiedy wsiadł do samochodu, nawet nie patrząc w stronę okna, zrozumiałam, że to koniec. Rzuciłam się na łóżko i wtuliłam się w pachnącą jego wodą kolońską poduszkę.

Boruta zjawił się w sypialni, kiedy, pociągając nosem, szukałam w

szufladzie chusteczek.

„Beczysz? Stuprocentowa z ciebie baba... Tylko nie mów, że teraz będziesz dramatyzować... Jasne, że on ma nową cieżę, ale czym się martwisz? Miało przecież nie być na poważnie, zresztą spójrz prawdzie w oczy – w twoim wieku powinnaś być wdzięczna, że taki młody facet w ogóle na ciebie spojrział”.

– Spieprzaj! – syknęłam.

Kocur wskoczył na łóżko i położył się na zwiniętej kołdrze w moich nogach.

„Gdybyś chciała, przez chwilę mógłbym być zwyczajnym miłym kotkiem. To jak, chciałabyś?”.

– Powiedziałam, spieprzaj!

„Jasne, jak sobie życzysz. Jeszcze za mną zatekknisz. A tak na marginesie, wiedziałaś, że oni lubią patrzeć, jak śpisz? Zawsze, kiedy jesteś pogrążona w najgłębszej fazie snu, stają nad twoim łóżkiem i patrzą. Czasem nawet ich stąd wyganiają – w końcu każdy potrzebuje odpoczynku, nie? Sama widzisz, że bywam użyteczny. Okay, idę sobie. I mleko w końcu kup, tuńczyka też już nie ma...”.

Boruta zniknął, zanim zdążyłam cokolwiek mu odpyskować. Jednak rozbawił mnie na tyle, że wybuchłam gwałtownym histerycznym śmiechem. Pośrodku całego tego szaleństwa akurat mnie trafił się kot gawędziarz.

Resztę dnia spędziłam w łóżku, naprawdę koncertowo się nad sobą użalając. „Nie mam męża, nie mam dzieci, facet właśnie mnie rzucił”. Czułam się tak, jakbym obserwowała życie przez grubą pancerną szybę. Wszyscy dookoła żyli w jakiejś szczęśliwej krainie, tylko mnie od lat nic się nie układało. Płakałam, wypominając sobie popełnione błędy. Płakałam, tęskniąc za Emilem i żałując tego, co się stało z Łukaszem. Płakałam, wiedząc, że jeszcze nigdy nie byłam tak przeraźliwie samotna. Wieczorem upiłam się znalezionym w kuchni wermutem i chociaż czułam, że powinnam przynajmniej zajrzeć do Maćka, nie znalazłam w sobie na tyle determinacji, żeby w ogóle wyjść z domu. Wiedziałam tylko, że porzucona gdzieś w lesie nowo narodzona dziewczynka wciąż się nie odnalazła i na samą myśl o rozgrywającej się w sąsiedztwie tragedii z oczu płynęły mi kolejne

łzy...

Usnęłam dopiero przed drugą nad ranem, od razu wpadając w sam środek wyjątkowo ponurego koszmaru. Znowu śniły mi się dłonie. Tym razem leżałam w błocie, a dziesiątki rąk błędziło po moim ciele, włosach i twarzy. Ugniatały, wsuwały się pod nocną koszulę, drażniły, szarpały za włosy i pieściły na przemian. Obudziłam się z ochryplym krzykiem; nie od razu dotarło do mnie, gdzie jestem. Gałęzie szumiały nad moją głową, a pełen nocnych strachów gąszcz wydał mi się wyjątkowo przerażający. Zerwałam się na nogi i zaczęłam biec, w narastającej panice usiłując się zorientować, w której części lasu jestem. Błąkając się pośrodku nieprzeniknionych ciemności, potknęłam się o korzeń i zdarłam sobie skórę na kolanie.

„Na moment spuścić cię z oka i masz babo placek...” – usłyszałam w mojej głowie.

– Boruta? – szepnęłam.

„We własnej demonicznej osobie. Idź prosto tą ścieżką, a za parę minut dotrzesz do domu. No, idź, zanim dorwie cię jakieś licho! Nocne spacerki bywają niebezpieczne...”.

Ruszyłam przed siebie, wyciągniętymi rękoma osłaniając twarz przed zbłąkanymi gałęziami. Szłam może kilka minut, kiedy stojący pośrodku dużej polany dom na Lisim Wzgórzu zamajaczył w szarówce przedświt. Wchodząc na werandę, obejrzałam się za siebie w poszukiwaniu kota, jednak Boruta gdzieś przepadł.

31.

Tuż przed południem zadzwonił pan Waldek, majster, który parę miesięcy wcześniej obiecał Emilowi wybrukowanie podjazdu przed domem. Telefon wyrwał mnie z płytkiej, pełnej majaków drzemki. Ostatnio coraz częściej sypiałam w ciągu dnia i niemal zawsze śniły mi się pełne krwi i przemocy koszmary.

– Bo jest taka sprawa, kierowniczo... My byśmy jutro przyjechali ten podjazd robić, mogłoby tak być? – zapytał.

Usiadłam na łóżku i wciąż jeszcze lekko skołowana po gwałtownym przebudzeniu, przeczesałam palcami włosy. Propozycja majstra raczej mnie zaskoczyła.

– Umawialiśmy się przecież na koniec sierpnia – powiedziałam z wyrzutem.

– Oj tam, zaraz umawialiśmy się. Trzeba elastycznym być, kierowniczo. Jutro to by nam pasowało jak złoto! – Pan Waldek najwyraźniej nie zamierzał łatwo się wycofać.

Przez chwilę się wahałam, w końcu jednak zdecydowałam, że może to i dobrze. Im szybciej położą ten bruk, tym szybciej będę się mogła spakować i wracać do Bielska...

– W takim razie bądźcie o siódmej – powiedziałam, czym wyraźnie go rozbawiłam.

– Jeśli mogę być szczery, ósma brzmi bardziej realnie. Znając chłopaków, na siódmą na pewno nie zwleką tyłków – oznajmił pan Waldek i szybko się ze mną pożegnał.

Następnego dnia rano ekipa zjawiła się zaskakująco punktualnie – brakowało dwóch minut do ósmej, kiedy pan Waldek zajechał przed bramę starym wgniecionym z boku fordem transitem.

– Uszanowanie, kierowniczo! – krzyknął, kiedy wyszłam na ganek, i bez ociągania zabrał się do rozładowywania samochodu.

– A kostka brukowa? – zapytałam, podchodząc do jego imponująco czystego auta.

– A, kostkę to dopiero jakoś w południe dowiozą – oznajmił pan

Waldek beztróskim tonem i wyjął z samochodu niewielki wiklinowy koszyk z wałówką. – Śniadanko sobie zjem, jeśli kierowniczka nie ma nic przeciwko – dodał.

– Kawy zrobię – powiedziałam.

– Kawusia zawsze brzmi dobrze – ucieszył się.

Zapytałam o resztę ekipy.

– No, Jerzyk się pochorował, ale z Florkiem damy sobie przecież radę we dwóch.

– Pochorował się? – zapytałam, kiedy weszliśmy do domku.

– Kociokwik, kierowniczko. Poważna rzecz – mruknął pan Waldek i zabrał się za odwijanie kanapek z przezroczystej folii.

Piliśmy kawę, kiedy przed dom podjechał kolejny samochód – tym razem niewielki, mocno ubłocony nissan.

– Florek pewnikiem przyjechał autem pożyczonym od szwagra, bo swoje na drzewie niedawno rozwalił. Cud, że chłopak w ogóle żyje, bo tak w pień wygrzmocił, że hej! – Pan Waldek zerwał się zza stołu.

– Zawołam chłopaka, kawy sobie łyknie. – Floooreek! – ryknął majster już z werandy i po chwili obaj pojawili się w kuchni.

Pomocnik pana Waldka był młodszy niż przypuszczałam, i całkiem przystojny. Postawny, krótko obcięty szatyn o wielkich migdałowych oczach i ciemnej karnacji. Z całą pewnością niejedną kobietę przyprawił o szybsze bicie serca. Pomyślałam, że odrobinę przypomina mi Mateusza Dębskiego, w którym kochałam się przez całe liceum, i odruchowo poprawiłam włosy.

– Dzień dobry! – przywitał się tymczasem nowo przybyły, przy okazji pożądlawie zerkając w stronę dzbanka z resztką kawy. – Florek jestem, dla znajomych Bodo.

– Bodo? Jak ten aktor? – zapytałam, wyjmując z kredensu kubek.

– No tak. Taka ksywa na szczęście.

„O szczęściu to akurat Bodo chyba nie mógł zbyt wiele powiedzieć; zwłaszcza biorąc pod uwagę tragiczne okoliczności jego śmierci” – pomyślałam.

Na głos jednak zapytałam tylko gościa, czy chce cukru do kawy.

– A tak ze dwie łyżeczki mogą być. No i gdyby było mleko... – Florek usiadł obok szefa.

– Trupa jakiegoś w lesie znaleźli – mruknął tymczasem pan Waldek, podejrzliwie przyglądając się jednej ze swoich kanapek, jakby spodziewał się, że spod plasterka żółtego sera wypełzną jakieś tłuste larwy. – Ludziska mówią, że wisielec – dodał grobowym tonem.

– Słyszałem. Szukali tego noworodka, a trafili na samobójcę – dorzucił swoje trzy grosze Florek. – Podobno jakiś letnik. We łbach się ludziom poprzewracało, tyle powiem. Na wakacje taki przyjeżdża i sznur sobie na szyję zakłada. – Florek z niedowierzaniem kręcił głową, mieszając swoją kawę.

Boruta zjawił się w kuchni, kiedy dojadłam bułkę i zupełnie ignorując gości, zwinnie wskoczył na jedno z krzesel.

„Nie zapytasz, o kogo chodzi? Bo coś mi mówi, że to niedoszły gwałciciel Kornat skończył z pętlą wokół szyi” – usłyszałam w głowie.

„Nie dam się sprowokować do tej dyskusji – powiedziałam sobie. – I skąd, do cholery, ten przeklęty kot może mieć takie wiadomości?”.

„Zastanawiasz się, skąd to wiem? Pomyśl przez chwilę... To my mu kazaliśmy” – dodał Boruta.

– To chore – szepnęłam.

– Prawda? – Florek ożywił się, najwyraźniej przekonany, że właśnie podsumowałam jego wcześniejszą wypowiedź.

Dopiłam kawę i wstawiłam kubek do pełnego brudnych naczyń zlewu. Kręciło mi się w głowie i trzęsły mi się ręce. Czy to możliwe, że Leszek Kornat rzeczywiście odebrał sobie życie? I czy jest taka opcja, że to ONI mu kazali?

– No, pojedliśmy! To może trawę skosimy, kierowniczo? – zaproponował pan Waldek, szeroko ziewając. – Bo zanim tę kostkę przywiozą, to jeszcze trochę zejdzie.

Powiedziałam, że jak dla mnie brzmi świetnie, i chwilę później samotnie zaszyłam się w sypialni. Telefon leżał na komodzie, jednak chociaż tak bardzo chciałam, żeby Łukasz napisał mi chociażby SMS-a, nie znalazłam nawet jednej lakonicznej wiadomości od niego.

32.

Wieczorem pojechałam do miasteczka. Planowałam się upić, a później tańczyć, dopóki nie opadnę z resztek sił. Chociażby i na stole... Nie miałam pojęcia, jak później wrócę i postanowiłam, że w ostateczności prześpię się w samochodzie. W Borsuku były tłumy letników i kilku wyraźnie już podchmielonych miejscowych. Siedząc przy zatłoczonym barze, sączyłam mojito, kiedy kątem oka dostrzegłam znajomą męską twarz. Bodo. Chłopak zauważył mnie w tym samym momencie i przeciskając się przez tańczące pośrodku lokalu tłumy, z piwem w dłoni ruszył w moją stronę.

– Taka ładna kobietka i do lustra pije? To się nie godzi. – Wyszczrzył się w uśmiechu i usiadł na wysokim krześle po mojej prawej.

Przez chwilę wymienialiśmy luźne uwagi o muzyce, niekończących się upałach i zażartej kłótni na parkiecie, do której doszło przed momentem. W końcu Florek zapytał, czy bym się z nim nie przeszła.

– Ładna noc, ciepła – kuśił.

– Właściwie czemu nie? – Wzruszyłam ramionami.

Wyszliśmy na niewielki pełen aut parking. Przed lokalem kręciło się kilku wyglądających na miejscowych chłopaków. Stali w zwartych grupkach, z kuflami piwa w dłoniach. Większość z nich paliła – końcówki ich papierosów żarzyły się w zapadającym powoli zmroku. Trzech stojących najbliżej wejścia, głośno rechocząc, komentowało figury przechodzących obok roześmianych dziewczyn. Czwarty, rosy byczek w ciemnej koszuli i spranych dżinsach, pisał SMS-a, z wysuniętym leciutko końcem języka i zmrużonymi oczyma wpatrując się w wyświetlacz swojego telefonu.

– Co jest, Bodo?! Masz nową dupę?! Przerzuciłeś się na dojrzałe brzoskwinki?! – krzyknął w ślad za nami jeden z nich.

– Jak mu zaraz przyjebię! – Bodo z zaciśniętymi pięściami ruszył w ich stronę.

Złapałam go za ramię.

– Olej ich, nie wygłupiaj się. Przecież oni liczą właśnie na to, że łatwo dasz się prowokować – powiedziałam.

– Pieprzone buraki z fabryki konserw! – warknął Florek. – Jeden z tych leszczy tak mi kiedyś szczękę przestawił, że w szpitalu wylądowałem. O pannę poszło, ale nieważne. Może autem pojedziemy? Po co nogi męczyć, skoro furą jestem?

Wciąż wyraźnie wzburzony chłopak wskazał głową w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu i zapytał, czy dam się porwać nad jezioro. Skinęłam na „tak” i podeszliśmy do nissana. Zauważyłam, że zdążył go umyć. Chyba że zrobił to jego szwagier, od którego ponoć pożyczał wóz...

– Proszę bardzo! – Chłopak szarmanckim gestem otworzył mi drzwi od strony pasażera.

W pierwszym odruchu chciałam zrobić to sama – równocześnie sięgnęliśmy do klamki, nasze dłonie się zetknęły i już chyba wtedy wiedziałam, że pójdę z nim na całość. „Na złość Łukaszowi, na przekór całemu światu dam z siebie ściągnąć majtki i zrobię to z prawdziwą przyjemnością” – pomyślałam mściwie.

Nad jeziorem było duszno, jakby zanosilo się na burzę, i zaskakująco jak na tę porę roku pustawo – widać o tej porze zarówno większość miejscowych, jak i letników wołała oblegać zatłoczone lokale w centrum, niż kręcić się pośrodku pełnych komarów chaszczki. Florek pociągnął mnie w stronę niewielkiej łachy, tuż nad wodą, i rozłożył na ziemi zabrany z samochodu koc. Słońce na dobre już zaszło, powoli zapadał mrok. Położyłam się na plecach, a ciemne letnie niebo zawirowało nad moją głową.

– Jestem pijana.

– Lubię pijane kobiety. – Florek uśmiechnął się i bez zbytnich ceregieli zabrał się do całowania.

Wyobraziłam sobie, że to Łukasz. Wcale tego nie chciałam, ale nie potrafiłam chyba jeszcze myśleć o nikim innym... Bodo zsunął ze mnie spódnice. Poszło mu gładko, tym bardziej że nie musiał szarpać się z bocznym zamkiem – miałam na sobie jedną z tych falbaniastych letnich kiecek na gumce. Nad uchem zabrzczał mi jakiś natrętny komar. Pokręciłam głową na boki, co Florek odebrał jako sprzeciw.

– Daj spokój, oboje od samego początku wiedzieliśmy, że to się stanie – powiedział, pieszcząc ustami mój dekolt.

Przyciągnęłam go do siebie i zachłannie oplotłam nogami jego plecy.

– To komarowi mówię „nie” – szepnęłam.

Roześmiał się i zaskakująco zwinnie wyskoczył ze swoich dzinsów. Koszulkę rzucił na piach chwilę później i położył się obok mnie, na skraju koca. Stanika i bluzki pozbyłam się sama.

– To lubię – zażartował.

Kiedy we mnie wszedł, dla odmiany pomyślałam o Emilu. Z nim nigdy nie kochałam się nad wodą, potrafiłam sobie jednak wyobrazić naszą dwójkę pośrodku takiej scenerii. Coś uszczypnęło mnie w ramię. Chwilę później Florek chrapliwie krzyknął i, ciężko oddychając, opadł na koc.

Do miasteczka wróciliśmy tuż przed północą. On chciał jeszcze potańczyć, ja marzyłam tylko o własnym łóżku. Teraz, kiedy opadły emocje, czułam się fatalnie. Zupełnie jakbym zdradziła Łukasza... „Odszedł ode mnie praktycznie z dnia na dzień, a ja wciąż chciałam być wobec niego lojalna. Czy ze mną jest coś nie tak?” – pomyślałam.

– Jesteś pewna, że nie wejdiesz ze mną do środka? – zapytał Florek na parkingu przed Borsukiem.

– Pewna. Dobranoc.

– Odprowadzę cię do samochodu – zaproponował. – A zanim wsiądziesz, powinnaś napić się kawy.

– Nic mi nie jest. Wypiłam tylko dwa drinki.

– Po których wydawałaś się nieźle zalana – zauważył.

– Już wytrzeźwiałam.

– Skoro tak mówisz...

Ruszyliśmy przez parking. Obok szafirowoniebieskiego nowiutkiego subaru stała grupka przekrzykujących się młodych mężczyzn. Nie byli to jednak ci sami, którzy w tak niewybredny sposób skomentowali moją znajomość z Florkiem. Ci zdecydowanie nie wyglądali na miejscowych – byli zbyt wymuskani i zbyt elegancko ubrani jak na lokalnych imprezowiczów. Jeden z nich z daleka łudzaco przypominał Łukasza i dopiero kiedy podeszłam bliżej, zdałam sobie sprawę, że

nawet nie jest do niego podobny.

Przejeżdżając obok domku Maćka, zwolniłam, jednak w oknach nie świeciło się nawet jedno światło. Pewnie sąsiad znowu zawiózł Zuzię do rodziców, a sam kręcił się po okolicy – oficjalnie poszukiwania zaginionego noworodka już przerwano, ale ciężko było z dnia na dzień stracić nadzieję, będąc osobiście uwikłanym w podobną tragedię. Do „Emilówki” dotarłam skrajnie zmęczona. Parkując przed domem, poczułam wyrzuty sumienia. Owszem, zajmowałam się Zuzią, jednak nie zrobiłam wiele, żeby pomóc w poszukiwaniach nowo narodzonego dziecka. Na werandzie świeciło się światło – ostatnio zapalałam je za każdym razem, kiedy wychodziłam wieczorem. Rozejrzałam się za Borutą, ale czarnego pierona nigdzie nie było. Otwarłam drzwi. Skrzypnęły złowrogo, niczym w jakimś horrorze. Na plecach poczułam przeciąg. „Nie zamknęłam wszystkich okien?” – zdziwiłam się. W sypialni było duszno. Zapaliłam małą lampkę i zerknęłam w stronę łóżka. Wychodząc, zostawiłam je starannie zasiane, czemu więc teraz fioletowa kapa leżała na podłodze, a skłębiona niebieska pościel wyglądała tak, jakby ktoś się w niej kotłował?

– Ktoś tu był? – szepnęłam, rakiem wycofując się w stronę drzwi.

„Daj spokój, po prostu zapomniałaś pościelić” – odezwał się w mojej głowie głos kota.

– Pościeliłam! – krzyknęłam.

„A może tylko ci się śniło?”.

Usiadłam na łóżku. Byłam dziwnie rozpalona i chociaż niewiele ponad godzinę wcześniej leżałam nad jeziorem w ramionach Florka, teraz stale myślałam o Łukaszu: „Dla kogo mnie zostawił? Czemu tak nagle? Naprawdę na okrągło się kłóciliśmy, a może to był tylko świetny pretekst, żeby mógł odejść?”.

Położyłam się chwilę później i niemal od razu zapadłam w głęboki, niespokojny sen. Śnił mi się Łukasz. Niespiesznie sącząc drinka, siedziałam w Zielonym Łabędziu. On kręcił się za barem w towarzystwie nowej ślicznej i młodej barmanki. Miała długie jasne włosy i pociągnięte krwistoczerwoną szminką pełne wargi. Zauważyłam, że nie ma stanika, a poprzez białą, lekko prześwitującą

bluzkę na ramiączkach widać było jej ciemnoróżowe sutki. Łukasz sprawiał wrażenie zakochanego – co chwilę muskał ramię dziewczyny, wodził za nią wzrokiem, pomagał czyścić barowy kontuar i polewać beczkowe piwo. Przecisnęłam się przez tłum i podeszłam do baru. Musiało być bardzo późno, a raczej wcześniej, bo grająca na żywo kapela, jak to nad ranem, rzępoliła „Białego misia”. Byłam jakieś dwa metry od baru, kiedy Łukasz mnie zauważył. Uśmiechnął się krzywo i przejechał dłonią po tyłku młodej barmanki. „Zobacz, jak szybko się pocieszyłem” – zaśmiał się i obrócił do mnie plecami. Chwyciłam za jeden ze stojących na barowym kontuarze kufli i rzuciłam w byłego kochanka. Rozbił się z zaskakująco głośnym brzękiem, tłukąc przy okazji kilka wystawionych nad barem butelek alkoholu. Łukasz roześmiał się głośno, szyderczo i, nie zwracając na mnie uwagi, zaczął całować młodą blondynkę. „Nie możesz mi tego zrobić! – krzyknęłam. – Nie! Łukasz, kocham cię!”. Siedzący w głębi sali klienci zarechotali i po chwili cały lokal zanosił się gromkim śmiechem. „Zamknijcie się!” – krzyknęłam. Pokazywali mnie palcami. Krzywili się, wystawiali języki i wyraźnie rozbawieni, z politowaniem kiwali głowami. Pomyślałam, że przypominają żądną wrażeń tłuszcę, która w dawnych czasach obrzucała nadgniętymi warzywami skazanych na śmierć bandytów w drodze na szubienicę. Zamknęłam oczy, jednak w wyobraźni wciąż widziałam wykrzywione szyderstwem twarze... Zrobiłam krok w stronę wyjścia, kiedy Łukasz złapał mnie za ramię. „Żenię się z nią. Chyba nie masz nic przeciwko?” – zapytał kpiącym tonem. Rzuciłam się na niego z pięściami. Biłam na oślep, dopóki dwóch roślących osiłków z ochrony lokalu nie wyprowadziło mnie na zewnątrz. „Nienawidzę cię! Nienawidzę, słyszysz?!”.

Obudził mnie grzmot – nad okolicą rozpętała się jedna z tych gwałtownych letnich burz. Zlana potem usiadłam na łóżku i zapaliłam nocną lampkę.

„Bardzo realny sen, co? Słuchaj, a może powinnaś o niego zawalczyć? Najlepiej jedź tam jeszcze dzisiaj. Coś mi mówi, że on wciąż jest w Zielonym Łabędzie” – odezwał się Boruta gdzieś z kąta pokoju.

Zerknęłam na zegarek. Pierwsza pięćdziesiąt siedem nad ranem. „Powinnam jechać?”

„Powinnaś” – zdecydował w mojej głowie kot.

Ubrałam się w pięć minut – sukienka na ramiączkach, którą Emil kupił mi kiedyś w Zakopanem, sandały na płaskim obcasie, cieniutki rozpinany sweter z perłowymi guziczkami. Sweter dostałam kiedyś od przyjaciółki. Miał kolor waniliowego cappuccino i pomimo upływu lat był jednym z moich ulubionych ciuchów. Byłam w przedpokoju, kiedy w mojej głowie odezwał się jakiś głos. Mocny, chropowaty, zdecydowany. Brzmiał podobnie do tego kociego, jednak tym razem z całą pewnością to nie Boruta telepatycznie do mnie przemówił.

„Zabierz ze sobą nóż...”

Zawahałam się z ręką na klamce.

„Nóż?” – zdziwiłam się, jednak nogi jakby same poniosły mnie do kuchni.

Leżał na blacie. W srebrzystej poświacie wpadającego przez okno księżycowego światła wyglądał niewinnie i kusząco zarazem. Przypomniałam sobie, że Emil lubił kroić nim filety, i opuszką palca musnęłam ząbkowane ostrze. Jakaś część mnie nie mogła zrozumieć, czemu miałabym zabierać go ze sobą, jednak moje ciało zdawało się pogrążone w swoistym transie. Zacisnęłam dłoń na jego rączce i na nogach jak z waty wyszłam z domku.

33.

Nie pamiętam drogi do miasteczka. Dopiero wysiadając z samochodu, zdałam sobie sprawę, że w samym środku dusznej burzowej nocy diabli wiedzą w jakim celu podjechałam przed knajpę mojego byłego kochanka. Pod Zielonym Łabędziem wciąż jeszcze, pomimo późnej pory, było w miarę gwarno – jakaś zakochana parka całowała się przy wejściu, a dwóch zawzięcie dyskutujących facetów piło piwo parę metrów od mojego samochodu. Opuściłam szybę i oparłam głowę o zagłówek. Nawet jeśli Łukasz był w środku, co niby mogłabym zrobić? Już samo pojawienie się tam wydało mi się wyjątkowo żalosne. Całą sobą rozpaczliwie chciałam, żeby wrócił, nie zamierzałam jednak skamleć o jego względy...

Przez dłuższą chwilę siedziałam w samochodzie, nie mając pojęcia, co robić. Musiałam zasnąć, bo obudził mnie dopiero bębniący o dach ulewny deszcz. Zerknęłam na zegarek. „Piąta szesnaście nad ranem? – zdziwiłam się. – Przecież dopiero co zasnęłam!”. Parking był pusty, gwałtowna ulewa przepędziła ostatnich maruderów. Na betonie walały się puszki po piwie, niedopałki i najprzeróżniejsze śmieci, ale dookoła nie było widać żywej duszy. Zerknęłam w stronę wejścia do lokalu. Neon z napisem „Zielony Łabędź” pulsował w szarówce deszczowego przedświt. Ziewnęłam, zamierzając odjechać, zanim wpadnę na Łukasza i zrobi się naprawdę żenująco, kiedy moją uwagę przykuł jakiś ruch.

Pojawili się w drzwiach – mój były facet i roześmiana młoda dziewczyna w białej bluzce i króciutkiej spódniczce. Zdałam sobie sprawę, że wygląda zupełnie jak laska z mojego snu. Stanęli w progu. On objął ją w talii i wyszeptał jej coś na ucho. Zaśmiała się i odgarnęła do tyłu długie jasne włosy. Łukasz pocałował ją w szyję i przez chwilę stali ciasno objęci. „Skurwysyn!” – pomyślałam, nie potrafiąc oderwać od nich wzroku. W końcu się rozstali – on zniknął we wnętrzu lokalu, a dziewczyna szybkim krokiem ruszyła przez zalany deszczem parking. Zauważyłam, że ma śmieszne różowe

tenisówki i duży tatuaż z roślinnym motywem na lewej łydce.

„Dziwka zwinęła ci go sprzed nosa! Wiedziałaś, że jeszcze kiedy z sobą byliście, on już z nią sypiał? Raz nawet w twojej sypialni, tamtego dnia, kiedy byłeś w Bielsku” – odezwał się nagle w mojej głowie Boruta.

Drgnęłam, wyrwana z zamyślenia, i zerknęłam we wsteczne lusterko. Spodziewałam się, że kot siedzi na tylnym siedzeniu, ale samochód był pusty.

„Jestem na Lisim Wzgórzu. Psa bym z domu nie pogonił w taką pogodę. I tak potrafię komunikować się z tobą na odległość”.

– Daj mi spokój! – powiedziałam z zażenowaniem, zdając sobie sprawę, że płaczę.

„Będiesz teraz beczeć? Daj spokój! Na twoim miejscu dałbym jej nauczkę. Widzisz, jaka z siebie zadowolona? Zdzira! – jątrzył gdzieś w mojej głowie. – Wiedziałaś, że ukradła ci szminkę? Poszła się wysikać i przeczesała całą twoją łazienkę. No, ale pal licha szminkę, pomyśl o Łukaszu!”.

Zacisnęłam rękę na klamce. Dziewczyna była już w połowie parkingu. Wyraźnie zmierzała w stronę czekającego pod jednym z rachitycznych drzewek śmiesznego zielonego fiata. Nagle wyobraziłam sobie Łukasza posuwającego tę wywłokę pod moim dachem i pociemniało mi w oczach. Deszcz zelżał, zrobiło się też odrobinę jaśniej. Cicho otwarłam drzwiczki toyoty i wstrzymałam oddech. „Podejść tam? I co jej powiem? Wyzwę ją od najgorszych? Żalotne. Dam jej w twarz? Litości...”. „Idź!” – ponaglił mnie Boruta.

Przypomniałam sobie o nożu; leżał na przednim siedzeniu, tuż obok mojej torebki. Sięgnęłam po niego w momencie, w którym nieznajoma wsiadała do swojego samochodu.

„No, idźże w końcu!” – Kot był wyraźnie poirytowany.

Wysiadłam z samochodu. Mżyło. Zaciśniętą na trzonku noża rękę schowałam za plecami. Dziewczyna przekręcała kluczyk w stacyjce, kiedy podeszłam do jej fiata.

– Przepraszam panią... – rzuciłam najłagodniejszym tonem, na jaki w tych okolicznościach było mnie stać.

Opuściła szybę i ufnie się do mnie uśmiechnęła. Wbiłam wzrok w jej

dekolt – miała mlecznobiałą karnację i ładny srebrny wisiołek w kształcie koniczyny, dyndający pomiędzy pagórkami jej drobnych piersi. Pierwszy cios zadałam tak szybko, że chyba nawet sama nie zdawałam sobie sprawy, co robię. Krew obryzgała jej białą bluzkę, a kilka kropel padło na przednią szybę. Blondynka otwarła usta, z wyrazem skrajnego szoku na szczupłej starannie umalowanej twarzy, jednak z jej gardła nie wydostał się nawet pojedynczy dźwięk. Za drugim razem chlasnęłam na oślep, później poszło już gładko. Dziewczyna przez dłuższą chwilę się szamotała, usiłowała wysiąść i uderzyć mnie drzwiami, ale byłam silniejsza. W końcu zachłysnęła się krwią, a głowa opadła jej na bok, niczym u szmacianej marionetki, której ktoś pozbawił sterujących jej ruchami sznurków.

W koronach drzew zaświergotało ptactwo. Wytarłam pobrudzone krwią ręce w mój ulubiony sweter i po raz ostatni przyjrzałam się krwawej jatce we wnętrzu małego zielonego samochodu. W głowie wibrował mi czyjś krzyk i dopiero kiedy, walcząc z mdłościami, dobiegłam do mojej toyoty, zdałam sobie sprawę, że to ja ochryple i rozpaczliwie wrzeszczałam. Rzuciłam nóż pod siedzenie i ruszyłam, z piskiem opon wyjeżdżając z parkingu przed Zielonym Łabędziem.

Nie pamiętam drogi powrotnej na Lisie Wzgórze, nie potrafię też sobie przypomnieć, o czym wtedy myślałam.

Kot czekał na werandzie, ale nie chciałam go widzieć.

– Wynoś się! – krzyknęłam.

„Zdzira krwawiła niczym zarzynana maciora! Pomyślałabyś, że jesteś zdolna do czegoś tak barbarzyńskiego? Zupełnie jakby coś w ciebie wstąpiło... A może wstąpiło?”

Zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem i rzuciłam się na łóżko. Dłonie lepiły mi się od krwi, w uszach szumiało, a pulsujący ból głowy promieniował poprzez kark aż po same łopatki. Gdzieś w mojej torebce zadzwonił telefon, ale nie zamierzałam go odbierać. Zamknęłam oczy i skupiłam się na oddechu.

Wdech.

Zabiłam tę sukę, zrobiłam to!

Wydech.

Zasłużyła sobie, dziwka!

Wdech.

Nie obchodzi mnie, co teraz będzie. Ważne, że dostała za swoje!

Wydech.

A on pożałuje, że mnie zdradził!

Wdech – wydech – wdech – wydech – wdech – wydech...

Kurwa mać!

34.

Słońce wpadało do niewielkiego pokoju przez nie do końca opuszczone żaluzje. W ustach miałam tak sucho, że z trudem udało mi się przełknąć ślinę; w głowie bębniły setki werbli. Chciałam usiąść na łóżku, ale skórzane pasy wokół moich przegubów skutecznie uniemożliwiały jakikolwiek ruch. Rozejrzałam się dookoła, z pewnym otepieniem rejestrując otaczające mnie przedmioty. Metalowa pomalowana na biało szafka, pusty wieszak na płaszcze, pojedyncze krzesło z wyjątkowo szpetną żółtą tapicerką. Pomieszczenie było niewielkie, wręcz klaustrofobiczne, a pomalowane na biało ściany jeszcze bardziej podkreślały jego sterylny wygląd. Drzwi na korytarz były na wpół otwarte. Poruszałam palcami u stóp, jakbym chciała sprawdzić, czy ktoś skrępował mi również nogi, i przekręciłam głowę jak najbardziej w prawo. Któraś z przechodzących korytarzem pielęgniarek cicho podśpiewywała. A może to była salowa? Gdzieś na parterze trzasnęły drzwi. Przymknęłam oczy, usiłując przypomnieć sobie, jak trafiłam do szpitala. Kroki na schodach. Szybkie, pewne, męskie. Leżałam bez ruchu, wsłuchując się w dochodzące z oddziału odgłosy.

– Przepraszam, doktorze? Co z nią? – zapytał nagle jakiś facet.

Musiał stać tuż za moimi drzwiami. Pewnie to on chwilę wcześniej wbiegł po schodach.

– W jakim jest stanie?

„Znajomy głos” – pomyślałam, gorączkowo usiłując sobie przypomnieć, do kogo może należeć.

– Jest pan z rodziny? – Teraz chyba lekarz...

– Emil Beynar. Jestem jej mężem – usłyszałam.

Szarpnęłam się, ale skórzane pasy tylko mocniej werżnęły mi się w przeguby. Sekundę później obaj pojawili się w moim pokoju. Emil był błydy i wyraźnie zmęczony, w wymiętym lnianym garniturze; lekarz – młody i przystojny, o wyglądzie... Łukasza.

– Łukasz – szepnęłam.

Nie odpowiedział. Zerknął na zawieszoną na ramie mojego łóżka szpitalną kartę i w zamyśleniu pokiwał głową.

– Kto ją znalazł i co się właściwie stało? – zapytał Emil. – Przyjechałem prosto z lotniska i nie mam pojęcia, czemu moja żona tu trafiła.

– Znalazł ją sąsiad, wezwał karetkę. Była skrajnie odwodniona, miała silną gorączkę. Facet twierdził, że od tygodnia usiłował się nią zająć, ale nie wpuszczała go do domu. Majaczyła o jakichś szarych istotach, zabójstwach w okolicy, cmentarzu cholerycznym i kocie, który nie jest kotem – powiedział młody lekarz.

– Cmentarzu cholerycznym? – zdziwił się Emil.

– Proszę nawet nie próbować zagłębiać się w jej rojenia. Umysł w takim stanie przechadza się doprawdy dziwnymi ścieżkami – mruknął doktor.

– Podejrzewacie już coś konkretnego?

– Wie pan, na tym etapie wolałbym nie ryzykować diagnozy. Myślmy o schizofrenii urojeniowej, ale to tylko jedna ze wstępnych teorii.

– Odwiążcie mnie – wymamrotałam. – Pić...

Emil podszedł do łóżka i pocałował mnie w czoło. Miał zaskakująco zimne wargi i sprawiał wrażenie zszokowanego moim wyglądem.

– Wciąż jest rozgrzana – zauważył.

– Pić – powtórzyłam.

– Zawołam pielęgniarkę – powiedział młody lekarz i z malującą się na pociągłej twarzy ulgą opuścił duszną salę chorych.

– Przecież jesteś w Miami – szepnęłam, kiedy Emil poprawił mi poduszkę. – Nie ma cię tu, nie może cię tu być...

– Cśśś, leż spokojnie. Niedługo zabiorę cię do domu – obiecał i przysunął sobie bliżej jedyne znajdujące się w pokoju krzesło, z naddartą żółtą tapicerką.

Przymknęłam oczy, a bębniące mi w głowie werble na moment ucichły. Emil gładził mnie po dłoni, powtarzając, że wszystko będzie dobrze. Leżałam, nie mając pojęcia, kim jestem, co robię w szpitalu i czemu, do kurwy nędzy, siedzi przy mnie Beynar. „Przecież powinien być w Stanach, a już z całą pewnością nie był moim mężem” –

pomyślałam.

– Coś nie ma tej pielęgniarki. Skoczę do sklepiku na parterze i kupię ci wodę – powiedział Emil.

– Nie wychodź – poprosiłam, ale był już przy drzwiach.

Leżałam bez ruchu, dopóki ktoś nie zjawił się w moim pokoju. Stał nad łóżkiem – wyraźnie poczułam podmuch chłodniejszego powietrza i ohydny słodkawy fetor zgnilizny.

– Leszek – wymamrotałam.

– Pomyślałem, że jeszcze raz cię przeproszę – powiedział.

Na szyi miał sinoczerwoną wisielczą bruzdę, a w oczach czyste szaleństwo. Nie chciałam na niego patrzeć. Nie chciałam nawet oddychać tym samym powietrzem, co on, ale stał przecież tuż przy łóżku.

– To oni mi kazali – powiedział. – Oni, słyszałaś?! ONI! – krzyknął.

– Ty nie żyjesz. Nie żyjesz i nie może cię tu być – szepnęłam.

– Nie żyję? – zdziwił się Leszek, opuszkami palców muskając ohydną pręgę na swojej szyi. – Nie żyję?! To przez ciebie, ty suko! Sprowokowałaś mnie, słyszysz?!

Zacząłam krzyczeć. Wrzeszczałam, dopóki całkiem nie ochrypłam. Potem zaczęłam przeciągle wyć.

Obudziłam się nagle. Chciało mi się pić i bolała mnie głowa, a realność dręczącego mnie snu wydała mi się niemal upiorna.

„No, już, nie panikuj. To tylko kolejny koszmar, chociaż w twojej sytuacji... Być może choroba psychiczna nie byłaby takim złym wyjściem?” – usłyszałam w głowie Borutę. Siedział na parapecie.

– Która godzina? – zapytałam.

„Naprawdę myślisz, że to teraz najistotniejsze? Nie chciałbym cię straszyć, ale właśnie ją znaleźli...”.

– Kogo? – zapytałam, siadając na łóżku.

„Dziewczynę w różowych tenisówkach. Tylko nie mów, że jej nie pamiętasz. Srebrna koniczynka dyndająca między cyckami, tania bluzka, dziwkowski makijaż. Nie żebym miał coś przeciwko dziwkom, ale ona była wyjątkowo tandetna”.

– Boże – szepnęłam, przyglądając się swoim dłoniom. Zasnęta krew była wszędzie – za paznokciami, na mojej sukience, swetrze i

dekolcie.

Pamięć wróciła mi nagle, jakbym z tych wszystkich poszarpanych, fragmentarycznych szczegółów ułożyła sobie w głowie film. Podchodzę do jej samochodu. Ona opuszcza okienko, w dłoni mam nóż. Pierwszy cios i krew na jej bluzce, drugi i jej bezładna szamotanina...

„Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Bardzo łatwo się tobą manipuluje. Wyobraź sobie, że ta mała wcale nie pieprzyła się z Łukaszem, kiedy jeszcze ze sobą byliście” – odezwał się w mojej głowie kot.

Zapytałam dlaczego.

„Stare porachunki. We wczesnych latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, kiedy tę okolicę gnębiła epidemia cholery, wysłaliśmy do was spodek z ekipą medyczną. Umierały dzieci i chcieliśmy pomóc. Mieliśmy leki, których do tej pory nie znacie, i chcieliśmy was wesprzeć. Niestety, wskutek awarii spodek się rozbił, a dwójka naszych, która przeżyła, została bestialsko zadźgana widłami przez miejscowych. Jednym z agresorów był prapradziadek dziewczyny, którą zabiłaś na parkingu”.

– Mścicie się na niewinnych ludziach za coś, co się stało w dziewiętnastym wieku?! – krzyknęłam.

„Czemu nie? Nie tylko ludzka pamięć jest długa. Uważasz, że jesteśmy okrutni? Wy, Ziemianie, nie jesteście lepsi. Wołyń, Katyń, hitlerowskie obozy zagłady... Rwanda, rzeź Ormian, ludobójstwo na Bałkanach, ekstremiści Hutu i masakra Tutsi. Pol Pot i Czerwoni Khmerowie. Słyszałaś kiedyś o Polach Śmierci w Kambodży? W imię zupełnie poronionej komunistycznej ideologii brutalnie odebrano życie ponad dwóm milionom istnień. Według niektórych szacunków zginęło nawet trzydzieści pięć procent ludności tego kraju. Mam kontynuować?”.

Nie odpowiedziałam. Po dłuższej chwili milczenia zapytałam, czemu wybrali akurat mnie.

„Czemu?! A mogliśmy znaleźć kogoś bardziej podatnego na sugestię? Paniusia u progu wieku średniego i jej młody jurny kochanek. Odrobina zazdrości i nóż sam wpadł ci w rękę. Na twoim miejscu wziąłbym szybki prysznic – lada moment będzie tu policja.

Nie sędę jednak, żebyś zdołała się wywinąć, bo kilku świadków widziało cię nocą na parkingu, zresztą jest jeszcze monitoring. Posadzą cię, jak amen w pacierzu, ale to już w sumie nie moja sprawa” – odezwał się jeszcze Boruta, zanim na dobre zniknął mi z oczu.

Wstałam i duszkiem wypłam pół butelki mineralnej. Chwilę później wzięłam szybki prysznic i założyłam czyste ubranie. Policja zjawiała się, kiedy siedząc na ganku, usiłowałam poukładać sobie w głowie wydarzenia z zeszłej nocy. To, że z zimną krwią, w szale obłąkańczej zazdrości zabiłam młodą dziewczynę, wciąż chyba jeszcze do mnie nie docierało...

35.

Dziś, sześć lat od krwawych wydarzeń przed Zielonym Łabędziem, wciąż odsiaduję swoją karę. Biegli uznali mnie za całkowicie poczytalną, a otyły starszy sędzia w przyciasnej todze nie dopatrywał się żadnych okoliczności łagodzących. Któregoś dnia, zanim usłyszałam wyrok, usiłowałam nawet opowiedzieć jednemu z psychiatrów to, co wydarzyło się na Lisim Wzgórzu, ale pośrodku jasnego, pełnego książek i kwiatów gabinetu doktora nawet mnie cała ta historia wydawała się tak nieprawdopodobna, że aż nierealna... Siedziałam więc w milczeniu, bawiąc się troczkiem swojej bluzy, a podstarzały szpakowaty lekarz ze znudzonym wyrazem twarzy niespiesznie robił jakieś notatki.

Niedawno odwiedził mnie Maciek. Śmieszna sprawa, ale to właśnie on jest jedyną osobą, która przychodzi do mnie na widzenia. Rodzina nie chce mnie znać; dawni przyjaciele jakby zapadli się pod ziemię. Nawet Emil się ode mnie odwrócił... Emil, w którym przez lata widziałam najbliższego mi człowieka... Ale czy mogłam mu się dziwić?

Maciej usiadł naprzeciwko mnie i przeczesał palcami gęste odrobinę przetłuszczone włosy. Zauważyłam, że posiwiał na skroniach i nieco przytył. Przyniósł mi winogronowy sok, pomarańcze i gazetę, w której pełen entuzjazmu młody dziennikarz usiłował bliżej przyjrzeć się zagadkowym wydarzeniom sprzed sześciu lat.

Zapytałam o Zuzię. Dawny sąsiad wyjął z portfela zdjęcie i podał mi je z uśmiechem.

– Ślicznie wam rośnie – powiedziałam, odwracając głowę, żeby nie widział moich łez.

– Niedługo jej jedenaste urodziny. Szkoda, że Aneta tego nie widzi – cicho odparł Maciej.

„Aneta...” – pomyślałam z bólem. Zabiła się niecały rok po porodzie, zdruzgotana faktem, że jej porzucona w lesie córeczka nigdy się nie odnalazła. Policja jeszcze długo rozglądała się za zwłokami dziecka,

jednak nie wpadła na żaden ślad. Maciej do tej pory miał do siebie żal, obwinił się o wszystko, co się stało.

– Może to nie twoja wina? – powiedziałam. – Może to rzeczywiście oni za tym wszystkim stoją?

Dawny sąsiad spojrział na mnie jakoś dziwnie, jakby nagle w całkowitej ciemności ktoś podał mu pomocną dłoń.

– Więc w końcu mi wierzysz? – zapytał z nadzieją.

– Wierzę – powiedziałam. – I przepraszam. Gdybym posłuchała cię wcześniej, może chociaż parę spraw zakończyłoby się inaczej...

– Wątpię – powiedział. – Poczytaj sobie. Ktoś w końcu zaczął na poważnie się tym interesować – dodał Maciej i otworzył na trzeciej stronie przyniesioną ze sobą gazetę.

Artykuł o dość kiczowatym tytule: „Obłąd w małym miasteczku” był autorstwa Sebastiana Wróbla. Krótka notka o dziennikarzu mówiła, że urodzony w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim chłopak był absolwentem jednej z krakowskich uczelni, współwłaścicielem stadniny pod Bielskiem i ojcem trzyletnich bliźniaków.

— Czytaj. Wygląda na to, że gość naprawdę nam wierzy. Kilka razy rozmawialiśmy przez telefon i muszę powiedzieć, że facet ma otwarty umysł — zapewniał z entuzjazmem Maciej. — Wiem, że nie zmieni to twojej sytuacji, ale sam fakt, że w końcu ktoś zaczął się temu przyglądać, wydaje mi się błogosławieństwem!

W jego głosie usłyszałam ożywienie i zrozumiałam, że pewnie nigdy nie będzie mu dane uwolnić się od towarzyszącej mu od lat obsesji.

Gazeta sprawiała wrażenie szmatławej. Przeleciałam wzrokiem dwie pierwsze kolumny. Zielone błyskawice, amatorskie nagrania widzianych nad okolicą niezidentyfikowanych obiektów. Zagadkowe zaginięcia, samobójstwa, szokująco wysoki odsetek zabójstw, rozmowy z kilkoma miejscowymi, w tym z lokalnym pijaczkiem, panem Zenkiem — a wszystko to utrzymane w żenująco tandetnym stylu.

— Wybacz, ale według mnie cały ten tekst brzmi jak te śmieszne kawałki z brukowców. „Pan Henryk spod Goleniowa wygrał, bo obstawił w Lotto podane mu przez kosmitów liczby” — tego typu bełkot.

— To nieważne, Natalia! Istotne, że chociaż jedna osoba w ogóle dopuszcza myśl, że to nie tylko z naszej winy wydarzyło się tyle zła!
— Maciej podniósł głos.

Oczy aż mu świeciły i pomyślałam, że tak cholernie chciałam mu wierzyć. Owszem, dopuszczałam już do siebie myśl, że ktoś w naprawdę podły sposób sterował moim życiem, jednak wątpliwości wciąż gdzieś tam były.

— Może masz rację? — zapytałam po chwili. — Sama zaczęłam się ostatnio zastanawiać, czyby nie opisać mojej historii. Układałam sobie czasem w głowie zdania, fragmenty i dialogi. Stale myślę o tym wszystkim... Stale myślę o tym wszystkim...

Uśmiechnął się blado i obiecał, że następnym razem przyniesie mi brulion i kilka długopisów.

— Wiesz, jeszcze pół roku temu planowałem zabrać Zuzię do Londynu. Znajomy obiecał mi pracę na budowie, jakoś byśmy sobie poradzili. Łudziłem się, że uda nam się uciec, że tam nas nie dopadną, ale w końcu zrozumiałem, że nie mogę tak po prostu wyjechać. Przez nich zginęła Aneta! Przez nich nie miałem szans poznać naszej młodszej córki! Złamali życie tylu ludziom, że nie sposób już chyba tego zliczyć, a ja mam wyjechać? Nigdy! Więc zdecydowałem, że zostaję. I obiecałem sobie, że reszta moich dni będzie swoistą kruczają przeciwko tym przekętym, szatańskim kreaturom.

Zapytałam, czy szarzy nadal się pojawiają. Powiedział, że rzadziej, chociaż jeszcze się zdarza.

— Najczęściej widuje ich Zuzia. Liczyłem na to, że kiedyś z tego wyrośnie, ale dotychczas stale gdzieś się przy niej kręca.

— Myślisz, że to się kiedyś skończy?

— Nie wiem. Słuchaj, będę się zbierał. Dbaj o siebie — dodał.

— Cały czas myślę o tamtej dziewczynie. Kiedy ją zaatakowałam, miałam wrażenie, jakby wszystko to mi się śniło. Nogi same poniosły mnie w stronę jej samochodu, a pierwszy cios zadałam jakby cudzą ręką. Ale kiedy teraz to wszystko wspominam, czuję się tak, jakby to była tylko i wyłącznie moja wina. Zostały już tylko wspomnienia, w których to JA ją zabijam. Oni mi kazali, ale zrobiłam to ja. Sterowali mną, a kiedy już to się stało, czuję się jedyną winną — powiedziałam

łamiącym się głosem.

— Bo o to właśnie im chodziło, nie rozumiesz?! Ludzie wpadają w jakiś amok, ale po wszystkim zaczynają sobie zdawać sprawę z tego, co zrobili.

— Wiesz, czasem wciąż mam wrażenie, że to tylko koszmarny sen. Że któregoś dnia obudzę się rano z bólem głowy i kacem, a obok mnie będzie spał Emil — szepnęłam.

— Emil... Byliście fajną parą, wiesz? — Maciek uśmiechnął się.

– Wiem. Najśmieszniejsze jest to, że chyba wciąż go Kocham. Szkoda, że dopiero niedawno zdałam sobie z tego sprawę.

– Dzwonił do mnie parę dni temu. Powiedział, że za niecały miesiąc przyleci do kraju.

– Chciał wiedzieć, co u mnie? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Nie. – Maciej przecząco pokręcił głową. – Przykro mi.

– Niepotrzebnie. W końcu go zostawiłam, a później zabiłam człowieka. Nie mogę się dziwić, że nie chce mnie znać.

– Myślę, że to nie tak, Natalia. Myślę, że...

– Nie mówmy już o tym – weszłam mu w słowo. – Dzięki, że wpadłeś. Trzymaj się.

Wyszedł...

Pojawił się dwa tygodnie później i pamiętał o brulionie, co bardzo mnie rozczuliło. Następnego dnia zaczęłam pisać. Początkowo wspomnienia były nieco skołtunione – chaotyczne i wyrywkowe – jednak z czasem udało mi się ułożyć to wszystko w jedną spójną całość. Wiem, że moja historia brzmi niedorzecznie i pewnie mało kto w nią uwierzy. Po co więc to robię? W ramach swoistej terapii? Dla zabicia wlokącego się jak żółw w ulicznym maratonie czasu? Ku pamięci? Przestrodze? Nie wiem. Wiem tylko, że któregoś pięknego słonecznego dnia przyjechałam z moim byłym facetem do niewielkiego, położonego wśród lasów miasteczka i zakochałam się w tej spokojnej, sielankowej okolicy. A później sprawy potoczyły się już swoim własnym rytmem...